

P R Z E G L Ą D NOWOTOMYSKI

KWARTALNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

pod patronatem

NOWOTOMYSKIEGO

TOWARZYSTWA KULTURALNEGO

Nr 4 (24)2012

Cena 8 zł

WYDAWCA:

Wydawnictwo Opalgraf Opalenica

REDAKCJA:

Lucyna Kończal - Gnap

Sylwia Kupiec

Bogumił Wojcieszak - redaktor prowadzący

Adres redakcji:

ul. Witosa 8

64-300 Nowy Tomyśl

tel. (61) 44 21 270

e-mail: info@bibliotekant.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania
i redagowania otrzymanych tekstów

ISSN 1899-1017

Na okładce:

Krzyż na cmentarzu ewangelickim w Glin-
nie - 2009 r. Więcej na ss. 40-44

Fot. Wydział Rozwoju i Promocji Urzędu
Miejskiego w Nowym Tomyszu



Stanisław Smolski - Prużana, 1950 r.



Bez wyroku...

Ze wspomnień Stanisława Smolskiego

Rodzina Smolskich

Urodziłem się 27 marca 1921 r. w litewskim Mińsku, obecnej stolicy Białorusi. Ojciec mój Jan Smolski urodził się 15 kwietnia 1888 r. w zaścianku Kozakowszczyzna, a matka Maria z domu Zaniewska, urodziła się 15 sierpnia 1886r. w Laskówce. Obie miejscowości położone są w pobliżu Mińska. Do I wojny światowej moja rodzina zamieszkiwała w Mińsku. Dopiero po wojnie, w 1925r. przenieśliśmy się do Polski, a konkretnie do Brześcia n/Bugiem. Odkryło się to w ramach międzynarodowego układu dotyczącego łączenia rozbitych rodzin. Tu bowiem przebywał mój ojciec, który wcześniej wraz z polską Wojskową Dyрекcją Telegrafów ewakuował się do Polski. Mieszkaliśmy tu do roku 1928.

Rodzice mieli czworo dzieci; córkę Bronisławę (urodz. 23 lutego 1913r.), syna Kazimierza (urodz. 12 marca 1914r.), córkę Janinę (urodz. 29 kwietnia 1915r.) i mnie najmłodszego z rodzeństwa. W 1928r. cała rodzina przeniosła się do powiatowego miasta Prużana w województwie poleskim, gdzie ojciec podjął pracę w swoim zawodzie, w Urzędzie Pocztowo-Telegraficznym jako kierownik nadzoru, a matka zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem czworga dzieci.

W Prużanie zamieszkaliśmy na wschodnim obrzeżu miasta, w pobliżu stacji kolejki wąskotorowej, w wynajętym domku przy ul. 3 Maja, przemianowanej później na ul. Józefa Piłsudskiego. Ten fragment ulicy był niebrukowany i przy końcu nie był zabudowany. Była to ulica wylotowa z miasta na wschód i dalej przechodziła w szosę Prużana – Różana. Po drugiej stronie ulicy, nieomal naprzeciwko naszego domu, znajdował się drewniany budynek prużańskiej Gminy, w którym urzędował wójt Kazimierz Iliński ze swoim sztabem. Innych budynków urzędowych lub sklepów nie było.

Na końcu ulicy, z dala od zabudowań znajdowała się strzelnica, a za nią boisko sportowe do piłki nożnej. W latach międzywojennych uczęszczałem tylko do polskich szkół – Szkoły Powszechnej i Państwowego Gimnazjum, które zdążyłem ukończyć w 1939r., zdając tzw. małą maturę. Zdążyłem również zdać egzamin wstępny do Liceum Przyrodniczego. Obie siostry ukończyły Państwowe Gimnazjum Humanistyczne im. Adama Mickiewicza, starego typu, tj. 8. klasowe, a brat w 1935 r. Szkołę Techniczną w im. J. Piłsud-



Ćwiczenia Przystosowania Wojskowego w IV kl. Gimnazjum w Prużanie
- Stanisław Smolski stoi trzeci od końca. Prużana 1939 r.



Stanisław Smoloski na czele defilady - Prużana, 3 maja 1939 r.

skiego w Brześciu n/Bugiem. Nie zdołałem już ukończyć 2. klasowego liceum i zdać pełnej matury, ponieważ w związku z wybuchem II wojny światowej Polska utraciła swą niepodległość, a 17 września 1939r. do Prużany wkroczyła Armia Czerwona.

W latach szkolnych byłem aktywnym uczniem, a przez kilka starostą klasy. Od piątej klasy szkoły powszechnej należałem do Związku Harcerstwa Polskiego, pełniąc różne funkcje – od zastępowego do drużynowego. W marcu 1939 r., jako jeden z nielicznych z harcerzy, brałem udział w przeprowadzeniu pierwszej powszechnej mobilizacji. W tym też miesiącu, do czasu zastąpienia przez wojsko, z ramienia Komendy PW brałem udział w ochronie strategicznie ważnego odcinka szosy, z dwoma mostami, przebiegającej przez nieprzebyte bagna rzeki Jasiółdy.

Już w pierwszych dniach września 1939r., z chwilą napaści Niemiec na Polskę, wraz z kilkunastoma kolegami szkolnymi, zgłosiłem się ochotniczo do oddziału samoobrony, ponieważ nauka w gimnazjum została zawieszona. Wydano nam stare karabiny i nieco naboju. Przydzielono mnie do Komendy Policji, do służby porządkowej w mieście. Miejscowa policja została wycofana z miasta na zgrupowanie w okolicy Berezki Kartuskiej. Linia frontu szybko zbliżała się do Bugu. Po zarządzeniu ewakuacji urzędów państwowych, zagrożonej ludności i przedpoborowej młodzieży, próbowałem w tej sytuacji, wraz z kolegami, przedostać się do Rumunii z zamiarem wstąpienia do regularnych oddziałów polskiej armii.

Nasza wędrówka rowerowa obfitowała w sporo przygód. Zgrupowanie policji usiłowało nas zatrzymać, na co nie wyraziliśmy zgody. Armia generała Kleeberga, po stoczeniu nierozstrzygniętej bitwy pod Kobryniem wycofała się początkowo na Wołyń, a następnie ruszyła w kierunku Warszawy i po stoczeniu ostatniej bitwy pod Kockiem, skapitulowała. Nie napotykając po drodze żadnych zorganizowanych polskich oddziałów, dotarliśmy szczęśliwie do Kamienia Koszyrskiego, gdzie mieszkała moja ciotka. Tam spotkaliśmy jednego z pułkowników 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich, który nas poinformował, że polski rząd 17 września 1939r. udał się do Rumunii i tegoż dnia od wschodu wkroczyła do Polski Armia Czerwona, a Naczelny Wódz, marszałek Rydz-Śmigły zalecił niestawianie oporu nowym agresorom. Ze łzami w oczach ów polski oficer przyznał, że ponieśliśmy klęskę i wojna na razie się skończyła. Radził porzucić broń i jak najprędzej wracać do domu. W tych okolicznościach zastosowaliśmy się do udzielonych nam rad, broń i amunicję wyrzuciliśmy i rowerami grupowo, przez Kobryń – opanowany już przez Rosjan – z przygodami ok. 20 września dotarliśmy z powrotem do domu.

Okres administracji sowieckiej (17.09.1939r. – 21.06.1941r.)

Wkrótce władza radziecka zorganizowała w miasteczku własne szkolnictwo. Dawne polskie gimnazjum zostało przekształcone w białoruską 10. latkę. Dyrektorem został b. profesor matematyki Jan Łozowski, a jego zastępcą tzw. „zawucz”*, b. profesor łaciny Piotr Reluga. W tej szkole podjąłem dalszą naukę i do 21 czerwca 1941r. zaliczyłem kolejne dwie klasy, kończąc 10. latkę, co odpowiadało uzyskaniu pełnej matury.

Oprócz białoruskiej 10. latki działały szkoły podstawowe – rosyjska 10. latka, zlokalizowana w b. szkole powszechnej przy ul. ks. Budkiewicza i polska 8. klasowa szkoła w b. szkole żydowskiej im. Pereca przy ul. Pacewicza. W tej ostatniej znalazła się głównie polska młodzież z niższych klas b. polskiego gimnazjum i wyższych klas b. polskich szkół powszechnych. Dyrektorką tam była Rosjanka Koczetkova.

W białoruskiej 10. latce znalazła się nastawiona patriotycznie starsza młodzież polska, w swej większości należąca uprzednio – podobnie jak ja – polskiego harcerstwa. Profesor Piotr Reluga (b. komendant harcerskiego hufca męskiego na powiat prużański, a obecnie „zawucz” 10. latki), przy udziale b. prefekta ks. Kazimierza Świątka, zorganizował tajną organizację harcerską. Jej celem było prowadzenie nasłuchu radiowego z pól bitewnych i podtrzymywanie na duchu polskiego społeczeństwa oraz organizowanie – przez nową granicę niemiecko-sowiecką – przerzutów Polaków zagrożonych aresztowaniami przez NKWD.

Aresztowania były na porządku dziennym. Dotyczyły one przede wszystkim oficerów i podoficerów polskiego wojska, policji, urzędników państwowych i ziemian. Zaczęły się ponadto ich masowe deportacje, a także wywózki ich rodzin oraz nauczycieli i w ogóle polskiej inteligencji, przedstawicieli bogatszych warstw miejscowej ludności oraz Żydów. Pierwsza deportacja odbyła się już w lutym 1940 r., a druga w kwietniu. Strach i przygnębienie opanowały polskie społeczeństwo. Poczynania te oburzały polską młodzież i budziły żądzę odwetu, skłaniały do nierozważnych czasem czynów. Grupa młodzieży w białoruskiej 10. latce wydrapała pewnego razu oczy na portrecie Stalina. Po przeprowadzonym śledztwie ujawniono sprawców i zamknięto w więzieniu.

Niebawem jedna z harcerek, członkini Tajnej Organizacji, wyszła za mąż za NKWD-zistę i w dobrej wierze ujawniła prawdę o istnieniu organizacji. Natychmiast zaczęły się kolejne aresztowania. Niemal cała siatka została zdekonspirowana. W miejscowym więzieniu osadzono prof. Piotra Relugę, ks. Kazimierza Świątka (w



Stanisław Smolski - Prużana 1940 r.

* Zawucz (zawiaduszczyj uczebnój czasci) –dyrektor pedagogiczny(red.)

czasie wojny wikariusz parafii Prużana, późniejszy kardynał i arcybiskup metropolita mińsko-mohylewski, red.), prof. Edwarda Bazana i wiele harcerek i harcerzy, w tym sprawczynię pogromu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie zostałem ujawniony i nie poniosłem żadnych konsekwencji. Tajna Organizacja Harcerska przestała jednak istnieć.

Aresztowania trwały jednak nadal, a 20 czerwca 1941r. – dosłownie w przeddzień napaści Niemiec na sprzymierzony z nimi Związek Radziecki – miała miejsce ostatnia masowa deportacja. Znaczną liczbę mężczyzn, a również kilka kobiet, NKWD wyłaczyła z już załadowanych wagonów towarowych na stacji Orańczyce, oddalonej od Prużany o ok. 12 km. Umieszczono ich w prużańskim więzieniu. 21 czerwca 1941r. Niemcy przekroczyli graniczny Bug i 22 czerwca byli już w Prużanie. Więźniowie zostali wypuszczeni przez Niemców z więzienia.

Wśród nich znajdował się stary aptekarz Władysław Krzywopisza, o którym będzie mowa w dalszej części wspomnień. Niemcom wpadły w ręce sowieckie archiwa, w tym liczne, przygotowane listy proskrypcyjne, z których wynikało, że dalsze deportacje miały niebawem objąć pozostałe polskie społeczeństwo w Prużanie i byłym powiecie. Niemcy nie tylko uwolnili przetrzymywanych w Prużanie więźniów, ale także przedtem aresztowanych i wywiezionych do Brześcia n/Bugiem. W ten sposób powrócili z Brześcia prof. Bazan i inni. Profesora Relugę, jako przywódcę, zdążono wywieźć z Brześcia do Mińska, zmaltretować i skazać na pobyt w łagrze. Armia niemiecka dotarła jednak i tam, przyczyniając się do uwolnienia prof. Relugi. Dotarł on z przygodami do Prużany, a następnie przedostał się do Ostrowi Mazowieckiej, gdzie pełnił funkcję niemieckiego wiceburmistrza, a zarazem zaopatrzeniowca podziemnej Armii Krajowej. W okresie okupacji sowieckiej, zarówno z powodu braku niektórych fachowców, ja i moja rodzina uniknęliśmy aresztowań i deportacji. Pozostawiono nas w spokoju do czasu zastąpienia swoimi fachowcami.

Okres okupacji niemieckiej (22.06.1941r. – 17.07.1944r.)

21 czerwca 1941r., w pierwszym dniu wojny niemiecko-radzieckiej, w czasie niemieckiego nalotu na miasto, pod gruzami domu straciliśmy z rodzicami cały dorobek lat międzywojennych. Na szczęście ani ja, ani nikt z rodziny nie został ranny. Po zajęciu Kresów Wschodnich Niemcy wprowadzili nowy podział administracyjny. Prużana została włączona do Prus Wschodnich. Zachodnia granica z Generalną Gubernią biegła wzdłuż Bugu, a następnie zachodnimi krawędziami województwa białostockiego. Na wschód od rzeki Jasiółdy rozpościerała się już Białoruś, marionetkowe państwo powołane do życia przez Niemców. Na południe, w odległości 7 km od miasta, za byłymi koszarami, przebiegała granica z tzw. Ukrainą. Prużana należała więc do strefy przygranicznej. Stacjonowała w niej jednostka Grenzschutzu. Gestapo pojawiało się tu sporadycznie, zwłaszcza w ostatnich latach okupacji niemieckiej.



Dowód tożsamości („Personalausweis“) z okresu okupacji niemieckiej

Prużana została wytypowana na miejsce lokalizacji getta żydowskiego, nie tylko dla powiatu prużańskiego, ale i dla okolicznych powiatów, w tym i obwodu białostockiego. Z trzech czwartych miasta (centrum i tereny południowo-zachodnie) Niemcy wysiedlili mieszkańców, teren otoczyli drutem kolczastym i zgrupowali tu Żydów miejscowych oraz zamieszcowych, dowożonych tu partiami. W pewnym okresie było ich tu ok. 20 tysięcy. Co jakiś czas Żydów stąd wywożono. Część z nich rozstrzeliwano w okolicach miasta, innych przewożono do obozów zagłady. W miarę „likwidacji” Żydów, teren getta kilkakrotnie zmniejszano, a przed ostatecznym wycofaniem się z miasta, getto zlikwidowano i pozwolono byłym mieszkańcom wrócić do swoich domów.

Aby przeżyć niemiecką okupację i uniknąć wywózki na roboty do Niemiec, zmuszony byłem, podobnie jak i inni dorośli, podjąć jakąś pracę. Ze względu na częściową znajomość języka niemieckiego, poprzez Urząd Pracy i dzięki poparciu polskiego burmistrza w Zarządzie Miejskim miasta Pruzana, otrzymałem pracę umysłową jako urzędnik pomocniczy i tam w gronie starych samorządowców pracowałem aż do końca okupacji, zyskując zaufanie i poważanie.

Już od dłuższego czasu utrzymywałem kontakty z ruchem oporu i tworzącymi się grupami konspiracyjnymi. W związku z pracą w magistracie wiedziałem o wielu zamierzeniach Niemców, wydawałem tzw. lewe przepustki do getta oraz pomagałem w roz-

prowadzaniu gazetek i ulotek konspiracyjnych, przywożonych przez szwagra Mirosława Zawadzkiego. 8 maja 1943 r. – przy poparciu moich współpracowników z magistratu: ppor. rezerwy K. Rosołowskiego, L. Baczyńskiego i Stefana Wasilewskiego, z którym później działałem w zakonspirowanej trójce – wstąpiłem do Armii Krajowej. W tym też dniu zostałem zaprzysiężony przez komendanta ppor. Jana Smolińskiego (pseudonim „Dąb”), przybierając pseudonim „Jastrząb” i zapoznany z odpowiedzialnością i zadaniami, jakie będą ciążyły na mnie oraz ewentualnymi konsekwencjami w razie wpadki. Ta tajna organizacja była lepiej zakonspirowana niż poprzednia Organizacja Harcerska.

Na terenie powiatu prużańskiego działała też sowiecka partyzantka, zgrupowana w lesistych i bagnistych obszarach na wschodnim brzegu Jasiołdy i w okolicach powiatu kobryńskiego. Od czasu do czasu Niemcy organizowali przeciwko niej ekspedycje pacyfikacyjne. W tych niemieckich oddziałach służyło kilku pruzaniaków, wśród nich b. wachmistrz 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich, którego rodzina została deportowana w głąb ZSRR. Został on pewnego razu wciągnięty w zasadzkę i zabity przez partyzantów.

Prużańska AK nie podejmowała działań zbrojnych. Jej zadaniem były: organizowanie nasłuchu z pól bitewnych i informowanie polskiego społeczeństwa o sytuacji na froncie, przerzucanie Polaków przez granicę do Generalnej Guberni, rozpoznawanie ruchu wojsk niemieckich na stacji Orańczyce, gromadzenie broni, szkolenie wojskowe młodzieży, ogólne przygotowanie się do akcji zbrojnej na czas klęski i odwrotu armii niemieckiej. Działaliśmy w zakonspirowanych trójkach i nikt nie wiedział nic o całej organizacji, tylko o własnych zadaniach w ramach swojej grupy. Byłem zdyscyplinowany, odważny i gotowy na wszystko, a przy tym bardzo ostrożny, dzięki czemu szczęśliwie unikałem aresztowań, które miały miejsce wiosną 1944r. Na skutek wykrycia pracującej radiostacji, gestapo wpadło na trop naszej organizacji. Aresztowano komendanta Jana Smolińskiego z dowództwa, syna profesora Bazana Stanisława i dwóch współpracowników nadleśnictwa – Kondranina i Michalaka, których po pewnym czasie rozstrzelano. W tym samym czasie wielu innych, z list imiennych gestapo i żandarmerii, zostało z rodzinami wywiezionych do obozów zagłady, z mojej trójki m. in. K. Rosołowski i L. Baczyński. Wobec tego zostałem sam i działałem dalej pojedynczo. Mnie dopisało szczęście. Nikt mnie nie wydał i nie byłem narażony na represje. Działalność AK została jednak w Prużanie zlikwidowana. Jak się później okazało, w Malczu również działała dobrze zorganizowana organizacja AK. Zgromadziła ona w Jamniku (folwarku b. dziedzica Świdły) poważne ilości broni.

Podobno partyzantka radziecka, działająca w tej okolicy, obawiając się konkurencji AK, przekazała wiadomość o niej Niemcom. Skład broni został wykryty. Niemal wszyscy akowcy zostali zabici bądź skierowani do obozów. Z całej grupy ocalały tylko dwie osoby – Adamowicz i Wasilewski. Przed zakończeniem okupacji Niemcy zlikwidowali kolejną wąskotorową Prużana-Orańczyce, którą sami zainstalowali podczas I wojny światowej. Ostatnie trzy miesiące okupacji przeżyłem w niepewności i strachu przed represjami.

Byłem świadkiem wielu tragicznych wydarzeń, takich jak nieludzka likwidacja getta,



„...dzięki poparciu polskiego burmistrza w Zarządzie Miejskim miasta Prużana, otrzymałem pracę umysłową jako urzędnik pomocniczy...”

pacyfikacja wsi sprzyjających partyzantom, wywózka ludności, a szczególnie młodzieży na roboty do Niemiec, zbiorowe aresztowania i egzekucje. Z tego okresu pozostało mi na pamiątkę kilkanaście zdjęć kolegów wykonywanych do dowodów tożsamości. Zabrałem je sobie od fotografa. Na wschodzie Niemcy ponosiły klęskę za klęską. Linia frontu przesuwała się szybko na zachód. Lada chwila spodziewano się wkroczenia Armii Czerwonej do Prużany. Wszyscy prużaniacy, którzy już przedtem byli narażeni na represje NKWD, a zwłaszcza ci, którzy byli 20 czerwca 1941r. przeznaczeni do deportacji, a następnie zabrani z wagonów i osadzeni w prużańskim więzieniu i uwolnieni przez Niemców, m. in. prof. E. Bazan, wyjechali z nimi do Polski centralnej. Niektórzy jednak zostali w nadziei, że szczęśliwie doczekają powrotu wcześniej deportowanych rodzin. Okazało się, że popełnili niewybaczalny błąd. Nasza rodzina Smolskich i ja nie mieliśmy realnych powodów do radzieckich represji, więc pozostaliśmy na miejscu.

Aresztowanie

17 lipca 1944 r. linia frontu dotarła do Prużany. Wojska radzieckie obeszły miasto od zachodu i zaatakowały z tyłu, od strony Szereszewa. Miasto zostało zbombardowane i podpalone przez oddziały niemieckie, wycofujące się na południe, w kierunku stacji Orańczyce. Spłonęła w centrum miasta duża cerkiew Preczystienskaja i 60% zabudowań, od centrum na południe i wschód. Spłonęły głównie domy byłej ludności żydowskiej.

Wraz z Armią Czerwoną wkroczyło do miasta NKWD i niebawem rozpoczęły się aresztowania, głównie ludności polskiej, ale nie tylko polskiej. Aresztowania były również wymierzone w tzw. niemieckich współpracowników, tj. w tych wszystkich, którzy zatrudnieni byli w niemieckiej administracji miasta. Na razie mnie i moją rodzinę NKWD nie ruszało. Wydawało się, że znów dopisze nam szczęście. Po ogłoszeniu Manifestu Lipcowego Armia Czerwona przywróciła swoje rządy, m. in. ogłosiła pobór do wojska. Dla uniknięcia poboru i zdobycia jakichkolwiek środków utrzymania, podjąłem w lipcu 1944r. pracę w radzieckim Wojskomacie, a – później za poparciem naczelnika, który wynajmował u rodziców pokój – w miejscowym radiowęźle. Z tytułu tej pracy byłem reklamowany od służby wojskowej. Zadaniem moim i współpracujących ze mną braci Utgołów było m. in. pełnienie całodobowych dyżurów przy odbiornikach radiowych, zbieranie i przekazywanie Komendzie Miasta wiadomości o działalności wojsk na froncie. Będąc sam na dyżurach słuchałem na specjalnie zmontowanym odbiorniku zachodnich stacji radiowych, jak również powstańczej stacji „Błyskawica” i – mimo kilkakrotnych niespodziewanych kontroli funkcjonariuszy MGB – ani razu nie dałem się złapać. Zebrane wiadomości dotyczące spraw polskich niezwłocznie przekazywałem zaufanym osobom, które z kolei przekazywały je dalej.

W październiku 1944r. zostałem służbowo oddelegowany do Brześcia n/Bugiem, gdzie do świąt Bożego Narodzenia pracowałem w Obwodowym Urzędzie Telekomunikacji, w dziale dokumentacji technicznej jako kreślarz. W tym czasie powiadomiono Polaków o możliwości repatriacji do Polski. Pierwsze transporty już się formowały. W tych okolicznościach zwolniłem się z pracy i przyjechałem do rodziny do Prużany, aby razem nią wyjechać do Polski. Moja rodzina już się szykowała do wyjazdu. Wtedy dowiedziałem się, że w związku z moją osobą prowadzone są przez funkcjonariuszy MGB przesłuchania. Wobec tego postanowiliśmy z rodzicami i siostrami, jak najszybciej w ramach repatriacji wyjechać do Polski, ale niestety plan ten się nie powiódł.

Niespodziewanie wieczorem 29 grudnia 1944 r. przyszedł do nas oficer NKWD i kazał mi iść ze sobą, nie wyjaśniając o co chodzi. Początkowo myślałem, że chodzi o jakieś wyjaśnienia, po złożeniu których wrócę do domu. Tymczasem zaprowadzono mnie do budynku NKWD, który obecnie mieścił się w dawnym urzędzie skarbowym. Początkowo wszystko wyglądało bardzo niewinnie. Oficer NKWD był nieuzbrojony i zachowywał się dość przyjaźnie. Powiedział mi jednak, abym zabrał wszystko, co niezbędne na dłuższą drogę, bo w więzieniu nie będę siedział. Nie wiedziałem, jaki mnie czeka los. Nie wiem, czy wiedział to ów oficer. Przesiedziałem jakiś czas na korytarzu budynku NKWD, w dość licznej grupie zatrzymanych. Raptem coś mi przyszło do głowy i powiedziałem do oficera NKWD, że zabrał mnie z domu tak niespodziewanie, że nie zdążyłem nawet coś sobie wypić. On zapytał, czy mam alkohol w domu. Kiedy odpowiedziałem, że oczywiście mam, on zdecydował, że idziemy. No i przyszliśmy do domu, ku wielkiemu zdziwieniu i zaskoczeniu moich rodziców. Nie wiedzieli, o co tu chodzi – czy wypuszczają mnie na wolność, czy oficer NKWD przyszedł aresztować pozostałych. Wyjaśniłem rodzicom w czym rzecz, wobec czego przygotowali poczęstunek. Dobrze

sobie podjedliśmy, obficie zakrapiając wódką. Wziąłem ze sobą litr wódki, a drugi dałem oficerowi. Wróciliśmy do gmachu NKWD podchmieleni. Byłem zaskoczony, że nikt nie pilnował zatrzymanych. Na drugi dzień rano mogłem wyjść na ulicę, przechadzać się po niej i rozmawiać ze spotkanymi znajomymi. Tak to początkowo wszystko wyglądało niegroźnie, że czujność moja została całkowicie uspiona. Błędnie oceniałem swoją sytuację. Gdybym wiedział, co wkrótce nastąpi, to „zwinąłbym żagle” i uciekł. Okazja była niepowtarzalna. Przypuszczałem wtedy, że co najwyżej wywiozą nas na jakieś roboty, może do jakiejś fabryki w głębi Rosji. Jak się niebawem okazało, czekał mnie zupełnie inny los. Przetrzymano nas w budynku NKWD ok. 10 dni, o nic nie pytając i nic nam nie mówiąc.

W końcu uformowano z nas kolumnę aresztantów i pieszo pognano 14 km do stacji kolejowej w Orańczycach. Tam załadowano do pociągu i przewieziono do Brześcia n/Bugiem. Pierwszą noc w Brześciu spędziliśmy pod gołym niebem, a że był początek stycznia 1945r., więc dał się nam we znaki mróz. Drugą noc spędziliśmy już w więzieniu, ponieważ zaplanowane dla nas miejsce w budynku milicji było już zajęte. Z konieczności ulokowano nas w więziennej kaplicy. Dopiero w tej kaplicy zrozumieliśmy, co się z nami dzieje i co może nastąpić. Przypuszczaliśmy, że chcą nas odseparować od rodzin i polskiego społeczeństwa w kraju, abyśmy nie zasilili aktywnego wówczas podziemia.

Większość aresztowanych stanowiła młodzież lub mężczyźni w wieku dojrzałym, ale był również wśród nas starzec Władysław Krzywopisza, właściciel prużańskiej apteki. Nie miał szczęścia. Już 20 czerwca 1941r. został z żoną aresztowany przez NKWD i załadowany do transportu w głąb Rosji. Jednak NKWD wyłączyło go z transportu, podobnie jak wielu innych, i osadziło w prużańskim więzieniu. 22 czerwca Niemcy wkroczyli do Prużany i uwolnili więźniów. Pan Krzywopisza w czasie niemieckiej okupacji dalej pracował w swojej aptece. Dlaczego nie uciekł do Polski w ślad za wycofującymi się Niemcami? Widocznie oczekiwał na powrót z deportacji swojej żony.

Naiwnymi okazali się wszyscy, którzy podobnie jak p. Krzywopisza szczęśliwie ocalili od deportacji w czerwcu 1941r. i którzy łudzili się, że tym razem NKWD okaże się bardziej dla nich wyrozumiałe. Wszyscy ci, którzy nie zdążyli wyjechać do Polski, zostali aresztowani. Dlaczego zabrano chorego i całkowicie niedołężnego p. Krzywopiszę? Widocznie dlatego, że w okresie międzywojennym był on cenionym obywatelem i znanym polskim patriotą. Był niebezpieczny dla nowego ustroju. Należało go odseparować od społeczeństwa. Dla wszystkich było jasne, że staruszek deportacji nie przeżyje, ale który z NKWD-zistów tym się martwił? Był więc z nami stary aptekarz i dzielił nasz los. Już w kaplicy więziennej miały miejsce groźne incydenty. Od natłoku ludzi w pomieszczeniu było duszno. Niektórzy zbliżali się do okien, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, ale nie było wolno. Jeśli ktoś się tylko zbliżył, a strażnik zauważył cień, strzelano doń ze strażniczych wieżyczek. Na moich oczach trafiono jednego z więźniów w rękę, jak tylko zbliżył się do okna. Kiedy na trzeci dzień wyprowadzano nas z więzienia, dowiedzieliśmy się, że w innych pomieszczeniach (celach) są również Polacy.

Daleka podróż na wschód

Po wyprowadzeniu tłumu aresztowanych z więzienia, wszystkich pognano na stację kolejową, gdzie stało gotowych do odjazdu kilka pociągów osobowych i towarowych. Było to 15 stycznia 1945 r. W tym czasie kiedy ładowano nas do tzw. bydłęcych, czyli towarowych wagonów, na sąsiednim torze stał drugi pociąg, który miał jechać w kierunku Polski. Wśród repatriantów było wielu znajomych z Prużany. A co było z moją rodziną? Jak się dowiedziałem po kilku latach, moja rodzina pozostała w Prużanie. Nie wiedziała, czy wyjeżdżać, czy też pozostać i czekać na mój powrót. W czasie mego aresztowania mówiłem rodzicom, że mają wyjeżdżać do Polski i na mnie nie czekać. Jestem młody i dam sobie radę. W przyszłości na pewno do nich dołączę. Rodzina czekała jednak dobrych kilka miesięcy i nie mając już nadziei na mój rychły powrót, wyjechała do Polski dopiero w marcu 1945 roku. Nie wiem, który to był z kolejnych transportów z repatriantami? Wtedy, kiedy nas ładowano w Brześciu do wagonów towarowych, nie wiedziałem też, który to transport z rodakami odjeżdża do Polski, zapewne któryś z pierwszych.

Niebawem dwa sąsiednie transporty ruszyły w przeciwnie strony. Polacy – na zachód do ojczyzny, a my – na wschód w nieznaną. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą, a na domiar złego nie mogliśmy widzieć, co się dzieje na zewnątrz. Drzwi były zaryglowane, a okna wagonu zostały szczelnie pozabijane deskami. Tu i ówdzie przez szpary skąpo sączyło się światło. Mimo dnia trwaliśmy w półmroku. Wiedzieliśmy jedno, że jedziemy na wschód! Rozpacz nasza była ogromna... Wieźli nas w wagonach (w każdym od 40 do 50 osób), a cały transport na pewno liczył ponad 2000 osób. Takich transportów, jak ten z Brześcia, mogło być wiele, zarówno z ponownie wcielonych do ZSRR Kresów Wschodnich, jak też i z Polski. Deportowano akowców i podejrzanych o przynależność do AK.

Na środku wagonu stała „ciepluszka”, czyli blaszany piecyk z rurą wyprowadzoną na dach. W pobliżu piecyka był nieduży otwór w podłodze, który spełniał funkcję klozetu. Wspomniany piecyk owszem stał, ale był nieczynny, bo nie było czym palić. Na dworze był mróz, a w wagonie panował zaduch od stłoczonych – jak śledzie w beczce – ludzi. Jak spaliśmy? Spać w ogóle nie było żadnej możliwości, ponieważ nie było prycz. Siedzieliśmy szczelnie jeden przy drugim. Nawet nóg nie mogliśmy swobodnie wyprostować. Nie było mowy o tym, aby się położyć, ponieważ tych ponad 40 osób, w stosunkowo małym towarowym wagonie, nie mogłoby się zmieścić w pozycji leżącej. Oprócz tego musieliśmy zachować jakieś przejścia, by udać się za potrzebą do klozetu. Początkowo nie dawano nam nic do jedzenia ani też picia. Najbardziej dokuczało pragnienie, bo każdy w momencie aresztowania zabrał ze sobą coś do jedzenia. Ja miałem przy sobie dość sporo wiktuałów, bo w domu było to i owo po świętach Bożego Narodzenia. Zabranym z domu litr wódki szybko „wyparował” w Prużanie i w Brześciu podczas zbiorowej konsumpcji w gronie towarzyszy niedoli. O jakimkolwiek myciu się nie było mowy, ale pragnienie było nie do zniesienia.

Na nasze szczęście wśród konwojentów trafiali się też ludzie, a ludzka pomysłowość czyni – w razie potrzeby – cuda. Wspominałem o dziurze klozetowej w podłodze wagonu, która była obudowana blachą w formie muszelki. Dziura ta służyła nie tylko do ułatwiania naturalnych potrzeb, ale też do zaopatrywania nas w coś do picia. Litościwsi konwojenci, w czasie postojów, od czasu do czasu, przez ową dziurę podawali na bagnietach kule śniegu. Śnieg ten łączywie ssano bądź topiono w naczyniach, jeśli je kto miał. Podawany w ten sposób śnieg nie mógł jednak zaspokoić pragnienia wszystkich deportowanych. Rozmontowano więc rurę blaszaną, tj. komin nieczynnego piecyka i przez otwór w dachu wagonu rękoma zbierano śnieg i w taki sposób gaszono pragnienie. Ssano go również lub topiono. Niektórzy zlizywali szron z poszycia wagonu. Po trzech dniach podróży wyczerpały się wszelkie zapasy żywności i zaczął również doskwierać głód, wtedy konwojenci wydawali do spożycia słoną rybę. I tak przez cały czas, aż do Moskwy, karmiono nas wyłącznie słoną, nieraz zarobaczynioną, rybą, co jako tako tłumiło głód, ale wydatnie nasilało pragnienie. Wody nadal nie wydawano i musieliśmy sobie radzić uprzednio opisanymi sposobami.

W moim wagonie było kilku znajomych z Prużany. Jechałem razem ze staruszkiem aptekarzem Krzywopiszą, Andrzejewskim, Wasilewskim, który przedtem mieszkał przy ulicy Piłsudskiego oraz z byłym sołtysiem ze wsi Słonimce. Nie zapamiętałem imienia ani nazwiska tego sołtysa. Był też z nami Zenek Korolko. Okoliczności jego aresztowania były niecodzienne. Zenek przed aresztowaniem został powołany do polskiego wojska i służył w marynarce wojennej. Wrócił do Prużany, aby załatwić sprawy rodzinne, ponieważ zmarła jego żona. Chciał powierzyć swego syna opiece którejś ze znajomych rodzin, aby w ramach repatriacji zabrała go do Polski. Nie wiadomo z jakich powodów NKWD aresztowało Zenka w Prużanie. Byłem świadkiem jak oficer NKWD zrywał mu dystynkcje wojskowe. Razem z nami maszerował pieszo do stacji w Orańczycach, jechał pociągiem do Brześcia, tam przebywał w kaplicy więziennej, a w końcu jechał w naszym wagonie. Jak było to możliwe i na jakiej podstawie, by aresztowano żołnierza polskiego wojska, sprzymierzonego przecież z Armią Czerwoną, pozostało dla mnie zagadką. W systemie stalinowskim wszystko było możliwe!

Opalanie wagonu i walka z wszawicą

Za Moskwą konwojenci przypomnieli sobie o konieczności ogrzewania wagonów, bo im bardziej podążaliśmy na wschód, tym mróz stawał się coraz bardziej siarczasty. Zaczęto nam dostarczać po parę kłód drewna. Ale cóż z tego... W wagonach nie było żadnych narzędzi do ich rąbania bądź rozdrabniania na szczapy. Te kłody były metrowej długości i tylko niektóre z nich były poprzecinane na pół. No, ale czego człowiek nie wymyśli w sytuacji pozornie bez wyjścia? Chłód nam dokuczał coraz bardziej, szczególnie w czasie nocnej drzemki. Trzeba było ratować się przed zamrożeniem. Ktoś podsunął zbawczy pomysł. Braliśmy więc kolejno, jeden po drugim, owe kłody i waliliśmy nimi co sił w podłogę wagonu. Po pewnym czasie kłody te łupały się na mniejsze lub większe

drzazgi i szczapy. Tak rozpoczęliśmy przynajmniej sporadycznie ogrzewać nasz wagon. Podobnie postępowano i w innych wagonach. Przy tej okazji niszczyły się podłogi wagonów, ale to nikogo nie obchodziło, również i konwojentów. Na gorącym piecyku było już łatwo topić śnieg, dostarczany przez niektórych konwojentów lub zgarniany rękoma z dachu, po uprzednim wymontowaniu rury-komina. Uporaliśmy się więc jako tako z jedną z wielu uciążliwości, natomiast usunięcie kolejnej przekraczało nasze możliwości. Była to wszawica. Jechaliśmy przez szereg dni w ogromnym tłoku, w zaduchu, bez możliwości mycia się, nie mówiąc już o kąpeli, bez żadnej szansy zmiany przepoconej bielizny i ubrania. Opanowało nas więc robactwo w ilości trudnej do wyobrażenia. Wszystkie wolne chwile, a było ich pod dostatkiem, poświęcaliśmy na indywidualne niszczenie insektów, a ponadto dwa razy dziennie urządzaliśmy zbiorowe na nie oblawy. Zdejmowaliśmy z siebie ubrania i bieliznę, strząsaliśmy robactwo na podłogę i deptaliśmy je nogami. Próbowaliśmy podsmażać nad piecykiem, iskaliśmy je ręcznie.

W ramach samopomocy pomagaliśmy jeden drugiemu, a szczególnie osobom zniedołężniałym i chorym, w niszczeniu tego plugastwa. Ja starałem się jak mogłem pomagać staruszkowi Krzywopiszy, który z dnia na dzień słabł i nie mógł już samodzielnie walczyć z wszami. Przy pomocy innych rozbierałem go i niszczyłem robactwo jak się dało. Były to jednak „szyzofowe” wysiłki. Na miejsce zniszczonych insektów zjawiały się legiony następnych. Ciała każdego z aresztantów pokryte były krostami od ukąszeń. Drapaliśmy się bez przerwy, we dnie i w nocy. Wszy ssaly krew, pozbawiały sił i nasilały rozdrażnienie. Podczas obław usiłowałem nawet prowadzić statystykę. Jednorazowo moje oblawy przekraczały 200 sztuk upolowanych wszy. Miałem na sobie robiony na drutach sweter. Był on niesamowicie nadziany robactwem, tak że po prostu mienił się na perlowo z niemal każdego oczka dzianiny, od wystających na zewnątrz odwłoków. Główki insektów były skierowane do wewnątrz, tkwiły w naszych ciałach.

Śmierć pana Krzywopiszy i spadek po nim

Staruszek Krzywopisza był jeszcze przed wojną przygłuchawy. Nieraz w jego aptecce klient musiał głośno powtarzać zamówienie na leki. Głuchota z czasem się nasilała i coraz częściej usiłował on zrozumieć mówiącego z ruchu jego ust. Gwałtowny i nasilający się podczas transportu spadek sił staruszka powodował trudności w porozumiewaniu się. Byłem stale przy nim i opiekowałem się gasnącym człowiekiem i dlatego tylko ja jeden mogłem go jako tako zrozumieć. Staruszek mógł mieć wtedy osiemdziesiąt, może też osiemdziesiąt kilka lat. Za Moskwą już całkowicie zaniemógł, a żadnej pomocy lekarskiej bądź leków nie było. Wszyscy widzieli, że nadszedł jego kres. Dogorywał na moich rękach. W ostatniej chwili chciał mi coś przekazać. Bełkotał i gestykulował. Może chciał przekazać jakąś tajemnicę bądź ostatnią wolę. Na próżno nachylałem ucho do jego ust i usiłowałem zrozumieć, o co mu chodzi. Denerwował się coraz bardziej. Raz po raz usiłował coś powiedzieć. Wreszcie wyprężył się i skonał. Tak więc nie było mi dane poznać jego ostatniej woli. Czy można w przybliżeniu określić datę śmierci pana Krzywopiszy?

Zmarł po dwóch tygodniach od wyjazdu z Brześcia. Było to za Moskwą i chyba pod koniec stycznia 1945 roku.

Przy załadunku aresztantów do wagonu, NKWD-ziści stosowali stale zasadę mieszania i rozdzielania osób pochodzących z tej samej miejscowości. Być może chodziło im o utrudnienie zespołowego porozumiewania się np. w celu zorganizowania zbiorowej akcji bądź ucieczki. W naszym wagonie była więc tylko nieliczna grupka prużaniaków. W związku ze śmiercią pana Krzywopiszy, prużaniacy natychmiast uradzili, co należy zrobić ze „spadkiem”, który po sobie pozostawił. Miał on na sobie dwa futra. Jedno było bardzo eleganckie i cenne, a drugie mniej ekskluzywne. Ponieważ byłem opiekunem zmarłego orzeczono, że mam przejąć to lepsze futro, bo byłem dość skąpo ubrany. Drugie zaś, to gorsze, oddano sołtysowi ze Słonimców, ponieważ zabrano go nagle w tym, w co był ubrany w chwili aresztowania. Miał na sobie tylko marynarkę, nie miał nawet nędznego płaszcza. Prużaniacy słusznie rozważali, że futra pozostawione przy zmarłym staną się i tak łupem NKWD-zistów bądź przypadkowych osób. Futro pana Krzywopiszy oddało mi nieocenione przysługi już w najbliższej przyszłości. Służyło mi za okrycie i zarazem pościel. Na części futra spałem, a drugą przykrywałem się jak kołdrą. Futro to w znacznym stopniu i to w dłuższym czasie chroniło mnie przed chłodem i mrozem. Było ono też powodem wielu przykrości. Skoro byłem właścicielem takiego wytwornego przyodziewku, często traktowano mnie jako byłego pana większego kalibru bądź „pomieszczyka” (ziemianina). O dalszych losach futra pana Krzywopiszy opowiem później.

Od chwili wyjazdu naszego transportu z Brześcia konwojenci kilka razy dziennie otwierali wagony. Przeliczali nas sprawdzając, czy ktoś nie uciekł. Obstukiwali kijami dach, poszycie ścian wagonu, starannie przeglądali podwozie. Dziwiło nas, czego tak pilnie szukają. Zapewne chodziło im o to, czy przypadkiem nie zrobiliśmy jakiejś dziury, przez którą można było uciec.

Nikt z nas nie miał takich pomysłów. Nie mieliśmy w tym zakresie odpowiedniego doświadczenia. Deportacja spadła na nas nagle i niespodziewanie. Do idei organizowania ucieczki po prostu nie byliśmy psychicznie przygotowani. Nie znaliśmy metod stosowanych często przez wytrawnych więźniów, takich jak zrywanie podłogi wagonu bądź poszerzanie otworu klozetowego. Opowiadano nam później, że byli tacy śmiałkowie, którzy umiejętnie trzymając się obrzeży otworu wykonanego w podłodze, zwisali na rękach, a następnie ześlizgiwali się na torowisko, pomiędzy koła pędzącego pociągu. Ledwo transport się oddalił, tacy desperaci salwowali się ucieczką w pobliskie zarośla. W poszukiwaniu wyżywienia krążyli między osiedlami. NKWD organizowało obławy na uciekinierów i z reguły ich wcześniej czy później łapało. Brak dokumentów tożsamości i system donosicielstwa nie dawały żadnych szans. Złapanych oczekiwały wyroki, łagry i dotkliwe pobicie. Przy najbliższej „prowierce”, czyli sprawdzaniu stanu więźniów, konwojenci zabrali zwłoki pana Krzywopiszy i umieścili w jednym z pustych wagonów towarowych, które pełniły funkcję kostnicy. W naszym wagonie oprócz pana Krzywopiszy zmarło jeszcze kilka osób. Wszyscy znaleźli się w wagonach-kostnicach. Nie wiem, co się stało ze zwłokami? Czy pogrzebano zmarłych w zaspach śnieżnych przy torowiskach,

czy też przekazano do trupiarni być może usytuowanych przy mijanych stacjach kolejowych? Kiedy dane mi było przeżyć deportację i po latach powrócić do Polski, skontaktowałem się z członkami rodziny pana Krzywopiszy i opowiedziałem im o ostatnich jego dniach, okolicznościach zgonu, o przybliżonej dacie śmierci oraz miejscowości. Miejsce pochówku nieszczęsnika, ofiary reżimu Stalina, jak też dziesiątków tysięcy jemu podobnych, pozostanie na zawsze tajemnicą i głosem wołającym o pomstę do nieba! Być może, że zmarłych pogrzebano w Jarosławiu, bo tam był dłuższy postój transportu.

Kierunek północny wschód. Kotłas

Za Jarosławiem, po dłuższym tu postoju, wieziono nas dalej na północny-wschód. W naszym wagonie był Rosjanin Czemisow, znajomy ze wspólnej pracy w prużańskim magistracie. Ostatnio pracował on w Prużanie jako „prynudiłowiec”, czyli skazany na pracę przymusową. Miał jakieś takie rozeznanie w okolicach, przez które jechaliśmy. Określił kierunek, w którym nas wiozą. Mówił, że na pewno nas wiozą do Komi ASRR, pod Ural, od strony europejskiej. Podróż nadal obfitowała w te same dolegliwości. Męczyła nas wszawica, dokuczał brak opału i wszystkiego, co niezbędne do przeżycia. Mróz dokuczał coraz bardziej. To co się robiło? Rozbierało się wewnętrzne poszycie ścian wagonu i się nim paliło. Jak dojechalśmy na miejsce tymczasowego pobytu, z wagonu pozostało tylko poszycie zewnętrzne. Wszystkie wagony były tak zdewastowane, że tylko nadawały się na złom. No, ale władzy radzieckiej wcale to nie martwiło. Transport zatrzymał się wreszcie w Kotłasie. Była to duża stacja kolejowa oraz miasto wybudowane jeszcze za cara przez ówczesnych zesłańców.

Gdy nas wyprowadzono z wagonów, pierwszy raz w życiu zobaczyłem radziecki obóz, do którego nas zaprowadzono. Tam, po raz pierwszy od czasu wyjazdu z Brześcia, zastosowano pierwsze zabiegi higieniczno- sanitarne. Ostrzyżono nas maszynką i ogolono oraz skierowano do bani, tj. łaźni obozowej. Kąpiel w tej łaźni wyglądała na parodię. Wody ciepłej nie było, więc ochlapaliśmy się nieco zimną wodą. Dano nam symboliczną ilość szarego mydła, drewnianą packą maźnięto trochę na rękę mydlanej mazi. Golenie zarostu na twarzy wykonane zostało również maszynką do strzyżenia włosów. Całe nasze ubranie i bieliznę skierowano do tzw. „woszobojki”, tj. beczki, w której parą niszczone robactwo. Zabiegi te były prymitywne, ale na tyle skuteczne, że doraźnie pozbyliśmy się robactwa i uniknęliśmy epidemii tyfusu. W Kotłasie zetknęliśmy się po raz pierwszy z miejscowymi Polakami, którzy zostali aresztowani w 1939 roku i później. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego oni jeszcze tu przebywają. Była przecież w ZSRR mobilizacja do armii Andersa, a stosunkowo niedawno do I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki generała Zygmunta Berlinga. Dlaczego oni przebywali wciąż w obozie i nie zostali powołani do żadnego wojska? Nikt nie wiedział nic na ten temat. Nie było sposobności do rozmów, bo konwojenci nieustannie nas poganiali: „Dawaj! Dawaj!”, czyli „Szybko! Szybko!” Popychano nas i ponaglano tak, że człowiek ledwo mógł nadążyć ze spełnianiem poleceń nadzorców. Niektórzy z tych Polaków, jak zdążyliśmy się zorientować, przeby-

wali tu od 1939 roku, ale byli też i tacy, którzy trafili tu przed nami. Do łaźni goniono nas partiami. Ledwo jedna partia więźniów tam weszła, wyskakiwała z niej jak z procy, a za nią następna i następna. Wciąż dalej i szybciej. Ta stacja i miasto, jak już wspomniałem, były budowane przez carskich zesłańców, głównie Rosjan. Mogli też być wśród nich i Polacy. Natomiast dalsza trasa, którą nas powieziono już po odbyciu tych sanitarnych zabiegów była budowana przez Polaków uwięzionych po 1939 roku i skierowanych w okolice Kotłasu.

Tu od Kotłasu zaczęła się ich gehenna. Goli i bosi, nękani przez mróz i głód, łzeni i poniewierani, budowali kolej od Kotłasu do Workuty – słynnej z tego, że niemal wszyscy tu wymarli. Wymarli głównie ze względu na ciężkie warunki atmosferyczne, brak odpowiedniego ekwipunku i wyżywienia. Ludzie, którzy po odbyciu wyroków osiedlili się tutaj, opowiadali nam później, że wyginęło tu tylu więźniów, ile jest podkładów kolejowych na trasie pomnożonych razy dwa. Tak więc aby określić ilość ofiar, należałoby ogromną ilość podkładów na budowanej trasie podwoić. Zresztą ja sam, później wypuszczony na wolność, mogłem osobiście potwierdzić prawdziwość tych ponurych opowieści. Interesowały mnie wtedy wszystkie napotymane, opuszczone i wyludnione obozy, które straszły jak upiory. Oglądałem też niezliczone, nieoznakowane cmentarze, dobrze widoczne przy mostach i innych budowlach położonych przy trasie. W tych miejscach więźniowie przebywali dłużej i budowano dla nich nie tyle zwykłe prowizorki, lecz bardziej rozbudowane łagry z całą obozową infrastrukturą. Pozostały one pomnikami okrucieństwa i zezwierzęcenia z okresu rządów Stalina. Cóż jeszcze można powiedzieć o Kotłasie? Jest to dość duże miasto położone nad północną Dźwiną. Rzeka duża, widok ze wzgórza piękny, w czasie rozlewisk nie widać przeciwnego brzegu rzeki. Szczególnie piękna perspektywa rysowała się, gdy patrzyło się na północ. Rój statków wachlarzem płynął z Oceanu Północnego do Kotłasu i mienił się barwnymi flagami na tle szmaragdowej zieleni tundry.

Obozowy chrzest w okolicy Workuty

Po sanitarnej „obróbce” w Kotłasie załadowano nas znów do wagonów towarowych i tym razem wyruszyliśmy w kierunku północnowschodnim. Jechaliśmy dość długo, może ponad tydzień lub dwa tygodnie, już trasą jednotorową i zatrzymaliśmy się na kolejnej stacji Peczora nad rzeką o tej samej nazwie. Peczora to raczej nie było miasto, a duże osiedle. Znów nas wyładowano i skierowano do miejscowego łagru. Po drodze nie dostrześliśmy miasta, tylko jakieś ośrodki i obozy. Tu znowu, jak w Kotłasie, wykąpano nas, odwyszawiono i ostrzyżono. W Peczorze odłączono od nas i zostawiono na miejscu najsłabszych. Byli oni tak osłabieni podróżą i wyniszczeni, że nie nadawali się do dalszej drogi. Wśród nich było wiele osób starszych. Co się stało z nimi? Nie wiem! Ilu nas zmarło z całego transportu, a ilu zostało przy życiu? Szacuję, że w drodze zmarło od 150 do 200 osób, czyli około 10% wszystkich aresztowanych. W moim wagonie, oprócz pana Krzywopiszy, jak już wspomniałem wcześniej, zmarło kilka osób, wśród nich kilku mieszkań-

ców z wsi położonych w pobliżu Prużany. Jeden prawdopodobnie z Horodnian, a drugiego już nie pamiętam. Zapamiętałem mało nazwisk towarzyszy ze swego wagonu. Sytuacja nasza była tak ponura i nie skłaniająca do zawierania nowych znajomości, że koncentrowałem się na przeżyciu kolejnego dnia i niczym się nie interesowałem. Poprzestałem raczej na podtrzymaniu już istniejących znajomości z Prużany. Towarzysze niedoli pozostali w mej pamięci jak mglista, bezkształtna plama. Ci, którzy kwalifikowali się do dalszej podróży zostali znów załadowani do wagonów i transport ruszył w kierunku stacji docelowej w okolicy Workuty. Mijaliśmy znów jakieś ośrodki i obozy i zatrzymaliśmy się ostatecznie około 23 km od Workuty, ośrodka obozowego nad rzeką o tej samej nazwie.

Okolica, do której dotarliśmy to tundra, położona już za kręgiem polarnym, w pobliżu północnej części pasma Uralu i Morza Karskiego. Wysadzono nas w ośrodku zwanym „pierwy oddiel”, czyli oddział pierwszy workuckich obozów. Nie wiem dokładnie, ile obozów należało do tego oddziału, ale co najmniej trzy, bo w każdym z nich przebywałem. Był więc obóz nr 1, nr 1A i nr 3. Musiał być zapewne nr 2, ale w nim nie przebywałem. Zakwaterowano nas w obozie nr 1A i dano nam dzień odpoczynku. Znów mieliśmy trochę łaźni i odwyszawiania. Trwała wciąż zima. Był już luty 1945 roku. Miałem już prawie 24 lata, a więc byłem w wieku dojrzałego młodzieńca. Rozmieszczono nas nie w starych, lecz w nowych, jeszcze nie wykończonych barakach. Było ich trzy. Trafłem do takiego, który nie miał okien, pieca ani podłogi. Dosłownie nie miał niczego, tylko przedziwne prycze, zmontowane nie z desek, ale z żerdzi. Między nimi były tak okazałe szczeliny, że swobodnie przechodziła przez nie ręka. Nie otrzymaliśmy żadnych posłań ani też nowego ekwipunku. Władze uznały, że przyjechaliśmy w dobrym własnym ubraniu i obuwiu. Już pierwszego dnia nas okradziono. A stało się to za sprawą jednej ze starych brygad miejscowych więźniów. Napadli na nas jak szakale nocą. Byliśmy niezorientowani w miejscowych zwyczajach i stosunkach. Nie byliśmy też ani dobrze zorganizowani, ani też zdolni do samoobrony. Jednych obrabowano przemocą, a innych okradziono różnymi podstępными sposobami. Mnie wtedy skradziono buty i kurtkę. Zostałem tylko z futrem pana Krzywopiszy. To futro służyło mi za posłanie na gołych żerdziach i jednocześnie za przykrycie. Przeżyliśmy tam w obozie nr 1A dwa tygodnie.

Pracowaliśmy przy budowie odnogi kolejowej do Oceanu Lodowatego. Ta odnoga prowadziła od głównej trasy do zatoki wspomnianego oceanu. Za moich czasów trasa kolejowa kończyła się na pierwszym workuckim oddziale. Dalsza trasa do samej Workuty była dopiero w budowie i została ukończona po dwóch latach. Kiedy wstawaliśmy do pracy, o piątej rano panował zmrok. Słońca nie widzieliśmy. Po pobudce i skromnym posiłku, o godzinie szóstej pieszo maszerowaliśmy kolumną, w towarzystwie strażników, kilka kilometrów do miejsca pracy. Do obozu wracaliśmy również o zmroku, wieczorem. Spożywaliśmy drugi i zarazem ostatni posiłek i o godzinie 22 układaliśmy się do snu. Głównym i podstawowym naszym pożywieniem był chleb. Jaki to był chleb? Czarny, wypiekany w formach, był możliwy do zjedzenia. Zresztą głodnemu wszystko smakowało. Chleb był miernikiem wykonanej pracy, czyli jego ilość była zależna od procen-

tu wykonania ustalonych norm. Była to jednocześnie zapłata za wykonaną pracę. Za swoją pracę nie otrzymywaliśmy poza tym żadnego wynagrodzenia. Co otrzymywaliśmy jeszcze oprócz chleba? Na śniadanie dostawaliśmy połowę dziennej racji chleba, czerpak zupy oraz kawałek solonej ryby. Do picia był wydawany bez ograniczeń wrzątek. Śniadanie było zaliczką, która wliczana była w poczet ostatecznego rozrachunku na kolację, wydzielaną wg dziennego obrachunku wykonania norm pracy. Na kolację wydawano więc drugą, większą lub mniejszą rację chleba i zupę. Najmniejsza racja chleba obowiązująca za kołem podbiegunowym wynosiła 600 gramów. Czy były przypadki, że ludzie umierali w czasie pracy? Oczywiście, że były, ale raczej na zasadzie wypadków przy pracy, które przy każdej pracy występują. Zgonów w wyniku wycieńczenia nie było, występowały jednak często zasłabnięcia.

Zapamiętałem jedno drastyczne wydarzenie. Pewnego dnia w drodze powrotnej z miejsca pracy do obozu zasłabł jeden z więźniów. Przez jakiś czas prowadziliśmy go pod rękę. Każda brygada miała swego uzbrojonego strażnika. Nasz strażnik natychmiast zauważył zasłabniętego. Kazał go zostawić na śniegu, a nam iść dalej. Został przy nim. Po chwili usłyszeliśmy strzał. To strażnik przestrzelił mu nogę, po to, aby pozostawiony nie mógł uciec. Czy strażnik musiał tak postąpić? Zgodnie z regulaminem obowiązującym konwój – musiał! Odpowiadał za stan osobowy brygady, którą wyprowadzał z obozu, jak też za ogólną kondycję całej brygady. Musiał odprowadzić do obozu tyle osób, ile mu powierzono. Wleczenie ze sobą na wpół przytomnego więźnia wydłużyłoby czas powrotu do obozu i naraziło wielu na odmrożenia rąk, nóg, uszu i nosa. Taka okoliczność obniżyłaby siłę roboczą brygady i zwiększyła ilość chorych, czasowo niezdolnych do pracy. Za spowodowanie takiej sytuacji strażnik był odpowiedzialny. Ale dlaczego musiał przestrzelić nogę pozostawionemu i dokąd mógłby uciec półprzytomny człowiek na takim pustkowiu? Teoretycznie mógł, a do tego nie mógł dopuścić. Musiał więc „delikwenta” okaleczyć, aby po odprowadzeniu brygady mógł go „dostarczyć” do obozu. Pozostawiony mógł w tym czasie zamarznąć albo umrzeć z upływu krwi. Mógł, ale to była daleko mniejsza strata, niż osłabienie całej brygady. Taka była logika stalinowskich ustaleń regulaminowych. Co się działo dalej? Brygada wróciła w przewidzianym czasie do obozu. Rannego później dostarczono do obozu. Przeżył i nic mu szczególnie osobliwego się nie stało. Miał tylko niegroźne odmrożenia. Po pewnym czasie wykurował się, doszedł do siebie i znów chodził do pracy. Tym razem skończyło się wszystko szczęśliwie, ale w innych podobnych przypadkach – różnie bywało...

Warunki klimatyczne w Workucie

Jakie warunki klimatyczne panowały w okolicach Workuty? Zimy tu nie były tak przerażające jak na Syberii, a mrozy nie takie znów straszne. Zimą pogoda była bezwietrzna i w czasie mego tam pobytu mrozy rzadko przekraczały – 20 stopni Celsjusza. Często nie mieliśmy rękawic, a obnażone ręce zbytnio nie marzły. Często panowała niczym niezamącona cisza, nic nie drgnęło i trwał jakiś przerażający spokój. Człowiek w takich wa-

runkach czuł się jakoś nieswojo. W odległości ok. 20 km od naszego obozu był jeleniosowchoz, czyli państwowa ferma hodowlana jeleni. Jak tam gnano stado, słyszeliśmy bardzo wyraźnie ryki reniferów i okrzyki poganiaczy tak, jakby to się działo tuż obok. Powietrze było tak czyste i przejrzyste, że w pogodny dzień obserwowałem piękne zarysy Uralu, który znajdował się od nas ok. 40 km. Czy rosły tam drzewa? Nie. Drzew w naszym rozumieniu tam nie było. Tu rozciągała się strefa tundry. Gdzieś tam rosły karłowate brzoźki. One właśnie były dla nas swoistymi „słupami milowymi”, tj. miernikami odległości. Kiedy wracaliśmy z pracy do obozu, a odległość wynosiła ok. 5-6 km, to po tych brzożkach określaliśmy, ile mniej więcej czasu zajmie nam powrót do obozu. Zналиśmy dokładnie każdą brzożkę i nawet wiedzieliśmy, ile jest kroków od jednego do drugiego drzewka. Tak też mierzyliśmy wszelkie odległości.

Oprócz kosodrzewiny w tundrze rósł krzew w rodzaju wierzby lub łoży. Główną roślinnością tundry były różnego rodzaju mchy, a jeden z nich był gatunkiem służącym za podstawowe wyżywienie reniferów we wszystkich porach roku. Zimą renifery dogrzebywały się do tego mchu kopytami. Cała tundra była również porośnięta jagodnikiem borówki, zwanej też inaczej brusznicą. Jesienią całe połacie tundry czerwieniały od jagód. Zimą dojrzałe jagody przykrywał śnieg, którego warstwa sięgała od metra do półtora. Kiedy na wiosnę śniegi topniały, to cała tundra przybierała czerwony kolor. Borówka była już sfermentowana i miała słodkawy smak. Wolno nam było zbierać te jagody i jedliśmy je chętnie. Strażnicy stali od nas w odległości ok. 50 metrów i wobec braku zarośli mieli dobrą widoczność. Mogliśmy poruszać się swobodnie na określonym obszarze.

Na miejscu pracy paliliśmy ogniska, grzaliśmy się przy nich i wykonywaliśmy zleczone prace. Dalsza trasa kolejowa do Workuty była budowana w pierwszym rzucie prowizorycznie, nasze brygady wzmacniały ją i doprowadzały do stanu trwałego użytkowania. Najbardziej fascynującym zjawiskiem za kołem podbiegunowym była zorza polarna. Wiele o niej przedtem czytałem, ale to co obserwowałem na własne oczy nie da się opisać. Zorza ta występowała szczególnie barwnie i w niepowtarzalnej formie w okresie mroźnych, bezwietrznych i cichych nocy polarnych. Nieraz, kiedy wróciliśmy z pracy, po spożytej kolacji, zamiast iść spać, obserwowaliśmy niecodzienne piękno. Niebo mieniło się wszystkimi kolorami tęczy i całe drgało przedziwną poświatą. Pojawiały się fantastyczne kolorowe wstęgi rozwijające się i zwijające, kręgi świetlne, snopy barwnych promieni. Na niebie szalała symfonia barw i promieni, a wszystko to odbijało się w nieskazitelnej bieli śniegu. W czasie trwania tego zjawiska ogarniał wszystkich dziwny niepokój, jakiś niesamowity nastrój. Mnie również ogarniał jakiś niesamowity lęk. Tego wszystkiego nie da się opisać, można to zrozumieć, jak się samemu zobaczy zorzę. Przedtem na Polesiu bardzo rzadko widywałem zjawisko zorzy, ale były to tylko nikłe odbłaski, dalekie echo tego, co występuje za kręgiem polarnym. Bywały ciemne noce bezksiężycowe, ale w czasie zorzy świat przenikała fantastyczna, barwna, pulsująca poświata, dziwnie zabarwiająca ludzkie oblicza, a przy tym niesamowicie świeciły i gwiazdy na niebie. Świadkiem tych zdarzeń byłem wielokrotnie.

Jak tylko przybyłem w okolice Workuty w końcu stycznia 1945 r., od razu na miej-

scu mogłem skonfrontować wiadomości zapamiętane z lekcji geografii z rzeczywistością. Trwała tu polarna zima i noc przez pełne 24 godziny. Słońce w ogóle nie pokazywało się na horyzoncie, a tundrę w czasie teoretycznego południa, z tej strony, gdzie powinno było być słońce, oświetlała nikła poświata. Oświetlał też tundrę mniej lub więcej, w zależności od tego, w jakiej znajdował się fazie, księżyc. Migotliwe gwiazdy uzupełniały oświetlenie w bezksiężycowe noce. Kiedy nadchodziła kalendarzowa wiosna, słońko wstydliwie wychylało na krótko swoje oblicze zza horyzontu i znów się chowało, przed wschodem i zachodem rozjaśniając poświatą niebo. Stopniowo wychylało się i coraz dłużej gościło na niebie. Latem zaś nie zachodziło w ogóle, krążąc wokół horyzontu. Wtedy przez okrągłe doby trwał polarny dzień. Trudno było zorientować się, która mogła być godzina. Wielu z nas było całkowicie wytrąconych z rytmu dobowego i traciło rachubę czasu. W obozie nikt nie miał zegarka i nie było kalendarzy. Dysponowała nimi tylko komenda obozu i obozowa straż. Taka dezorientacja utrudniała zaśnięcie i wpływała ujemnie na stan psychiczny więźniów. Jedni szybciej się adaptowali do nietypowych warunków i mogli spać, inni chodzili jak obłąkani i wiele minęło czasu zanim zdołali się przyzwyczaić. Strażnicy nie przestrzegali ściśle regulaminowego czasu układania się do snu o godzinie 22. Rytm dnia był regulowany przez pobudkę o godzinie 5, śniadanie, wyjście do pracy, powrót do obozu i kolację. Jak wypędzano na robotę, to wszyscy wiedzieli, że nastąpi dzień następny.

Jedyną hodowlą, którą tu się trudniono, była – jak już o tym wspominałem – hodowla reniferów. Było ich mnóstwo, całe stada. W pobliżu płynęła rzeka Usa. Od czasu do czasu przeganiano te stada na drugi brzeg rzeki, wtedy nurt rzeki nie miał błękitnego odcienia, ale – od masy przepływających reniferów – popielaty. Ocenialiśmy ich pogłowię w tej okolicy na kilka tysięcy sztuk. Czy mieliśmy jakąś bezpośrednią korzyść z tych zwierząt? Tak, ale w stopniu znikomym. Hodowcy pozyskiwali z reniferów mleko, mięso i skóry, ale to wszystko trafiało do aparatu władzy i miejscowych wolnych mieszkańców. Mięso i skóry wywożono w głąb ZSRR. Do naszej kuchni obozowej mięso trafiało tylko czasami.

Codienne życie w obozie i ostateczny los futra pana Krzywopisz

Nasza prywatna odzież i obuwie zostały częściowo zrabowane przez starych łagierników, a pozostałe uległy zniszczeniu w trakcie pracy. Po pewnym czasie administracja obozowa zaczęła nam przydzielać umundurowanie po żołnierzach zabitych na froncie lub zdemobilizowanych. Wybieraliśmy odzież jak największą, szczególnie kurtki i płaszcze tak, aby można było zawinąć poła za połą. Wybieraliśmy sobie tzw. „buszlaty”, większe kufajki z dłuższymi rękawami, aby w nich chować przed mrozem ręce. Rękawice dawano rzadko, zresztą one się szybko zużywały. Guzików bardzo często w tej odzieży nie było. Radziliśmy sobie w ten sposób, że zdobywaliśmy jakieś powróta i nimi się przepasywaliśmy. Zdobyłem sobie gdzieś sznur o długości 3 – 4 metry. Pilnowałem go jak oka w głowie, aby się nie zniszczył. Żał mi go było ciąż, więc

okręcałem się nim całym tak, że wyglądałem jak opasany góralskim pasem. Naturalnie, że pas ten nie był wcale ozdobny. Na głowach mieliśmy stare czapki uszatki. Na nogach stare watowane spodnie. Bielizny nam nie wydawano. Każdy chodził w tej samej, zabranej z domu, a niektórzy w jej strzępach. Obuwie mieliśmy dość oryginalne. Na łydkach coś na kształt watowanych getrów. Nowe to nawet były ciepłe. Te getry kończyły się na stopach swoistymi łapciami. Nie były to jednak typowe łapcie, lecz kawałki opon samochodowych, podwiniętych z przodu i tyłu i odpowiednio sznurowanych. Zwano je tam „czuniami”. W tym pociesznym stroju wyglądaliśmy jak łachmaniarze. Generalnie biorąc byliśmy podwatowani i z tego powodu zdarzały się zabawne przygody. Kiedy ktoś nieuważnie suszył takie obuwie przy ognisku, a padła iskra, zaś człowiek obuł się przed wymarszem do obozu, wata zaczynała się żarzyć. Delikwent wtedy padał na śnieg, wrzeszczał i pocieszenie fikał nogami. Śmiechu było sporo. Dużo trzeba było zadać sobie trudu, aby taki „pożar” ugasić. Tak się jednak nieraz zdarzało.

A jak wyglądał barak? O wyposażeniu już wspominałem. Z czasem okna bez szyb zatkaliśmy szmatami bądź zakleiliśmy skrawkami papieru lub papy. Zrobiliśmy z żerdzi stół i ławy. Naszym piecem była 200. litrowa beczka po benzynie, z wyciętym otworem do podrzucania opału i otworem w górnym dnie do odprowadzania – blaszaną rurą przez dach – dymu. Z opałem były poważne kłopoty z powodu braku drzew w okolicy. Paliliśmy wtedy, kiedy wyszabrowaliśmy z miejsca pracy odpady drewna – kawałki podkładów, desek bądź żerdzi. Kiedy nie udało się czegoś przynieść, wtedy nie paliliśmy. O pryzkach zrobionych z rzadko zamocowanych żerdzi już wspominałem. O żadnych siennikach, poduszkach bądź kocach nie było mowy. Podczas snu żerdzie uwierały, ale musieliśmy się do tego przyzwyczaić. Zresztą człowiek tak był przemęczony pracą, ogólnymi warunkami życia i wycieńczony głodem, że ledwie padł na legowisko, natychmiast zasypiał. Jakie było oświetlenie? Na cały barak była jedna „koptilka”, tj. prymitywna blaszana lampka naftowa bez szklanej osłony. A personel lekarski? W baraku administracyjnym urzędował niewykształcony „łapi-duch”, który nie dysponował ani odpowiednimi narzędziami ani też lekami. Miał trochę środków opatrunkowych, nożyce, jodynę i termometr. Poważniej chorych kierowano do szpitala obozowego w innym łagrze.

Naczelnik obozu, strażnicy i konwojenci mieszkali poza terenem obozu, w barakach mieszkalnych, dość dobrze wyposażonych. Brygadziści, również aresztanci, mieszkali z nami. Niezbędny personel obozowy składał się z więźniów. Najwyższe stanowiska piastowali – „prorab”, czyli osoba kierująca pracami poza terenem obozu oraz „nariadczyk”, który dysponował siłą roboczą, przydzielał brygady do konkretnych prac, rozliczał wykonanie norm. W obozie były również inne atrakcyjne funkcje jak kucharz, „chleborez” porcjujący i wydający racje chleba, magazynier ekwipunku obozowego i inni. Zwano tę administrację obozową „pryduckami”, kimś w rodzaju przygłupków. Była to arystokracja obozowa, która żerowała na pozostałych więźniach.

Ile mogło być ludzi w takich obozach? Były one różne, w zależności od wielkości budowanego w pobliżu obiektu lub funkcjonującego przedsiębiorstwa. O wielkości obozu decydowało zapotrzebowanie na siłę roboczą. Mój pierwszy obóz liczył kilkanaście baraków. Kilka z nich wykorzystywano na pomieszczenia administracyjno-gospodarcze, a w pozostałych mieszkali więźniowie i aresztanci bez wyroku. Były też obozy znacznie większe, wybudowane przez naszych poprzedników. Liczyły one wiele tysięcy osób. Z reguły też większe były obozy centralne zgrupowań i oddziałów. W nich były umiejscowione szpitale obozowe, a w pobliżu składy i magazyny oraz liczne domy administracji i strażników. Jeden z naszych baraków był przeznaczony na potrzeby administracyjne. Były w nim pomieszczenia m. in. dla proraba, nariadczyka i innego personelu. Urzędował tam również „łapiduch” i księgowość obozowa.

Z powodu posiadania pięknego futra pana Krzywopiszy miałem od samego początku poważne problemy. Oczywiście wszyscy mieli na nie „chrapkę”, zarówno towarzysze niedoli, starzy łagiernicy, jak też obozowi prominenci, zwani „pryduckami”. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie zrabowano mi futra pierwszej nocy ani też później. Nie roztawiałem się z nim ani na chwilę. Było ono zawsze albo na mnie, albo też obok mnie, w zasięgu ręki. Z desperacją i ze stoickim spokojem znosiłem częste pod moim adresem docinki na temat rzekomej mej zamożności i byłego pańskiego pochodzenia, uwierzytelnianych posiadaniem wytwornego okrycia. Każdy mój ruch śledziły setki pożądlivych i zachłannych oczu. Nie opuszczało mnie uczucie niepokoju. Trwałem w stanie napięcia i nieustannej czujności w obawie o los futra. Obawiałem się, że w nocy ściągną ze mnie mój skarb, a co gorsze, mogą jeszcze zabić. No i cóż? Ostatecznie nerwowo nie wytrzymałem i postanowiłem go jak najkorzystniej przehandlować.

Dokonałem jednak złego wyboru. Zamiast z kierownikiem robót (prorabem), który był prominentem wyższej obozowej rangi, dokonałem transakcji wymiennej z nariadczykiem. Otrzymałem od niego trochę chleba i innej żywności oraz obietnicę zwolnienia na kilka dni z pracy. Żywność szybko została zjedzona. W zamian za futro dostałem „buszlat” i kilka dni przebumelowałem w obozie. I na tym koniec. Po futrze zostały tylko wspomnienia. Nariadczyk na dłuższą metę nie miał bezpośredniego wpływu na moje zwolnienie, a następnie na przydział lżejszej roboty. Probab był niezadowolony, że futro przeszło mu koło nosa i powiedział mi: „Głupi jesteś. Widzisz, gdybyś ze mną ubił interes, to byś w ogóle do roboty nie chodził”. No, ale trudno. Żałowałem, że się przeliczyłem, ale jak tam mówiono: „polskie draki kułakami nie maszut” (czyli po bójce nie wymachuje się pięściami). Należało w tym przypadku zademonstrować gest rezygnacji, tj. szybko podnieść rękę do góry i jeszcze szybciej ją opuścić. Tak też uczyniłem... W ten oto sposób pozbyłem się nieustannego stresu związanego z futrem i pamiętki po nieszczęsnym panu Krzywopiszy. Przyoblekłem się w typowy strój obozowy, nie rzucając się swym wyglądem zewnętrznym nikomu w oczy. Stałem się odtąd przeciętnikiem. Niebawem też rozpocząłem dalszą wędrówkę po kolejnych obozach pierwszego oddziału zgrupowania łagrów workuckich.

Niewiarygodna wiadomość o repatriacji

Do wiosny 1945 roku zaliczyłem jeszcze dwa kolejne obozy w moim zgrupowaniu. Warunki pracy i warunki bytowe nie różniły się niczym szczególnym. Wszystkie trzy obozy były rozmieszczone w odległości kilkunastu kilometrów. Sytuacja zmieniła się o tyle, że z nadejściem wiosny zaczęły topnieć śniegi i zaczęło ukazywać się na horyzoncie słońce, najpierw na krótko, jakoś wstydliwie, z dnia na dzień zataczając jednak dłuższe łuki na niebie. Polarna nieustająca noc przekształcała się w nieustający polarny dzień. Słońce jednak nigdy nie wznosiło się w samo południe tak wysoko jak na moim Polesiu. Sięgało maksymalnie do 45° nad poziomem ziemi, a w pełni workuckiego lata krążyło nieustannie wokół horyzontu, to zniżając się do linii rozgraniczającej niebo od ziemi, to wznosząc się ponad nią. Promienie stałe padały ukośnie. Tak jak wszystkim, również i mnie, najpierw przedwiośnie, a następnie wczesna wiosna dawały się we znaki. Organizmy nasze wycieńczyła ciężka praca, marne odżywianie, brak tłuszczów i witamin oraz fatalne warunki życiowe. Nieustanna noc i brak słońca też zrobiły swoje. Zaczęliśmy się śłaniać na nogach. Znacznym wsparciem dla nas stały się przemarznięte i już sfermentowane borówki, które w miarę tajania śniegu, zaczęły się ukazywać na podszyciu tundry. Tundra znów zaczęła czerwienieć od tych jagód, a my zbieraliśmy i jedliśmy je łapczywie. Jak renifery mchem, tak my paśliśmy się tymi borówkami. Nie gardzili jagodami również i strażnicy. Były bogate w cenne witaminy o smaku kwaśno-słodkawym.

Po pewnym czasie skierowano nas do oczyszczania rowów przy torach kolejowych z nagromadzonych w nich śniegów i wkrótce papki śnieżno-wodnistej. Chodziło chyba o zapewnienie drożności podczas spływu wiosennych wód przez liczne przepusty i zapobieganie podtapianiu torowiska. Roboty ziemne zostały wtedy wstrzymane. Staliśmy w tych rowach przez 8 godzin powyżej kolan w śnieżno-wodnistej papce, szuflami i pojemnikami usuwając ją na zbocza. Nogi drętwiały od wilgoci i zimna. Jedyne ratunkiem był nieustanny ruch, czyli praca. Tak pracowaliśmy przez cały tydzień. Nie wiem, jak to przetrzymałem. Brygadzysta, wredny Rosjanin, jeszcze nam przygadywał: „No, Polaczki! Ja was wszystkich wykończę!” Jednak nie spełniły się jego ohydne pogroźki. Sądzony był nam inny los... Taka wegetacja i udręka trwała do maja 1945 roku. Pewnego dnia w początkach maja nie wypędzono nas do pracy. Zebrano wszystkich Polaków na placu obozowym i naczelnik oświadczył: „Jutro wszyscy Polacy, którzy zostaną wyczytani zostaną przeniesieni do innego obozu. Nie dotyczy to tych, którzy zostali osądzeni i otrzymali wyroki na pobyt w łagrach”. Początkowo nie wiedzieliśmy, o co tu chodzi. Obawialiśmy się, czy nie szykuje się gorszy los. Wśród wielu nazwisk wyczytano i moje.

Następnego dnia, tych zakwalifikowanych do przeniesienia uformowano w kolumnę i pod nadzorem konwojenta poprowadzono torami w nieznane. Maszerowaliśmy pieszo torami lub obok torów w grząskiej śnieżnej papce w kierunku zachodnim na Peczorę, oddalając się od Workuty. W trakcie tej wędrówki podwożono nas na pewnych odcinkach koleją. Nie bardzo się orientowałem, ile kilometrów przebyliśmy w ciągu tego dnia.

Być może kilkadziesiąt. Dotarliśmy wreszcie do zapowiadanego innego obozu, znużeni i przemęczeni, dręczeni niepewnością, co będzie dalej. Okazało się jednak, że nie był to typowy obóz, lecz duży szpital obozowy. W tym ośrodku było około 20 dużych baraków. Nie pamiętam, czy ten ośrodek miał konkretną nazwę czy też numer. W tych okolicach większość placówek obozowych miało tylko numery. Ośrodek był położony w pobliżu workuckiej magistrali kolejowej. Tu nam oświadczone, że rząd polski upominał się o nas, a rząd sowiecki zezwolił na naszą repatriację do Polski. Wiadomością tą zostaliśmy wręcz zaszokowani i ogarnęła nas niepohamowana radość. Nowina była dla mnie niewiarygodną wręcz niespodzianką. Zwątpilem już, że uda mi się przeżyć workuckie piekło i zobaczyć kiedykolwiek Polskę i rodzinę. Zaczęliśmy nadstawiać ucha, kto co mówi i dzielić się między sobą pogłoskami. Niektórzy mówili, że zachodnie państwa sprzymierzone z ZSRR wymusiły zwolnienie przetrzymywanych przez Stalina Polaków. Inni przypisywali te starania polskiemu rządowi w Londynie i Mikołajczykowi. Nikt nic dokładnie nie wiedział. Kto się o nas upominał, wtedy dla nas było mniej istotne. Ważne było to, że wracamy do kraju. Mówiono nam, że już przed naszym przybyciem odeszły stąd do Polski dwa transporty kolejowe. My mieliśmy być tym trzecim.

Zaliczyłem dotąd, od chwili mego aresztowania w Prużanie, prawie miesiąc pobytu w aresztach i okres wędrówki do Workuty, ponad 3 miesiące spędziłem w trzech łagrach w I oddziale workuckiego zgrupowania. Teraz była pora do zastanowienia się nad swoim dotychczasowym losem. Na jakiej podstawie przebywałem w tych łagrach? Jaki był mój status? Czy byłem zesłańcem, czy też więźniem? Do dnia dzisiejszego nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Nie miałem żadnego śledztwa. Nikt mnie o nic nie oskarżał, nikt mnie nie sądził i nie miałem konkretnego wyroku. Mówiono potem, że było jakieś tajemnicze OSO w Moskwie, które ferowało zaocznie wyroki skazujące na ileś lat łagrów bądź zesłania. Skazańcy tacy byli powiadamiani o takich zaocznych decyzjach i musieli podpisać paperek, że przyjęli to do wiadomości. Otrzymywali zaświadczenia, że znajdują się pod jawnym nadzorem NKWD. W ustalonych terminach musieli się meldować w komendanturach. Mieszkali w wyznaczonych miejscowościach, w domach tubylców, bez prawa opuszczania miejsca pobytu. Pracowali w wyznaczonych miejscach pracy i otrzymywali wynagrodzenie. Byli ludźmi na poły wolnymi. A my? Nie będąc formalnie skazanymi, byliśmy traktowani jak więźniowie. Nie wydano nam żadnych dokumentów (zaświadczeń). Trzymano nas w łagrach pod strażą i pod strażą wypędzano do pracy. Przetrzymywano razem z więźniami politycznymi i traktowano jak więźniów. Cała deportacja w wagonach towarowych charakteryzowała się więziennym reżimem. Już po repatriacji dowiedziałem się od osób deportowanych masowo z Prużany 20 czerwca 1941r., jak wyglądało to w ich przypadku. Mieli oni w wagonach prycze, codziennie wypuszczano ich na świeże powietrze dla zrobienia zakupów w wagonie-sklepiku. Wszyscy zabrali z domu pokaźne bagaże. Płacono nawet diety. Z nami postępowano jak z przestępcami, zupełnie inaczej. Dlaczego?

Niezbadane były pomysły Stalina i jego ślepego narzędzia NKWD! Byliśmy bezprawnie skierowani w miejsce odosobnienia na jakichś nietypowych zasadach, zapewne pro-

filaktycznie, aby nie skomplikować Stalinowi utrwalania władzy na Kresach Wschodnich, a władzy ludowej pod egidą tegoż Stalina w Polsce. Taka była wola dyktatora i taki był sądzony nam los! Ale teraz po ogłoszeniu repatriacji wydawało się nam, że wszystko co złe już „przeminęło z wiatrem”. Nastrój nasz nieustannie się polepszał. Ze stanu beznadziejności przeszliśmy nagle w stan błogiej nadziei i wiary w lepsze dla nas jutro. Wszyscy już byli pewni, że lada dzień opuścimy to workuckie piekło na ziemi i połączymy się w kraju z rodzinami. Niebawem okazało się, że „nie mów hop, zanim nie przeskoczysz”. Los przewrotnie splotał nam okrutnego figla.

Oczekiwanie na repatriację

We wspomnianych dwudziestu barakach obozowego szpitala zgrupowano około 12 tysięcy Polaków. Było w nich niesamowite przepełnienie. Do spania służyły nie ciągłe prycze, ale tzw. „wagonki”. Były to konstrukcje 8. osobowych legowisk – na parterze obok siebie dwa 2. osobowe legowiska, a na piętrze dwa kolejne. W normalnych warunkach na takiej „wagonce” spały 4 osoby, po jednej na każdym pościu. W przypadku zagęszczenia na każdym legowisku spały dość ciasno po 2 osoby. W sumie 8 osób. Teraz spało 16 osób. Ludzie leżeli ciasno do siebie przytuleni, tylko na boku, ułożeni jak śledzie w beczce. Jeśli ktoś chciał się przewrócić z boku na bok, na hasło musieli to robić wszyscy. W przeciwnym przypadku ci skrajni spadliby na podłogę, a najgorzej wyszliby na tym śpiący na piętrze. Przebywaliśmy w tym szpitalu około miesiąca, do przełomu maja i czerwca 1945 roku.

Już nazajutrz po naszym tu przybyciu przystąpiono energicznie do wyrabiania nam osobistych dokumentów (dotąd nie mieliśmy żadnych). Każdego wypytywano szczegółowo o datę i miejsce urodzenia, o rodziców i krewnych i o pochodzenie. Zadawano każdemu pytania dotyczące wielu spraw. Sporządzano ankiety osobowe. Wyżywienie stało się lepsze. Zwiększono racje chleba. Wyglądaliśmy okropnie, a chciano nas doprowadzić do takiego stanu, byśmy wyglądali jak ludzie. Siedziałem sobie beczynnie w tym szpitalu, bez pracy i w cieple. Stopniowo nabierałem ciała i nawet nie mogłem zjadać przydzielonej pajdy chleba. Czy wydano nam pościel i jakieś lepsze ubranie? Nie! Widocznie nie byli w stanie zapewnić ich takiej masie ludzi. Spaliśmy nadal na pryczach, bez sienników i koców, a prycze te nadal były wykonane z rzadko ułożonych żerdzi. Byłem do tego już przyzwyczajony. Chodziliśmy wciąż w tych samych ubraniach i obuwiu. Przyodziano tylko niektórych najbardziej obszarpanych.

Życie biegło monotonna, ale wciąż mieliśmy nadzieję na powrót do kraju. Należy jednak zaznaczyć, że wydano nam nową bieliznę, bo dotychczas, od czasu aresztowania, nie było mowy o jej zmianie. Jedni nosili jej strzępy, a inni już w ogóle jej nie mieli. W obozie był personel medyczny – lekarz i kilka pielęgniarek – sami Rosjanie. Urzędowali w centralnym ambulatorium, a w barakach tego personelu nie było. Nie byliśmy chorzy, tylko wycieńczeni i osłabieni. Nieliczni chorzy mieli zapewnioną godziwą opiekę lekarską. Mó-

wiono nam, że zostaniemy stamtąd wyprawieni trzecim „eszałonem”, czyli trzecim transportem. Czekaliśmy, czekaliśmy i wreszcie się doczekaliśmy. Wyprawiono nas jednak nie do Polski, ale – ku naszemu zdumieniu i zaskoczeniu – tylko jakieś 1000 – 1200 km na południowy zachód do archangielskiego obwodu. Zatrzymywaliśmy się często na różnych stacjach. Przy wielu z nich znajdowały się obozy. Na postojach, na każdej stacji, wysadzano nas kolejno, po jednym wagonie – a transport jechał wciąż dalej.

Uświadomiłem sobie, tak jak i moi towarzysze, że nadzieje na repatriację do Polski były płonne. Zaczęły mnie dręczyć pytania. Co się stało? Czy nasz kraj zrezygnował z przyjęcia dziesiątek tysięcy repatriantów z ZSRR? Czy nie mógł im zabezpieczyć godziwego bytu? Czy byliśmy w kraju niepożądani jako element niepewny? A może rząd radziecki się rozmyślił i uznał za celowe zatrzymanie u siebie darmowych robotników do pracy. Po długotrwałej i wyniszczającej wojnie z Niemcami, ogromne połacie ZSRR były zrujnowane. Na froncie wyginęło kilkanaście milionów radzieckich obywateli, a znacznie więcej było kalek i inwalidów. Polska darmowa siła robocza była więc bardzo potrzebna! Uświadomiłem sobie, że będę nadal pozostawał w ZSRR na czas nieokreślony i że będę musiał pracować ponad siły. Powrót do kraju stanął pod znakiem zapytania... Przygasły wiara i nadzieja. Opanowały mnie zwątpienie w lepsze jutro i rezygnacja. Na jednej ze stacji przyszła kolej i na nasz wagon. Zostaliśmy wyladowani na stacji Protoka i skierowani – nadal pod strażą – do miejscowego obozu, nie jako wolni polscy obywatele, lecz nadal jako radzieccy więźniowie bez żadnych praw. Tym razem znalazłem się w południowej części obwodu archangielskiego, już nie w strefie polarnej, a w okolicach miasta Kotłas. Tu czekało na mnie życie niewiele lepsze niż w sławetnej Workucie.

Tam, gdzie niedawno siedział Konstanty Rokossowski

Rzekomi repatrianci tj. lokatorzy naszego wagonu, w liczbie około 40 osób, a z nimi i ja, zostali skierowani do miejscowego obozu. Jechaliśmy do tej Protoki w nieco lepszych warunkach niż do Workuty. Wagony były co jakiś czas otwierane, wydawano nam żywność i wodę. Nie nękał nas mróz, bo kończyła się wiosna i zbliżało lato. Nie pamiętam już dokładnie, jak długo tam jechaliśmy, ale chyba jakiś tydzień. Protoka leżała nad jakąś dużą rzeką, jeśli mnie pamięć nie myli była to Wyrta. Nie było tu tundry, a rosły spore lasy. Nie występowało tu zjawisko polarnej nocy. Słońce wznosiło się wyżej niż w Workucie. Jak tylko przybyliśmy do obozu w Protoce, przebywający w nim wcześniej więźniowie pokpiwali z nas. Jeden z nich powiedział: „Gdybyś wcześniej przyjechał, to spotkałbyś tu swego sławnego rodaka, Konstantego Rokossowskiego”. Przed aresztowaniem był podobno adiutantem marszałka Tuchaczewskiego, również z pochodzenia Polaka. Po politycznym procesie i rozstrzelaniu marszałka, wszyscy jego współpracownicy byli represjonowani. Rokossowski miał szczęście, pozostawiono go przy życiu. Otrzymał wyrok i został skierowany do łagru. Pod koniec pobytu w obozach, trafił do Protoki i pełnił tu funkcję nariadczyka. Przed aresztowaniem miał w Armii Czerwonej rangę odpowiadającą majorowi czy też podpułkownikowi. Po napaści Niemiec na ZSRR,

w czerwcu 1941 roku, kiedy armia Stalina ponosiła klęskę za klęską i brakowało dobrych dowódców, Rokossowski został amnestionowany. Szybko wyróżnił się na froncie i błyskawicznie awansował do stopnia generała. Utworzył wkrótce armię, w dużej części złożoną z byłych więźniów politycznych i kryminalistów. W czasie mobilizacji Rokossowski obiecał więźniom umorzenie wyroków i dalszej odsiadki w łagrach pod warunkiem, że bezprzykładną odwagą i krwią zmażą swe przewinienia. Armia ta odznaczała się na froncie wielkim męstwem i w istotny sposób przyczyniła się do ostatecznego zwycięstwa. Niemcy panicznie bali się ataków, podkomendnych Rokossowskiego, szczególnie na bagnety. Ci ruszali do boju z okrzykiem, którego nie wypada tłumaczyć na język polski. Przez pierwszą dobę dowódca pozwalał im na wszelkie bezceństwa na zdobytym terenie. Gwałcili wtedy, mordowali i rabowali bezkarnie, siali grozę wśród nieprzyjaciół i miejscowej ludności. Większość z nich zginęła, ale ci którzy przeżyli mieli żal do Rokossowskiego. On uzyskał tytuł dowódcy frontu białoruskiego i tytuł marszałka, a byli więźniowie z frontu powrócili do łagrów, aby odsiedzieć do końca swe wyroki. A przecież tyle tym straceńcom obiecał... Spotykałem tych ludzi w obozie i rozmawiałem z nimi. Obserwowałem ich niezmierny żal do władzy radzieckiej, do ich marszałka. Być może Rokossowski chciał dotrzymać słowa, ale nie pozwolił na to Stalin... Kto to wie? Taki jednak a nie inny los spotkał byłych i obecnych więźniów, nieraz rzeczywistych bohaterów wielkiej wojny ojczyźnianej. Stalin do wszystkiego był zdolny...

W szpitalu dla gruźlików i w kolejnym

Po przybyciu do obozu w Protoce nasza czterdziestka przeszła rutynową „obróbkę” sanitarną. Zbadano nas i komisja lekarska orzekła, że jeszcze nie doszliśmy do wymaganej formy i że jesteśmy wyczerpani podróżą. Skierowano nas do obozowego szpitala. Był to już drugi szpital w mojej „karierze” deportowanego. Było w nim również sporo ludzi, bo około 10 tysięcy osób. Szpital ten był w zasadzie przeznaczony dla gruźlików. Byli oni zgrupowani w odrębnych barakach, my zaś w innych. Wyżywienie było tu gorsze niż w poprzednim szpitalu, ale dało się wytrzymać. Ponieważ nie pracowaliśmy, więc zapotrzebowanie na kalorie było mniejsze. Szpital obsługiwała brygada robocza. Zaopatrywała szpital w prowiant, wykonywała drobne remonty, uprawiała ogródek. Kontaktowałem się z członkami tej brygady i „uprawiałem” handel wymienny. S

tałem się tam też świadkiem niecodziennego wydarzenia. Na piaszczystym poletku zasiano rzodkiewkę dla potrzeb kuchni. Przygrzewało słońce, bo to już był początek czerwca 1945 roku. Rzodkiewka zazieleniła się. Jeszcze tydzień, dwa i byłaby gotowa do zjedzenia. Pewnego dnia patrzymy – a rzodkiewka znikła! Pomyśleliśmy, że administracja obozowa uznała uprawę za zbytęcną i kazała ją zlikwidować, ale okazało się, że nic podobnego. Wypuszczono właśnie z baraków gruźlików i to oni jak szarańcza rzucili się na poletko i błyskawicznie wyjedli wszystko do gołego piasku, i liście, i zawiązki rzodkiewek. Tak byli wygłodzeni i złaknieni witamin. Był to namacalny dowód, jak karmiono chorych. Jak niebawem zorientowaliśmy się, więźniami tymi byli starzy sowieccy więź-

niowie, głównie Rosjanie, którzy zostali osadzeni w łagrach wtedy, kiedy jeszcze nie byli w nich lokowani Polacy, kiedy nas osadzano na północy ZSRR. Przebywałem już w tym szpitalu kilka tygodni na zasadach ozdrowieńca, ale zdawałem sobie sprawę, że wkrótce moim przywilejom nadejdzie zostanie położony kres i znów zostaną skierowany do ciężkiej pracy. Zacząłem symulować chorobę. Lekarze jednak nie dali się nabrać i nie uwierzyli w pozorowaną chorobę. Znalazłem jednak u nich zrozumienie, postanowili wydłużyć mój wypoczynek.

Skierowano mnie do kolejnego, trzeciego już szpitala w Protoce, gdzie nie było gruźlików. Nie cierpiałem na żadną dolegliwość, a tylko na brak jedzenia i nadal na niewystarczający odpoczynek. Co prawda leżałem i nic nie robiłem, ale kiszki „marsza grały”. Otrzymywałem teraz tylko 300 gramów chleba dziennie. Oprócz chleba była wodnista zupa – poleweczka. Dawano nam od czasu do czasu w mikroskopijnych ilościach kaszę. Była to zazwyczaj kasza manna w kostkach. Taka kostka zgęstniałej kaszy średnio miała wymiary 3x4x4 cm. Zupa była zaciągnięta otrębami lub jakąś podłą zaprawą. Doszedłem do wniosku, że marne są tu moje szanse. Zamiast poprawiać kondycję, zaczynam podupadać na siłach. Postanowiłem znaleźć wyjście z niekorzystnej dla mnie sytuacji. Zaprzyjaźniłem się z sanitariuszem, Rosjaninem. Był to niedouczony student medycyny i dość przystępny człowiek. Pewnego dnia powiedziałem do niego: „Mam dość leżenia! Jak tylko będę ze szpitala kierować ozdrowieńców do pododdziałów, gdzie jest możliwe lekka praca i możliwość zdobycia dodatkowego wyżywienia, wpisz mnie na listę!”. Sanitariusz pomyślał i odpowiedział: „Wiesz co? Niebawem będą formować zespół robotników do warzywniczego „podsobnowo chazajstwa” (tj. pomocniczego gospodarstwa). Postaram się tam ciebie skierować”. Jeszcze wegetowałem w szpitalu kilka dni. Dalej jadłem wodnistą zupę gotowaną z „iwan-czajem”. Była to roślina spotykana również i w naszych polskich lasach. Liście ma zielone, podługne, podobne do liści wierzbowych, kwitnie na niebiesko. Kobiety z obozu zbierały te liście i gotowały je w zupie. Smak nija-ki, a wartość odżywcza wątpliwa. Każdy, kto miał możliwość zrywał dodatkowo lebiodę, jadł liście na surowo bądź wrzucał do zupy, aby zapełnić żołądek czymś bardziej treściwym. Nie minęło wiele dni, aż nareszcie wywołano mnie do wymarszu. Sanitariusz dotrzymał słowa. Udałem się pieszo do owego „chazajstwa”.

W podsobnym chazajstwie, w obozie Mieżog i w szpitalu wariatów

Znalazłem się wreszcie, jak tego chciałem, w warzywniczym gospodarstwie pomocniczym. Znajdowało się ono niedaleko od szpitala oraz od Protoki. Zgrupowanie wszystkich okolicznych obozów znajdowało się przy linii kolejowej w Kniaż- Pogoście. Protoka zaś i inne obozy rozciągały się wokół w promieniu 10 km. Następnym większym miastem w kierunku Moskwy był Kotłas nad północną Dźwiną. W gospodarstwie pomocniczym, do którego przybyłem, uprawiano marchew, buraki, kapustę i inne warzywa. Obejrzano mnie i uznano, że jako ozdrowieniec ze szpitala jeszcze jestem zbyt osłabiony. Zastosowano wobec mnie taryfę ulgową. Przez dwa tygodnie miałem pracować

w polu – zamiast ośmiu – sześć godzin dziennie. Zatrudniono mnie przy pieleniu warzyw. Pielilem więc marchewkę, buraki i to co mi kazano. Mając okazję zjadałem w polu, co się nadawało do jedzenia, a szczególnie marchewkę. Małą zostawiałem, a większą zjadałem dopóty, dopóki nie zapełniłem żołądka. Tak robili wszyscy. Poprawiła się moja kondycja, więc przeszedłem na ośmiogodzinny dzień pracy i czułem się już dość dobrze. Co jakiś czas nas ważono. Okazało się, że przybrałem na wadze. Zupa obfitowała w warzywa. Racje chleba oscylowały wokół 600 gramów, w zależności od wykonania norm. Nie mogłem zbytnio narzekać. Straż pilnowała nas jak przedtem, towarzyszyła nam do pracy i baraków. Byliśmy wciąż traktowani jak więźniowie, ale bardziej tolerancyjnie.

Był to jeden z lepszych okresów mego zesłania. Niebawem jednak moja praca na roli dobiegła końca. Jesienią nie było już wiele do roboty, więc wraz z innymi towarzyszami zostałem skierowany w inne miejsce. Wciąż pozostawałem w zgrupowaniu obozów Książ-Pogost. Trafiłem do obozu Mieżog w miejscowości Mierocznaja. Obok tego obozu, w odległości około pół kilometra, znajdował się obóz dla chorych psychicznie. Tam nas skierowano. Początkowo nie wiedzieliśmy dlaczego? Niebawem dowiedzieliśmy się, że zarządzono generalne odpluskwianie. Rzeczywiście, była tych pluskiew taka masa, że całe ściany były czerwone od stale rozgniatanego robactwa. Wieczorami zaś sufit był brązowy od pełzających insektów. Żartowano, że pluskwy miały odwłoki jak małe pszczoły. Były duże i wykarmione na naszej krwi.

Odpluskwianie w obozach wyglądało mniej więcej tak...W opróżnionym baraku uszczelniano wszystkie otwory i szczeliny. Szpary w oknach i drzwiach zaklejano paskami z gazet. W kilku naczyniach zapalano siarkę i zabezpieczano ostatnie drzwi wyjściowe. Siarka paliła się całą dobę, wydzielając trujący gaz. Następnego dnia otwierano wszystkie okna i drzwi i przez kilka dni wietrzono pomieszczenie. Skutki tego zabiegu były zdumiewające! Cała podłoga – na wysokość dłoni – była usłana warstwą pluskiew. Były ich miliony. Trudno było uwierzyć, że tyle ich mogło być w szczelinach i zakamarkach. Zbierano to martwe paskudztwo szuflami i łopatami. Po takim zabiegu był spokój przez kilka miesięcy, ale robactwo się później odradzało. Do obozu chorych psychicznie skierowano nas na tydzień, bo tyle trwało odpluskwianie w obozie Mieżog.

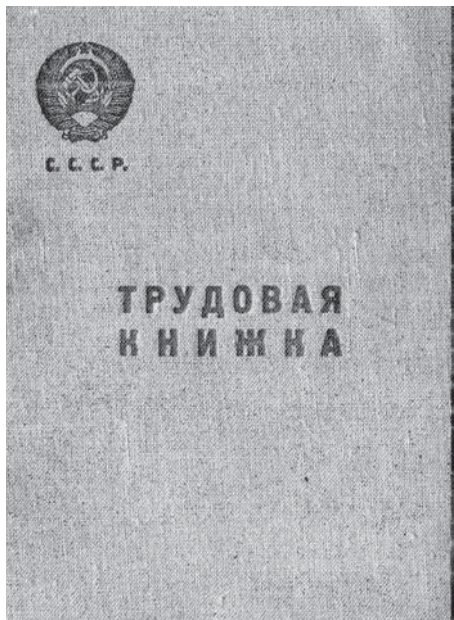
Miałem okazję zobaczyć, jak wygląda radziecki obóz wariatów. Baraki w tym ośrodku były zupełnie inne niż w normalnych obozach. Budowane były z bali, układanych nie poziomo, lecz ustawianych pionowo na sztorc. Początkowo dziwiliśmy się, dlaczego akurat w taki sposób. Rychło uświadomiliśmy sobie, że takie ustawianie bali miało swój sens. Chodziło o to, aby uniemożliwić chorym wdrapywanie się do okien. Pomieszczenia były wysokie do 5 m, a okna zamontowane wysoko pod sufitem. W barakach panował półmrok. Stoły były przyśrubowane do podłogi, nie można ich było ruszyć z miejsc. Prycze też były wykonane bardzo solidnie. Żaden ich element nie mógł być ruchomy lub oderwany. Kiedy tam przybyliśmy, chorych ścieśniono, a nas rozlokowano w zwolnionych barakach. Naczelnym lekarzem była niejaka Malinowska, pod której opieką był też nasz oddział, ale ona nas rzadko odwiedzała. Była to sympatyczna kobieta, prawdopo-

dobnie też więźniarka. Miała polskie nazwisko, ale chyba nie była Polką. Rozmawiała wyłącznie po rosyjsku. Być może pochodziła z rodziny dawnych polskich zesłańców z carskich czasów. Jeśli tak, to była całkowicie zrusyfikowana. Wyglądało na to, że była lekarzem z prawdziwego zdarzenia i to dobrym lekarzem. Była, jak żartowaliśmy, głównym „hersztem” w tym ośrodku i dysponowała okazałym personelem pomocniczym. Szybko się tu zaaklimatyzowałem i zacząłem leczyć już od dawna psujące się zęby. Leczyła mnie taka dentystka, która ledwie powąchała tę profesję, a może też tylko przyuczyła się do tej specjalności? Mówiono, że ta więźniarka studiowała trochę medycynę, ale nie wiadomo, czy akurat stomatologię. Miałem wtedy połowę zepsutych, w mniejszym lub większym stopniu, zębów. W ciągu tygodnia, ta dentystka nie tyle wyleczyła, ile wykruśliła i wypaliła moje zepsute i uszkodzone zęby. Zostawiła mi połowę własnych zębów. Stałem się całkowicie szczerbaty. Miałem kłopoty z przeżuwaniem jedzenia, ale bóle zębów mnie na razie nie nękały. Nie miałem okazji dokładniej przyjrzeć się obłąkanym, ponieważ stale przebywali w zamknięciu. Na przełomie sierpnia i września przybyli do obozu tzw. kupcy, tj. przedstawiciele przedsiębiorstw, które miały zapotrzebowanie na siłę roboczą. Zaczęły się badania lekarskie. Na czym one polegały? Należało spuścić spodnie i pokazać pośladki. Jeśli było na nim trochę mięśni, to oznaczało, że badany jest zdolny do roboty. Jeśli były same powleczone skórą kości, to oznaczało, że delikwenta należy podkurować do stanu „rabotosposobnosti”, tj. zdolności do pracy.

Na „lesopowale” w obozie nr 21

„Kupił” mnie przedsiębiorca zajmujący się wyrębem lasu. Byłem wtedy dość odkarmiony, musiałem mieć nieco mięśni na pośladkach, stąd też uznano, że nadaję się do robot leśnych. Niestety, musiałem opuścić zgrupowanie obozów Książ-Pogost i przewieziono mnie mniej więcej 80 km na południe. Tam skierowano mnie do obozu, który nie miał określonej nazwy, a tylko numer – 21. Wiele obozów nie miało nazw, a tylko numery. Obozu tego za dnia wcale nie widziałem. Wychodziłem do pracy o porannym zmroku, a wracałem z lasu późnym wieczorem. W pobliżu był drugi obóz, a właściwie podobóz obozu nr 21. Zwano go „Kołonna”. Tam również pracowano na lesopowale, czyli na wyrębie lasu. Jakiś czas przebywałem również w tej „Kołonnie”.

Szybko nadeszła późna jesień, a następnie śnieżna zima. Przyodziani w wojskowe czapki uszatki, w buszlaty i tielogrejki, obuci w sławne czunie, człapaliśmy do 10 km w głąb lasu. Kiedy nasiliły się śnieżne opady, najtrudniej było przedzierać się przez świeże, puszyste zaspy sięgające do półtora metra. Na przodzie kolumny kroczyli najbardziej silni i sprawni, brnąc po pas w śniegu i torowali drogę do lasu. Za nimi szli nieco słabsi, miętosząc rozdrobnione zaspy i ubijając drogę. Na końcu wlekli się naj słabsi, podążając po już przetartym szlaku. Czołówka taranująca zwały śniegu co jakiś czas się wymieniała. Chociaż droga do lasu została przetarta, nie oznaczało to jednak, że bez problemu wrócimy nią do obozu. Śnieg często padał, częste były też zawieje zwane burianami lub pургami, więc nieraz w ciągu dnia droga została całkowicie zasypała. Zmęczeni ciężką



Трудовая книжка

Фамилия Смолевский

Имя Станислав

Отчество Иванович

Год рождения 1921

Образование: начальное, среднее, высшее
(подчеркнуть)

Профессия Стар. рабочий связи

Подпись владельца Трудовой книжки
Смолевский

Дата заполнения Трудовой книжки
14.02.86 1976 г.

„Należało spuścić spodnie i pokazać pośladki. Jeśli było na nim trochę mięśni, to oznaczało, że badany jest zdalny do roboty...”. Książeczka pracy („Trudowaja kniżka”) Stanisława Smolskiego z okresu pobytu w „postępowym” – także zdaniem ówczesnych zachodnioeuropejskich lewicujących elit – Związku Sowieckim

СВЕДЕНИЯ				О РАБОТЕ		
№ записи	Дата			Сведения о приеме на работу и увольнении	работу, перемещениях по (с указанием причин)	На основании чего внесена запись (документ, его дата и номер)
	Год	Месяц	Число			
1						
				43 дней в связи с переездом.	сигнализировать в Д.	
7	1946	XI	20	Принят на стар.	рабочий связи	Пр. жг-4 5283 от 29/11-46
2	1948	VIII	16	Уволен в связи с переводом на новую работу.	перевод на другую работу	Пр. жг-4 от 15/VIII-48
					увольнение по ст. 128	Савина

pracą, będąc już u kresu sił, musieliśmy od nowa przecierać drogę powrotną do obozu. W lesie zaś praca była niełatwa. Należało ściąć wysokie drzewo, przeważnie sosnę, odkopać ją ze śniegu, odrąbać gałęzie, znieść je na stos i spalić, a bale pociąć na odpowiednie wymiary i ułożyć w sági. Norma pracy dla 4. osobowego zespołu wynosiła 3,5 mł drewna, mierzonego przez brygadzystę w postaci finalnej, czyli już ułożonego w sági. Podział pracy w zespole był następujący... Brygadzysta wyznaczał tzw. naparnikow, czyli połączonych w pary drwali, którzy mieli za zadanie ściąć drzewo siekierami bądź je spiłować. Przedtem należało wykopać pień spod śniegu. Należało ścinać drzewo tuż nad ziemią. Nie wolno było pozostawiać wysokich pni. Naparnicy ścinali więc drzewa, a pozostała dwójka odrąbywała gałęzie i je paliła, a także układała w sági wymiarowo pocięte kłocze. Przed zakończeniem pracy cały zespół usuwał usterki. Początkowo miałem za naparnika mężczyznę. Szło nam jako tako. Potem jednak, kiedy do pracy w lesie skierowane zostały zesłanki, pracowałem w parze z jedną z kobiet. Ta kobieta mnie ostatecznie wykończyła. Była tak ambitna i wytrzymała, że potrafiła spuścić tyle sosen, ilu nie potrafił ściąć żaden mężczyzna. Męczyłem się z nią chyba tydzień. Tak mnie gonila do roboty, tak wyciskała ze mnie wszystkie siły, że musiałem ostatecznie wycofać się ze ścisłej z nią współpracy. Przeszedłem do prac pomocniczych. Odkopywałem więc ze śniegu zwalone drzewa, obcinałem konary, ściągałem je na stos i paliłem. Przy okazji ich palenia ogrzewałem się przy ognisku i podsuszałem swe czunie. Ta praca mnie wykańczała, bo nieustannie trzeba było przemieszczać się w ogromnych śnieżnych zaspach. Zacząłem stopniowo gasnąć jak dopalająca się świeca. Miałem już tego lesopowalu dość...

Niebawem mój los się odmienił. Naszą brygadę skierowano do prac załadunkowych. Teraz naszym zadaniem był załadunek ściętych drzew na sanie, które traktor przewoził do miejsca przeznaczenia. Nie była to również lekka praca. Przy pomocy linek i drągów trzeba było zespołowo przemieszczać ciężkie bale na sanie i mocować je łańcuchami. Przy jednym z takich załadunków naderwałem mięśnie. Duży i ciężki bał podnoszono właśnie linkami na sanie, przemieszczając go z dwóch końców jednocześnie. Podnoszący z przeciwległego końca puścili nagle linkę, drzewo uderzyło o ziemię, a ja zagapiłem się i wciąż w napięciu trzymałem swoją linkę. Nastąpił gwałtowny wstrząs. Pod wpływem gwałtownego obciążenia linka wypadła mi z rąk. Zdążyłem jeszcze odskoczyć w bok i uniknąć przygniecenia, ale coś mi strzyknęło w krzyżu. Poczułem silny ból i miałem kłopoty z poruszaniem się. Dowlokłem się jakoś do obozu i natychmiast udałem się do lekarza. Ten mnie badał, badał i nie potrafił określić, co mi jest, więc uznał za symulanta.

Jak stałem się „dochodiagą”

Ostatecznie musiano mnie uznać za niezdolnego do pracy w lesie. Każde gwałtowniejsze poruszenie się sprawiało mi dotkliwy ból. Miałem nadwyrężony kręgosłup. Zapewne mięśnie w krzyżu zostały szpetnie naciągnięte. Pozostawiono mnie w obozie i zatrudniono w baraku w roli „dniewalnego”. Była to funkcja posługacza, zarezerwowana w zasadzie dla niepełnosprawnych. Do moich obowiązków należało: nanoszenie wiadrami

wody do beczki, umycie podłogi, zanoszenie i przynoszenie wiązanki czuń do suszarni, a w nocy palenie w beczce – piecyku. Poruszałem się z trudem, fizycznie byłem już osłabiony i wygłodzony. Dokuczała mi i dodatkowo wykańczała bezsenność, ponieważ w dzień nie nadążałem z wywiązywaniem się ze swych obowiązków, a w nocy musiałem zrywać się z legowiska, aby podrzucać drewna do piecyka. Nie mogłem zmieścić się w czasie, więc niektóre prace wykonywałem „na odrąbionego”. Na przykład mycie podłogi baraku wyglądało tak, że nanosiłem trochę śniegu, rozmasałem go szmatą na kiju i to się nazywało umycie. Stopniowo ustąpiły dolegliwości w kręgosłupie i znów skierowano mnie do lasu. Na lesopowale wykończyłem się ostatecznie.

Był już marzec 1946 roku. Początkowo wyprowadzano mnie z lasu pod ręce, później już nie mogłem wyjść samodzielnie z obozu. W tych okolicznościach stałem się całkowicie niezdolny do pracy i przeniesiono mnie do innego obozu. Tam tak osłabłem, że nie mogłem zejść z nar. Dostałem obustronnego zapalenia płucnej. Doszło do tego, że ważyłem 39 kg. Byłem tak chudy, że składałem się tylko ze skóry i kości. Gdy wychodziłem z baraku i wiał wiatr, miotał mną jak suchym liściem. Jeśli miałem przekroczyć leżące drzewo, nie mogłem już podnieść nogi, musiałem przeszkodę ominąć. Kiedy szedłem, to tak mi skrzypiało w kolanach, że wszyscy się oglądali. Takich jak ja w żargonie obozowym nazywano „dochodiagą”, co oznaczało osobnika dobiegającego kresu swych sił życiowych, czyli żywego jeszcze trupa. Niektórzy nazywali mnie „fitilem”, co oznaczało knot dopalającej się świecy.

Byłem przekonany, że zbliża się kres mego żywota. Było to jak sobie przypominałem na podkołonnice nr 21a, odległej od obozu o 3-4 km. Wreszcie zebrano takich jak ja, 10 – 15 osób („dochodiagów”) i umieszczono w punkcie sanitarnym, czymś w rodzaju ambulatorium. Nie było tam lekarza z prawdziwego zdarzenia, a taki zwykły obozowy znachor. Leczył nas prymitywnie, tak jak potrafił. Mój żołądek nie trawił czarnego chleba, więc przepisał mi biały chleb. Nic mi nie smakowało. Wszystko było nieprzyjemne w smaku, jakies słodkawe. Co mi tam jeszcze dawano? Jakąś rybę, chyba śledzia. Tę słoną rybę mogłem jeść i jadłem ją ze smakiem.

W wyniku całkowitego wyczerpania psychicznego i fizycznego, pracy ponad siły, niedożywienia, przemarznięcia, chorób płucnych, uszkodzonego kręgosłupa oraz wagi 39 kg, zostałem skierowany do szpitala obozowego w miejscowości Sieżan, gdzie przebywałem na leczeniu około 2,5 miesiąca. Mój częściowy powrót do zdrowia zawdzięczam jedynie ofiarnej opiece lekarza, z pochodzenia Łotysza – więźnia politycznego. Po wyjściu ze szpitala, jako jeszcze niepełnosprawny, zostałem skierowany do lżejszej roboty, do obozowego majątku rolnego „Sieżam „, a następnie do solwyczegockiego budowlanego obozu pracy niedaleko miasta Kotłas.

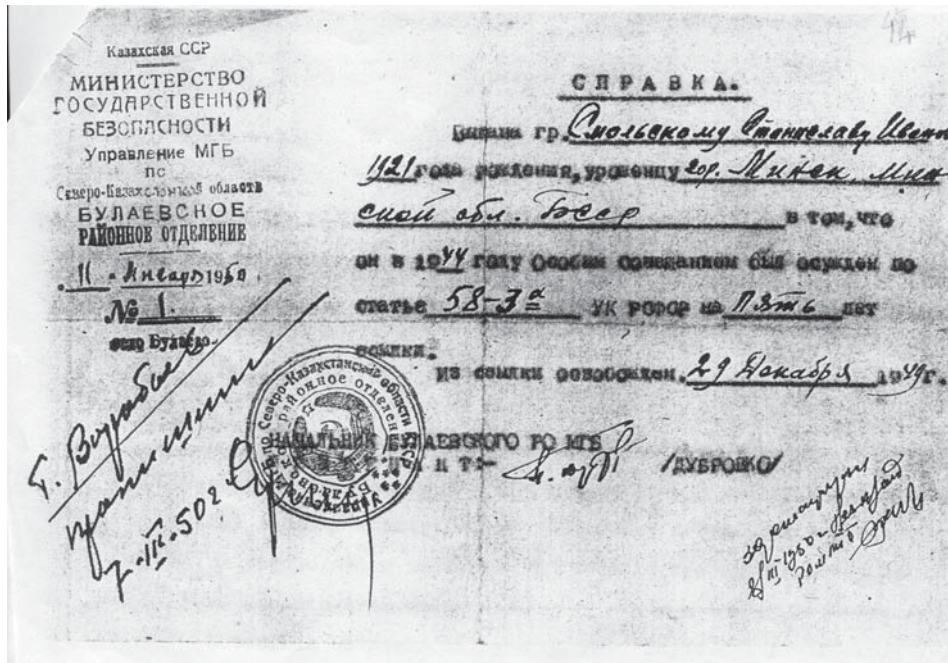
Po 22 miesiącach pobytu w obozach karnych, ze względu na zły stan zdrowia, nierokujący poprawy, a także w wyniku starań moich rodziców mieszkających już w Polsce, zostałem 20 października 1946 roku zwolniony, a karę 5 lat pozbawienia wolności zamieniono mi na 5 lat przymusowego zesłania. Przebywając akurat na wyrębie lasu, na oddziale 21, zostałem wezwany na strażnicę, gdzie odczytano mi wyrok, który mówił,



„Na czas pobytu na zesłaniu w Komi ASRR (Autonomicznej Socjalistycznej Republice Radzieckiej) otrzymałem specjalne zaświadczenie, które było zamiennikiem paszportu“

że w dniu 20 października 1945 roku w trybie szczególnym zostałem skazany z art. 58-3a na 5 lat pozbawienia wolności, z odbyciem kary w obozach karnych o zaostrzonym rygorze. Wyrok ten musiałem potwierdzić podpisem. Nie mogłem się nawet za bardzo cieszyć.

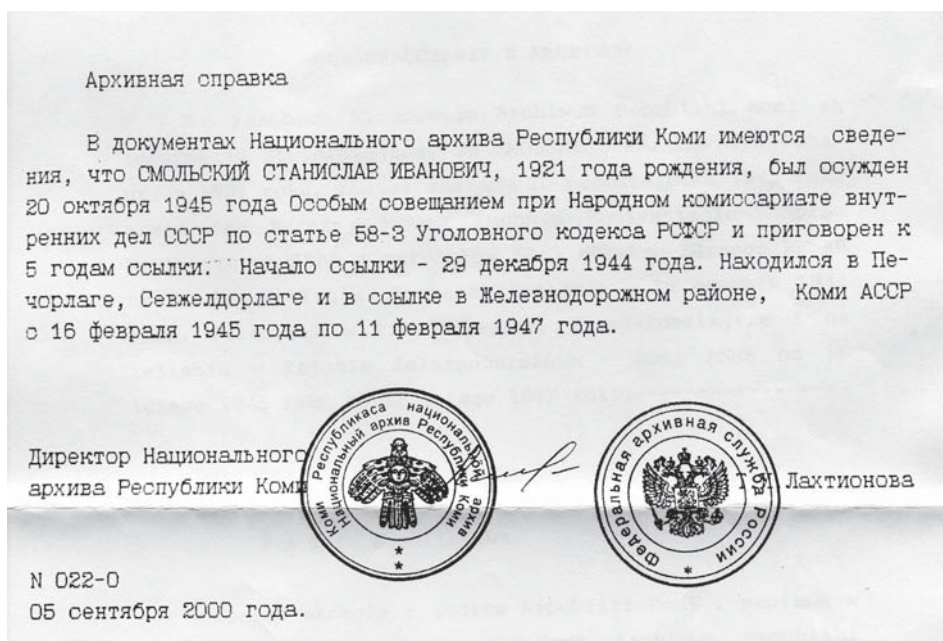
Z obozu wyszedłem w bardzo opłakanym stanie. Wyglądałem jak żebrak, wynędzniały, brudny, w starej zniszczonej odzieży, tj. obozowych łachmanach, bez środków do życia, kartek żywnościowych, pieniędzy i dachu nad głową. Dla odbycia kary zesłania przewieziono mnie do posiołka Żeleznodorożnyj Komi ASRR, Siedziby Głównego Zarządu Obozów, gdzie po załatwieniu niezbędnych formalności zostałem przekazany pod nadzór żeleznodorożnego oddziału rejonowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Na czas bezpiecznego pobytu na zesłaniu w Komi ASRR otrzymałem specjalne zaświadczenie, które było zamiennikiem paszportu. Pierwsze dni pobytu na zesłaniu były dla mnie koszmarnie. Nie wiedziałem co mam robić. Byłem bez pracy, pieniędzy i kartek żywnościowych, a do tego w razie niepodjęcia pracy w ciągu tygodnia, groziło mi odtransportowanie do robót leśnych, czyli na wykończenie. Zdany byłem na litość ludzką, chodziłem w poniżeniu od domu do domu prosząc o jedzenie. W zamian oferowałem swe usługi w postaci odśnieżania czy też rąbania drewna. Wałęsając się beczynninie po rynku



Zaświadczenie Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego - Oddziału Rejonowego w Bułajewie obwodu północno-kazachskiego z 29 grudnia 1949 roku o zwolnieniu z zesłania

spotkałem przypadkowo życzliwą osobę – Polkę z Mińska, Helenę Szumską, której mąż znajdował się w podobnej do mojej sytuacji. Zaoferowała mi pomoc. Dzięki niej otrzymałem pracę na Peczerskiej Kolei, na czwartym odcinku łączności i sygnalizacji. Pracowałem jako robotnik niewykwalifikowany, co już rozwiązało moją ciężką sytuację. Z chwilą podjęcia pracy otrzymałem odzież ochronną łącznie z obuwiem, kartki żywnościowe, zaliczkę i zakwaterowanie w hotelu robotniczym. Wynagrodzenie, które otrzymywałem, wystarczało na skromne przeżycie miesiąca. Wreszcie zacząłem jako tako żyć po ludzku.

W połowie sierpnia 1948 roku, z przyczyn mi niewiadomych, jako zesłaniec zostałem przesiedlony przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego do północnego Kazachstanu, gdzie pracowałem jako elektromonter w majątku rolnym Uzuń-Kul, w rejonie Bułajewo, w obwodzie pietropawłowskim. Będąc w Kazachstanie pozostawałem pod nadzorem MBP i dwa razy w miesiącu byłem kontrolowany. W związku ze zbliżającym się końcem zesłania, zawczasu nawiązałem kontakt z Ambasadą Polską w Moskwie, mając nadzieję, że okaże mi pomoc w załatwieniu wyjazdu do Polski, ale się zawiodłem. Z zesłania zostałem zwolniony dokładnie 29 grudnia 1949 roku, otrzymawszy zaświadczenie MBP Oddziału Rejonowego w Bułajewie obwodu północno-kazachskiego, że w 1944 roku, w trybie szczególnym byłem sądzony z artykułu 58-3a KK RSFR i skazany na 5.



Poświadczenie, iż w zasobach Narodowego Archiwum Republiki Komi są informacje, iż Stanisław Smolski skazany został 20 października 1945 r. przez Sąd Doraźny przy Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych ZSRR z artykułu 58-3 Kodeksu Karnego na 5 lat zesłania

letnie zesłanie, bez podania, że z pierwszego wyroku zostałem skazany na karę 5 lat pozbawienia wolności z odbyciem jej w obozach pracy.

Po załatwieniu formalności związanych z odejściem z pracy i paszportu, nie tracąc czasu, mimo zimy, udałem się w drogę do Prużany, miejsca mego aresztowania. Do Prużany dotarłem w lutym 1950 roku i – aż do wyjazdu do Polski – pracowałem w Międzyrejonowym Urzędzie Inwentaryzacyjnym jako technik inwentaryzator. Zamieszkałem u państwa Grochów, znajomych rodziców, którzy nie ewakuowali się do Polski, bo nie chcieli opuścić własnego domu. Później tego żałowali, bo córka i syn wyjechali do Polski. Repatriacja była już wstrzymana, musiałem więc indywidualnie starać się u władz radzieckich o wizę do Polski. Trwało to cały rok.

Do Polski przyjechałem 8 maja 1951 roku i zamieszkałem u rodziców w Nowym Tomysłu. Miałem radzieckie obywatelstwo, więc co roku musiałem przedłużać wizę w Konsulacie Radzieckim w Szczecinie. Obywatelstwo polskie otrzymałem dopiero w 1957 roku. Po powrocie do Polski – pod opieką doktora Kazimierza Hołogi – rozpocząłem intensywne leczenie nadszarpniętego zdrowia.

Od października 1951 roku do końca 1981 roku, przez 30 lat, pracowałem w Remontowo-Budowlanej Spółdzielni Pracy w Nowym Tomysłu w charakterze pracownika



Z wizytą w Prużanie - 1993 r. Stanisław Smolski pierwszy z lewej

umysłowego. W 1965 roku zawarłem związek małżeński z Alicją Bilewską. Mam jednego syna Jacka i dwóch wnuków Bartłomieja i Antoniego. W czasie pracy nie należałem do żadnych partii politycznych, byłem przeciwny wszystkiemu, co komunistyczne. W latach wielkich przemian byłem współorganizatorem Związku Zawodowego „Solidarność”, w którym działałem do przejścia na emeryturę.

Na przyspieszoną emeryturę przeszedłem w styczniu 1982 roku. Będąc na emeryturze nigdzie dodatkowo nie pracowałem, nie pozwalało mi na to zdrowie, zacząłem często i ciężko chorować. Wstąpiłem do nowopowstałego Związku Sybiraków i przez 6 lat byłem prezesem Koła w Nowym Tomyślu. Od 1991 roku posiadam uprawnienia kombatanckie, jestem również inwalidą wojennym, odznaczonym Krzyżem Więźnia Politycznego.

P. S. Stanisław Smolski zmarł 9 czerwca 2010 r. i został pochowany na cmentarzu w Nowym Tomyślu w grobie rodzinnym, w którym spoczywają jego rodzice i obie siostry.

Aleksandra Tabaczyńska

Przywołane z niepamięci

– cmentarze ewangelickie na terenie gminy Nowy Tomyśl

Nietrudno spotkać w naszej Ojczyźnie prawdziwych patriotów. Można pokusić się o tezę, że najczęściej są to ludzie głęboko zakorzenieni w wierze, własnych społecznościach i tradycji regionu. To „ludzie pejzażu”, troszczący się o zabytki, przyrodę, miejsca pamięci, cmentarze, znający lokalną historię i najdrobniejsze szczegóły regionalnej topografii – od punktu ujęcia wody po detale architektoniczne budynków. Świadomość, że istnieje grupa pasjonatów, którym zależy na polskiej racji stanu jest niezwykle krzepiąca. Nie można też zapominać, że sprzymierzeńcem w zachowaniu naszej tożsamości narodowej jest sama natura. Dzięki charakterystycznej przyrodzie pamięć polskiego krajobrazu, od zawsze gościła w sercach Polaków żyjących w kraju i na obczyźnie.

Dla wielu współczesnych mieszkańców naszego kraju pejzaż jest jedynie miłym, kojącym oczy, obrazkiem. Niewielu uświadamia sobie, że jest jednak przede wszystkim spójna struktura poznawcza, w której zapisane są ludzkie historie, definiujące dobro i zło, szczęście i grozę istnienia wielu pokoleń naszych przodków. Przez wieki wspólne doświadczenie tego uniwersum sprawiło, że w polskich miasteczkach pokojowo żyli obok siebie przedstawiciele różnych nacji i wyznań. Ich sąsiedzką dbałość o najbliższą okolicę Józef Mackiewicz – polski pisarz i publicysta – nazywał „patriotyzmem pejzażu”.

Dziś warto nieco rozszerzyć zakres tego pojęcia. W czasach, gdy media kreują wirtualny wizerunek świata, prowincjonalne życie pozostające w zgodzie z naturą stało się zbiorowym doświadczeniem polskości. Lokalny patriotyzm urósł bowiem do narodowego wymiaru. Dzięki tym właśnie wartościom niedostrzegane lub zapomniane piękno nowotomyskiego krajobrazu, w ostatnich czterech latach zostało wzbogacone o nowe elementy. Na terenie gminy Nowy Tomyśl uporządkowano i przywrócono zbiorowej pamięci – usytuowane zazwyczaj w pobliskich wsiom lasach – miejsca pochówku ołęderskich osadników i ich potomków, żyjących na tych terenach przez dwa i pół wieku, aż do 1945 r.

Wydobyte z zapomnianego pejzażu

– Cmentarz to miejsce szczególne, przedsionek do wieczności, gdzie ciała śpią, a dusze czuwają – słowa te 27 września 2012 r. w Borui Nowej wypowiedział Zygmunt Duda, historyk – regionalista, prekursor dzieła uwiecznienia zapomnianych nekropolii na



Ostatnia z czterech uroczystości poświęcenia krzyży na dawnych cmentarzach ewangelickich - Boruja Nowa, 27 września 2012 r. Od lewej: Tomasz Wleki - przewodniczący Rady Miejskiej w Nowym Tomyszu, radna Barbara Jandy, Henryk Helwing - Burmistrz Nowego Tomysza

naszym terenie. Tego dnia odbyła się ostatnia z czterech uroczystości poświęcenia krzyży na dawnych cmentarzach ewangelickich. Ceremonia ta zamknęła, trwającą od 2009 roku, akcję upamiętniania ewangelickich miejsc pochówku na terenie gminy Nowy Tomys. Pomysłodawcą i inicjatorem tego przedsięwzięcia oraz tym, który całym sercem, z ogromną determinacją dążył do jego sfinalizowania był Przemysław Mierzejewski – regionalista z zamiłowania.

W 2009 roku podjęto pierwsze działania polegające na sprzątaniu zaniedbanych cmentarnych terenów, wycince rosnących tam krzewów oraz ich ogrodzeniu. Wymownym znakiem oddania czci – spoczywającym na zapomnianych cmentarzach – zmarłym było ustawienie i poświęcenie metalowych krzyży. Pod każdym z nich umieszczona została tablica z napisem „Błogosławieni są odtąd umarli, którzy w Panu umierają” (Obj. 14.13), nazwą miejscowości, w której znajduje się cmentarz oraz datą poświęcenia nowego krzyża.

Co roku na jednym z piętnastu, uporządkowanych w ciągu ostatnich czterech lat miejsc pochówku, oprócz poświęcenia krzyża, odbywała się wspólna modlitwa. W ekumenicznym nabożeństwie brali udział duchowni ewangelicy i katolicy, przedstawiciele władz na czele z burmistrzem Henrykiem Helwingiem oraz mieszkańcy wsi. Za dusze dawnych mieszkańców ziemi nowotomyskiej modlili się: gospodarze miejsca w osobach



Uroczystość poświęcenia krzyża na cmentarzu ewangelickim w Bukowcu - 26 IX 2011 r...

księżę proboszczów, dziekan lwówecki ks. kan. Ekspedyt Błaszczyk, księża z całego dekanatu oraz wikariusze z Parafii Ewangelicko-Augsburskiej z Poznania Tadeusz Raszyk i Wojciech Płoszek.

Cmentarze ewangelickie nie tylko pięknie wkomponowały się w krajobraz gminy, ale przede wszystkim stanowią źródło historyczne do badań nad wielokulturowym społeczeństwem tamtego czasu. Charakterystycznym elementem tych nekropolii były i są drzewa. Cmentarze lokalizowano zazwyczaj na skraju lasu, bo szum drzew i śpiew ptaków zawsze harmonizował z miejscem pochówku. W każdej dawnej osadzie olęderskiej znajdował się cmentarz, dlatego jest ich dziś w powiecie nowotomyskim aż 120. Na charakter ewangelickich miejsc pochówku wpływ miały liczne przepisy warunkujące ich lokalizację. Konsekwentnie cmentarz – jako miejsce poświęcone – był chroniony płotem, a brama dzieliła dwa światy: świat żywych i świat umarłych.

Potomkowie nowotomyskich Olędrów żyli tutaj do 1945 roku. Po zakończeniu II wojny światowej opuścili te tereny. Ewangelickie cmentarze odeszły w zapomnienie, a do ich zniszczenia przyczyniło się wiele czynników, również czas. Dziś miejsca te na nowo wpisały się w nowotomyski pejzaż.

Pamięć i czasy

Historia naszego regionu nierozzerwalnie związana jest z niemieckimi osadnikami, głównie ewangelikami. Mieszkali tutaj przez 250 lat. To oni ukształtowali nasz krajobraz,



... i w Borui Nowej - 27 IX 2012 r.

to dla nich został wybudowany kościół na placu Chopina i to dla nich powstało, założone wokół tego kościoła, nasze miasto. Ufundował ten kościół i pierwsze domy polski szlachcic, katolik Feliks Szoldrski dla swoich – jak to się wtedy nazywało „dysydenckich kolonistów” – w 2009 roku zapisał na swojej stronie internetowej Przemysław Mierzejewski. Wpis ten zaświadcza, zarówno o bogactwie kulturowym Polski, jak i potęgze jej ducha. Staliśmy się ziemią obiecaną dla ludów z całej Europy. Wszędzie tępieni, u nas mieli autonomię, swoje uczelnie, własny samorząd, kościół, cmentarz. Innowiercy nie płonęli w naszym kraju na stosach, tylko pospołu z katolikami piastowali najwyższe urzędy. Wszyscy pamiętamy karty historii, kiedy to Rzeczpospolita była dobrowolną unią dwojga narodów, z demokracją, o jakiej na naszym kontynencie od czasów starożytnej rzymskiej republiki trudno było marzyć.

Każdy, kto przeżył okres PRL-u, był kształtowany przez komunistyczną szkołę i urabiany przez ówczesne „środki musowego przykazu”, wie, jak duży wysiłek włożono, by wymazać pamięć o wielu wydarzeniach historycznych, które na przestrzeni wieków miały miejsce w naszej Ojczyźnie. Z dziejów Polski zniknąć miało m. in. chrześcijaństwo, które sprowadzano do etnograficznego ornamentu, czy regionalnej osobliwości. Przedstawiano więc chrzest Polski jako wyłącznie akt politycznej kalkulacji Mieszka I, a „Bogurodzica” pod Grunwaldem występowała głównie jako przeciwstawienie dla germańskiego „Gott mit uns”.

Dzieło przywrócenia zapomnianych cmentarzy ewangelickich w gminie Nowy Tomysł to nie tylko rzeczywisty przejaw dążenia do ochrony zabytków, ale i ewenement w skali

powiatu, a można zaryzykować stwierdzenie, że i w Wielkopolsce. To także dowód na to, że wartości chrześcijańskie, poszanowanie wyznawców innej religii, przedstawicieli innej narodowości i innej tradycji przetrwały aż do dziś. W dziele tym brali przecież udział, oprócz regionalistów i władz miasta, również obecni mieszkańcy poolęderskich terenów. Warto też dodać, że całą czteroletnią akcję, w trakcie trwania której uporządkowano w sumie 15 – znajdujących się w różnych wioskach – cmentarzy, w całości sfinansowały władze gminy, bez wsparcia środkami z zewnątrz. Po każdej uroczystości odbywało się też spotkanie, przygotowane przez sołtysów wsi, w których na



Zygmunt Duda – prekursor dzieła uwiecznienia zapomnianych nekropolii na naszym terenie podczas uroczystości w Bukowcu

ewangelickich nekropoliach stały poświęcone krzyże. Mimo że miejsca pochówku olęderskich osadników mogły być postrzegane jako niechciana karta historii – kojarzona z zaborami, germanizacją i okrucieństwem II wojny światowej – nie zostały skazane na zlikwidowanie. Są śladem dni, które minęły, ilustracją naszych narodowych dziejów.

Z pamięcią Polaków jeszcze nikt nie wygrał. Nie udało się to ani zaborcom, ani twórcy III Rzeszy, ani komunistom. Nie pomagały zakazy i kary, szyderstwo i groźba. Nie przeszkadzał brak paszportu, telefonu czy portali społecznościowych. Pamięć, choćby poszarpana i lekceważona, zawsze powracała – napisami na murach, krzyżami układanymi z kwiatów. Powracała w ulotce, transparencie, piosence, w opowieści dziadków o bolesnej godzinie. Towarzyszy też cichej modlitwie i zadumie nad tymi, którzy tworzyli to, o czym powinniśmy dziś pamiętać.

Post scriptum

Serdecznie dziękuję Zygmunutowi Dudzie za wsparcie i okazaną życzliwość oraz udostępnienie licznych publikacji jego autorstwa, dotyczących historii regionu; Ewelinie Szofer-Pajchrowskiej za informacje i udostępnione zdjęcia. Artykuły tematycznie związane z tą akcją i historią osadnictwa olęderskiego znaleźć można w archiwalnych nrach „Przeglądu Nowotomyskiego” oraz na stronie internetowej Przemysława Mierzejewskiego (<http://www.oledrynnowotomyskie.e7.pl>).

Fot.: Wydział Rozwoju i Promocji Urzędu Miejskiego w Nowym Tomysku
oraz Aleksandra Tabaczyńska

Tomasz Siwiński

Borusja - jedyny taki klub w Polsce

Wśród tysięcy istniejących w Polsce klubów piłkarskich, które występują w oficjalnych rozgrywkach prowadzonych przez okręgowe związki piłki nożnej, tylko jeden nosi nazwę „Borusja”. Klub ten ma swoją siedzibę na terenie gminy Nowy Tomysł. „Borusja” Boruja Kościelna, bo o tym klubie mowa, w 2014 roku będzie obchodziła 45. lecie swego istnienia.

Zorganizowany sport istniał w Borui Kościelnej na długo przed powstaniem „Borusji”, a działa się to już przed II wojną światową. W 1931 roku powstało w Borui Kościelnej gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Owo towarzystwo organizowało dla mieszkańców wsi zabawy i festyny połączone z pokazami gimnastycznymi, w których brali udział członkowie „Sokoła” wywodzący się z Borui Kościelnej i okolicznych miejscowości. Wśród najbardziej aktywnych działaczy gniazda sokolego w latach 1931-1939 należy wymienić Marcina Baranowskiego, Piotra Baudasa, Stefana Gawła, Stanisława Stolasia oraz Bolesława Strąka.

Mieszkańcy Borui Kościelnej reprezentowali swoją wieś podczas odbywających się w Nowym Tomysłu dorocznych Dni Sportu, biorąc udział w zawodach indywidualnych. Były to głównie, bardzo popularne wówczas, biegi masowe. Kurkowe Bractwa Strzeleckie w Borui Kościelnej i Borui Starej systematycznie organizowały zawody strzeleckie m. in. w formie turniejów żniwnych. Sport uprawiany był także obowiązkowo podczas zajęć wychowania fizycznego w szkole. Nie było jednak w Borui, ani przed 1939 rokiem, ani po roku 1945 żadnego klubu, czy nawet zorganizowanego zespołu uprawiającego sporty drużynowe.

Pod koniec lat 60. XX wieku na boisku szkolnym, które mieściło się w centrum Borui Kościelnej, spotykały się „dzikie” drużyny z Borui Kościelnej i Borui Nowej. Działo się to w miejscu, w którym obecnie znajduje się Wiejski Dom Kultury. W 1969 roku zawodnicy tych dwóch drużyn, mając na uwadze fakt, że w tym okresie niemal w każdej wsi istniał Ludowy Zespół Sportowy, postanowili założyć własną drużynę. Pomysł założenia zespołu wyszedł od Mieczysława Poniedziałka i Henryka Urbanowicza, jednak za jego realizację zabrali się przede wszystkim bracia Ireneusz, Lech i Zdzisław Worsowie, Władysław Cisak oraz Bolesław Bołożko, wspierani przez Józefa Cisaka, Kazimierza Cisaka, Ryszarda Frejkura, Ryszarda Pozdrowicza oraz Wiesława Wiśniewskiego. Stopniowo do zespołu zaczęli dochodzić kolejni zawodnicy: Leszek Brambor, Zbigniew Brambor, Janusz Doliwa, Ryszard Fajak, Zenon Fajak, Ryszard Gawel, Bogdan Kania, Czesław Kosiński, Kazimierz Kosiński, Grzegorz Koza, Czesław Maciuszonek, Jan Parniewicz, Ry-

szard Pasieczny, Stanisław Płudo, Tadeusz Skąlecki, Kazimierz Skotarczyk, Zygfryd Szela, Kazimierz Szyłko i Zbigniew Wójcik.

Etymologia nazwy zespołu nie jest trudna do ustalenia. Założyciele zespołu uznali, że skoro w Niemczech istnieją kluby o nazwie „Borussia”, to i w Polsce może być „Borusja”, tym bardziej, że nazwa wyraźnie nawiązywała również do nazw wsi, z których pochodziła większość piłkarzy, tj. do nazw Boruja Kościelna i Boruja Nowa.

W 1969 roku „Borusja” Boruja Kościelna została zarejestrowana w Powiatowym Zrzeszeniu Zespołów Ludowych i od tej pory pełna nazwa klubu brzmiała Ludowy Zespół Sportowy „Borusja” Boruja Kościelna. Z ramienia klubu osobą wyznaczoną do współpracy z Zrzeszeniem LZS był Zdzisław Worsa, pełniący w późniejszym okresie nawet funkcję wiceprzewodniczącego tej organizacji w Nowym Tomyślu.

Drużyna nie miała trenera, choć przez jakiś czas próbowano tę funkcję powierzyć Romanowi Pieniężnemu, mieszkańcowi Borui Kościelnej, mającemu za sobą bogate doświadczenie piłkarskie i występy w III. lidowej „Polonii” Nowy Tomyśl. Ostatecznie odstąpiono jednak od tego zamiaru.

LZS „Borusja” od początku istnienia miał swoją siedzibę w Borui Kościelnej, ale mecze rozgrywał w Borui Nowej. Działo się tak dlatego, że w Borui Kościelnej nie było odpowiedniego terenu na budowę boiska. Co istotne, między zawodnikami i mieszkańcami obu wsi nie było żadnych animozji związanych z tą sytuacją, „Borusja” była ich wspólnym dobrem. Drużynę uzupełniali w owych latach zawodnicy z Komorówka i Jabłonnej.

Drużyna grała więc na znajdującym się w Borui Nowej stadionie, który przynależał do znajdującej się tuż obok boiska szkoły. Początkowo boisko nie miało wymiarów wymaganych podczas rozgrywania meczów piłki nożnej. Dostosowane było do ówczesnych standardów boiska szkolnego. W związku z udostępnieniem boiska „Borusji”, obiekt poddany został generalnej przebudowie. Zlikwidowano prowizoryczną bieżnię, dzięki czemu można było powiększyć obszar boiska, zamontowano też rzadko spotykane wówczas metalowe bramki. Pomimo iż właścicielem boiska w Borui Nowej nadal była szkoła, to jednak opiekę nad nim przejęli zawodnicy klubu. Dbali o murawę, malowali wapnem linie itp. Osobą, która najczęściej zajmowała się pielęgnacją boiska był Lech Worsa. Klub nie miał też swoich szatni. W okresie gdy dyrektorem szkoły w Borui Nowej był p. Adamski, zawodnicy korzystali z pomieszczeń szkolnych. W momencie, gdy nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora, zawodnicy przez pewien czas jako szatnię traktowali pobliskie drzewa, by następnie przenieść się do znajdującego się po drugiej stronie szosy opuszczonego sklepu i zaadaptować go na szatnię. Budynek ten służył zespołowi aż do momentu jego zawalenia się, które było skutkiem gwałtownej burzy. W międzyczasie część boiska została rozdysponowana pomiędzy nauczycieli, którzy urządzili w tym miejscu swoje ogródki działkowe. W ten sposób rozmiar i ukształtowanie tego obiektu sportowego zostało w znacznej mierze zmienione.

„Borusja” dysponowała niewielkim budżetem. Stałe dotacje pochodziły z Urzędu Miasta i Gminy w Nowym Tomyślu oraz Zrzeszenia Ludowych Zespołów Sportowych, drobne dotacje z Banku Spółdzielczego i Spółdzielni Mleczarskiej. Aby się utrzymać, klub



„Borusja” Boruja Kościelna w pierwszych latach swojego istnienia. Stoją od lewej: Wiesław Wiśniewski, Ireneusz Worsa, Jan Parniewicz, Zdzisław Worsa, Henryk Urbanowicz, Ryszard Pasieczny. Kłęczą od lewej: Kazimierz Cisak, Grzegorz Koza, Lech Worsa, Mieczysław Poniedziałek, Zenon Fujak.

Fot.: archiwum Lecha Worsy

systematycznie organizował w sali wiejskiej w Borui Kościelnej zabawy, z których dochód przeznaczony był na zapewnienie podstawowych potrzeb i funkcjonowanie drużyny. Dzięki pozyskanym środkom drużyna mogła pokrywać wszelkie zobowiązania. Borusja, jako jedyna w swojej klasie, posiadała komplet strojów, który zakupiony został aż w Berlinie. Stroje sportowe pozwoliły łatwiej identyfikować graczy „Borusji”, tym bardziej, że posiadały ręcznie wymalowane na koszulkach numery.

W początkowym okresie istnienia drużyna występowała jedynie w meczach towarzyskich. W sezonie piłkarskim 1970/71 LZS „Borusja” zgłoszona została do rozgrywek klasy „W” – ligi wiejskiej, organizowanej przez powiatowe Zrzeszenia LZS, grającej o puchar przechodni Powiatowego Komitetu ZSL w Nowym Tomyślu. W 1972 roku „Borusja” zajęła pierwsze miejsce w grupie I klasy „W”. Sukces ten zmotywował drużynę do zgłoszenia zespołu do rozgrywek prowadzonych przez Poznański Okręgowy Związek Piłki Nożnej.

W sezonie 1972/73, po raz pierwszy w historii, drużyna z Borui Kościelnej została zgłoszona do rozgrywek klasy „C” prowadzonych przez POZPN. W oficjalnych dokumentach POZPN klub funkcjonował bez nazwy „Borusja”, jedynie jako LZS Boruja Kościelna. Zespół z Borui Kościelnej trafił do grupy II, w której występowały również „Polonia” II Nowy Tomyśl, LZS Jaromierz oraz „Obra” Zbąszyń i właśnie klub ze Zbąszynia wygrał grupę, uzyskując promocję do wyższej klasy rozgrywek.



Lech Worsa - bramkarz i współzałożyciel „Borusji” - reprezentował drużynę jeszcze po ponownej reaktywacji w 1998 roku. Fotografia wykonana na początku lat 70. XX wieku na boisku w Borui Nowej.
Fot.: archiwum Lecha Worsy

Sezon 1973/74 był już bardziej udany. Drużyna z Borui Kościelnej w swojej grupie klasy „C” wygrała konkurencję z drużynami „Orkan” Chobienice, LZS Rostarzewo, LZS Ruchocice, LZS Tuchorza, „Polonia” II Nowy Tomyśl i „Sokół” Rakoniewice. Piłkarze z Borui Kościelnej wywalczyli pierwszą w historii promocję do wyższej ligi, w tym przypadku do klasy „B”. Po zakończeniu sezonu Poznański Okręgowy Związek Piłki Nożnej przeprowadził reformę rozgrywek ligowych, na której LZS Boruja Kościelna skorzystał, został bowiem przydzielony do grupy II rozgrywek o mistrzostwo powiatowej klasy „A”. Był to pierwszy, historyczny awans „Borusji” do tej klasy rozgrywek. Było to równocześnie szczytowe osiągnięcie „Borusji” w latach siedemdziesiątych, choć w okresie tym zespół również z bardzo dobrej strony zaprezentował się podczas rozgrywek o Puchar Polski na szczeblu wojewódzkim, m. in. w konfrontacji z „Polonią” Nowy Tomyśl i „Koroną” Bukowiec. Piłkarze brali też udział w tradycyjnych turniejach jarmarkowych. Przez pewien okres istniała również druga drużyna „Borusji” biorąca udział w rozgrywkach Zrzeszenia LZS.

W sezonie 1978/79 „Borusja” grała jeszcze w klasie „C”. Wtedy też zawodnicy, którzy przez lata tworzyli tę drużynę, zaczęli ją opuszczać. Zakładali rodziny, byli zaabsorbowani pracą zawodową. Dodatkowo w związku z niesportowym zachowaniem zawodników „Borusji” wobec sędziego, m. in. podczas meczu przeciwko LZS Wąsowo, kilku zawodników zostało długoterminowo zdyskwalifikowanych, a boisko w Borui Nowej zostało zamknięte. Sytuacja ta doprowadziła do rozwiązania drużyny.



„Borusja” po reaktywacji w latach 80. na boisku w Borui Nowej. Stoją od lewej: Jan Bednarz – kierownik drużyny, Roman Furmaniak, Henryk Lotka, Andrzej Rau, Józef Rogozia, Czesław Kosiński, Marek Kret, Grzegorz Staniszewski, Bogdan Kania, Andrzej Bimkiewicz, Tadeusz Skąlecki – trener drużyny. Kłęczą od lewej: Marek Jakubowski, Dariusz Suchocki, Henryk Skotarczyk, Zbigniew Ziarkiewicz, Tadeusz Zaleski, Kazimierz Skotarczyk, Janusz Doliwa. Fot.: zbiory rodzinne A. Skąleckiego

Wart podkreślenia jest fakt, że od 1971 roku w Szkole Podstawowej w Borui Kościelnej działał Szkolny Klub Sportowy „Orzeł”, prowadzony przez nauczycieli wychowania fizycznego Mieczysława Poniedziałka i Andrzeja Bobkiewicza. SKS, zarówno w latach siedemdziesiątych, jak i w późniejszym okresie, przygotowywał pod względem sportowym chłopców, którzy zasilali drużynę „Borusji”.

Piłkarski niebyt „Borusji” trwał do 1982 roku. Wówczas to, za sprawą Jana Bednarza, Janusza Doliwy, Tadeusza Skąleckiego oraz Kazimierza Skotarczyka, ponownie w Borui Nowej zaczęły odbywać się treningi drużyny piłkarskiej, co doprowadziło w 1983 roku do wznowienia działalności LZS „Borusja” Boruja Kościelna. W tym też roku klub został ponownie zgłoszony do rozgrywek klasy „C”, organizowanych przez Poznański Okręgowy Związek Piłki Nożnej. Klub był nadal jednosekcyjny i uprawiano w nim jedynie piłkę nożną.

Pierwsze mecze rozgrywano jeszcze w Borui Nowej. W tym czasie w Borui Kościelnej trwała już budowa boiska i szatni. Dużą pomoc w pracach budowlanych nieśli mieszkańcy wsi, w szczególności Tadeusz Jakubowski, który ufundował bramki, a także służący swoim ciągnikiem Józef Rogozia oraz Bogdan Hojzer, który wymalował na ścianie element ozdobny i napis.

Mimo rozwoju klubowej infrastruktury, klub borykał się w tym czasie z problemami

finansowymi. Dotacje z gminy oraz środki pozyskane ze Zrzeszenia Ludowych Zespołów Sportowych, poza wspomnianymi wyżej wydatkami, nie wystarczały na utrzymanie drużyny. Zespół mógł jedynie liczyć na pomoc ze strony Spółdzielni Transportu Wiejskiego oraz Spółdzielni Kółek Rolniczych, ale tylko w postaci transportu.

Problemy te szczęśliwie nie przełożyły się na gorsze wyniki drużyny, która już po dwóch latach od reaktywacji odniosła wymierny sukces sportowy, uzyskując w sezonie 1984/85 awans do klasy „B”. W drużynie trenera Tadeusza Skąleckiego grali zawodnicy, którzy mieszkali w Borui Kościelnej lub byli z nią w jakiś sposób związani. W zespole, który wywalczył awans grali: Andrzej Bimkiewicz, Janusz Doliwa, A. Fornalik, Roman Furmaniak, Bogdan Kania, Andrzej Kański, Marek Kret, Bernard Kubiak, Czesław Kosiński, Henryk Lotka, Jerzy Łański, Piotr Łański, Ireneusz Radusz, Andrzej Rau, Józef Rogoźnia, Andrzej Skotarczyk, Henryk Skotarczyk, Kazimierz Skotarczyk, Leszek Skotarczyk, Stanisław Skotarczyk, Zbigniew Staniszewski, Lesław Stanek, Dariusz Suchocki, Tadeusz Zaleski, Zbigniew Ziarkiewicz. Ponadto w latach 80. W drużynie grali także m. in. Krzysztof Gromek, Marek Jakubowski, Zbigniew Jakubowski, Jarosław Gumuła, Krzysztof Michniewicz, Roman Radusz i Lech Worsa.

Po dwóch sezonach gry w klasie „B” „Borusja” spadła w 1987 roku ponownie do klasy „C”. W tym czasie zaczęła też następować w drużynie zmiana pokoleniowa, starsi zawodnicy rezygnowali z gry, a ich miejsce zajmowali młodzi wychowankowie klubu.

W latach 1982-1988 treningi prowadził Tadeusz Skąlecki, trenerski samouk korzystający z wiedzy nabytej dzięki stosownej literaturze, ale mający też podbudowę praktyczną, gdyż podczas piłkarskiej kariery był piłkarzem m. in. „Promienia” Opalenica. W organizację pracy klubu najbardziej zaangażowani byli piłkarze pełniący jednocześnie role działaczy: Jan Bednarz, Roman Furmaniak, Jarosław Gumuła, Zbigniew Jakubowski i Leszek Skotarczyk. W tym okresie LZS „Borusja” starał się być rozpoznawalny i obecny w życiu wsi i gminy, poprzez m. in. organizowanie otwartych balów, zabaw i festynów dla mieszkańców Borui Kościelnej, a także gości z okolicy. Były one zawsze znakomitą okazją do integrowania lokalnej społeczności.

Okres transformacji ustrojowej, jaki nastąpił pod koniec lat 80. XX wieku, odbił się również na działalności sportowej. Niewielkie do tej pory dotacje, jakie wpływały do „Borusji”, w związku z wzrastającą inflacją nie wystarczały na funkcjonowanie zespołu. Nie znalazł się także nikt, kto podjąłby się finansowania drużyny. Niewątpliwie wpływ na dezorganizację działalności klubu miała również choroba trenera Skąleckiego, będącego oddanym organizatorem i działaczem. We wrześniu 1988 roku złożył on rezygnację z funkcji szkoleniowca, przekazując zakres swych obowiązków Romanowi Furmaniakowi oraz Franciszkowi Taborskiemu.

Wszystkie te zdarzenia, a także fakt, że w „Borusji” doszło do wspomnianej już zmiany pokoleniowej, doprowadziły do ponownego rozwiązania drużyny. Ostatnie mecze „Borusja” rozegrała wiosną 1990 roku, po czym zespół się rozpadł. Tym samym w Borui Kościelnej przestał istnieć jedyny zespół sportowy, a zawodnicy „Borusji”, którym zależało na kontynuowaniu swoich sportowych pasji, czynili to w pobliskich klubach. Do-



Wieloletni piłkarze, trenerzy i działacze „Borusji” – Tadeusz Skąlecki i Krzysztof Skotarczyk
Fot.: zbiory rodzinne A. Skąleckiego

piero po siedmiu latach, w 1997 roku doszło do utworzenia drużyny niezrzeszonej „Wies” Boruja Kościelna, która wzięła udział w miejsko-gminnych turniejach organizowanych przez Urząd Gminy i Miasta w Nowym Tomysłu. Zespół zajął w cyklu turniejów 3 miejsce, a w roku 1998 jeszcze wyższą – 2 lokatę.

Te obiecujące wyniki były motywacją do ponownego zawiązania się latem 1998 roku drużyny piłkarskiej w Borui Kościelnej. Inicjatorem kolejnej reaktywacji drużyny piłki nożnej byli zawodnicy reprezentujący drużynę z Borui Kościelnej oraz Tadeusz Jakubowski, właściciel firmy „Ines”. Oczywiście wydawało się, że powoływany na nowo klub będzie nosił historyczną nazwę „Borusja”, za czym opowiadała się praktycznie cała drużyna. Stało się jednak inaczej i klub, mimo iż w każdym aspekcie nawiązywał do tradycji i osiągnięć dawnej „Borusji”, przyjął nazwę pochodzącą od nazwy firmy sponsora. Klub Sportowy „Ines”, podobnie jak wcześniej istniejąca „Borusja”, był klubem jedno-sekcyjnym i ukierunkowanym na piłkę nożną.

Klub Sportowy „Ines” Boruja Kościelna zgłoszony został ponownie do Poznańskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej. Drużynę przydzielono do grupy III, piłkarskiej klasy „B”. Pierwszym oficjalnym meczem KS „Ines” było przegrane w stosunku 3: 5 spotkanie – w ramach rozgrywek o Puchar Polski – z drużyną „Chifa” Nowy Tomysł.

Zarząd klubu w 1998 roku tworzyli: prezes – Tadeusz Jakubowski, zastępca prezesa Zbigniew Jakubowski, sekretarz – Adam Pieniężny, skarbnik – Jarosław Kwiatkowski oraz kierownik drużyny – Leszek Skotarczyk. Grającym trenerem drużyny został wychowanek „Borusji”, Krzysztof Skotarczyk, który posiadał bogate piłkarskie doświad-



„Borusja” Boruja Kościelna po reaktywacji w sezonie 1998/99 na boisku w Borui Nowej. Stoją od lewej: Zbigniew Staśkowiak, Zbigniew Jakubowski, Jarosław Kwiatkowski, Radosław Michalak, Tomasz Pakuła, Sławomir Janowski, Czesław Abramowski, Grzegorz Sabaturski, Adam Kosiński. U dołu od lewej: Damian Cichy, Michał Kozłowicz, Łukasz Szott, Krzysztof Skotarczyk, Krzysztof Kotlarczyk. Fot.: A. Waśko

czenie zdobyte w takich klubach jak: „Budowlani” Nowy Tomyśl, „Pogoń” Lwówek oraz „Korona” Bukowiec. Drużynę tworzyli pełni zapału młodzi mieszkańcy Borui Kościelnej, których swym doświadczeniem wspierali zawodnicy grający przed ośmiu laty w „Borusji”. Pierwszy sezon w klasie „B” (1998/99), zespół zakończył na 8 pozycji w gronie jedenastu klubów. Skład osobowy klubu w pierwszym sezonie był następujący: Czesław Abramowski, Piotr Bimkiewicz, Tomasz Bimkiewicz, Damian Cichy, Mirosław Grosman, Marek Jakubowski, Zbigniew Jakubowski, Sławomir Janowski, Adam Kosiński, Czesław Kosiński, Arkadiusz Kotlarski, Maciej Kotlarski, Jarosław Kwiatkowski, Marcin Maciejewski, Radosław Michalak, Tomasz Pakuła, Adam Pieniężny, Arkadiusz Rupa, Przemysław Rupa, Grzegorz Sabaturski, Andrzej Skąlecki, Paweł Skąlecki, Krzysztof Skotarczyk, Zbigniew Staśkowiak, Łukasz Szott, Piotr Walorczyk, Waldemar Weber, Lech Worsa i Mateusz Wróbel. Kolejne lata działalności Klubu Sportowego „Ines” przyniosły progres w uzyskiwaniu wyników w klasie „B”. Sezon 1999/2000 klub z Borui Kościelnej zakończył na 7, a sezon 2000/01 już na 3 miejscu.

Latem 2000 roku stadion w Borui Kościelnej poddany został generalnej odnowie. Zostało wyrównane boisko, zasiano trawę, zakupiono wyposażenie oraz wyremontowano ławki dla kibiców. Co istotne, wszystkie prace klub wykonał we własnym zakresie.



Boisko w Borui Kościelnej - marzec 2001 r. „Ines” przed zwyciężskim 4:1 (2:1) meczem z „Huraganem” Łomnica. Stoją od lewej: Jarosław Gumuła, Adam Kosiński, Tomasz Pakuła, Arkadiusz Kotlarski, Sławomir Janowski, Łukasz Szott, Jarosław Kwiatkowski, Zbigniew Jakubowski. U dołu od lewej: Tomasz Sikorski, Krzysztof Skotarczyk, Arkadiusz Rupa, Grzegorz Sabaturski, Damian Cichy. W tle po prawej budynek klubowy. Fot.: L. Skotarczyk

W tym czasie, co stanowiło ewenement w klasie „B”, klub posiadał dwa boiska spełniające wymogi licencyjne, tj. boiska w Borui Kościelnej i Borui Nowej. Oba zostały zgłoszone do rozgrywek, prowadzonych przez Wielkopolski Związek Piłki Nożnej.

Wiosną 2001 roku Krzysztofa Skotarczyka na stanowisku trenera zastąpił Władysław Pięta. W sezonach 2002/03 i 2003/04 „Ines” prowadzony był przez Sławomira Janowskiego. Oba sezony drużyna kończyła na 6 miejscu w klasie „B”. W tym okresie istniała również drużyna trampkarzy prowadzona przez Sławomira Janowskiego.

W 2002 roku przeprowadzono wybory nowego zarządu, który od tej pory pracował w składzie: prezes – Sławomir Janowski, zastępca prezesa – Jarosław Gumuła, sekretarz – Adam Pieniężny i skarbnik – Krzysztof Skotarczyk. Kierownikiem drużyny pozostał Leszek Skotarczyk.

Wiosną 2003 roku sponsorem drużyny przestała być firma „Ines” i klub powrócił do historycznej nazwy „Borusja”. Zgodnie z ustawą o kulturze fizycznej, 2 kwietnia 2004 roku „Borusja” została wpisana – pod nrem 7 – do Ewidencji Stowarzyszeń Kultury Fizycznej, prowadzonej przez Starostę Nowotomyskiego. Od tej pory klub funkcjonuje jako stowarzyszenie, a jego pełna nazwa brzmi: Stowarzyszenie Kultury Fizycznej Ludowy



X. lecie LKS „Borusja” Boruja Kościelna po reaktywacji w 1998 roku. Stoją od lewej: Waldemar Olsztyński – prezes LKS „Borusja” oraz Zdzisław Szymczak - dyrektor Ośrodka Oświaty i Sportu w Nowym Tomyślu. Fot.: P. Skąlecki (23 VIII 2008 r.)

Klub Sortowy „Borusja” w Borui Kościelnej. Wybrano również nowy zarząd klubu. Prezesem został Waldemar Olsztyński, pozostałe funkcje pozostały bez zmian tj. zastępcą prezesa – Jarosław Gumuła, sekretarzem – Adam Pieniężny, a skarbnikiem – Krzysztof Skotarczyk.

Sezon 2004/05 był dla „Borusji” bardzo udany. Klub, ponownie pod trenerskim okiem Krzysztofa Skotarczyka, zajął w grupie VI klasy „B” wysokie 2 miejsce, za „Promieniem” Przyprostynia i awansował po raz drugi w swojej historii do klasy „A”. Pobyt „Borusji” w klasie „A” trwał dwa sezony. Pierwszy sezon „Borusja” zakończyła na 13 pozycji, by w sezonie 2006/07 zająć ostatnią 14 lokatę, co oznaczało spadek drużyny do klasy „B”.

Kilkukrotnie próbowano zmienić oblicze drużyny poprzez zmiany trenerów. Grającego trenera Krzysztofa Skotarczyka zastępowali kolejno: jesienią 2007 roku – Stanisław Kańduła, a wiosną 2008 roku – Eugeniusz Melerowicz. Od momentu awansu w 2005 roku do klasy „A”, na większą niż do tej pory skalę, widoczny był napływ do drużyny zawodników spoza Borui Kościelnej.

Obecny zarząd klubu został wybrany w 2010 roku. Prezesem klubu jest Waldemar Olsztyński, na zastępców prezesa wybrano Jarosława Kwiatkowskiego i Marka Kreta,

funkcję sekretarza pełni Tomasz Świszcz, a kierownikiem drużyny nadal jest Leszek Skotarczyk.

Boruja Kościelna już nie jako klub, ale jako drużyna złożona z mieszkańców wsi, występuje corocznie w Turnieju Piłkarskim Drużyn Wiejskich, których finał rozgrywany jest rokrocznie podczas Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego. Piłkarze biorą także udział w zimowym Turnieju Halowej Piłki Nożnej o Puchar Dyrektora Ośrodka Oświaty i Sportu w Nowym Tomysłu oraz Mistrzostwach Gminy Nowy Tomyśl w halowej piłce nożnej. W turniejach tych drużyna wsi Boruja Kościelna odnosiła liczne sukcesy. Podczas turniejów zespół Borui Kościelnej wspierał mieszkaniec tej wsi Błażej Telichowski, będący najbardziej utytułowanym i bodaj najbardziej znanym piłkarzem wywodzącym się z gminy Nowy Tomyśl. Zawodnik ten reprezentował Polskę w kategorii młodzieżowej i juniorów. Jest wychowankiem „Polonii” Nowy Tomyśl. Następnie występował w tak znanych klubach jak: „Lech” Poznań, „Dyskobolia” Grodzisk Wlkp., „Polonia” Warszawa, „Arka” Gdynia, „Polonia” Bytom oraz „Zagłębie” Lubin, zdobywając z nimi m. in. trzykrotnie Puchar Polski dwukrotnie Puchar Ekstraklasy i raz Superpuchar Polski. Obecnie reprezentuje barwy „Górnika” Zabrze.

LKS „Borusja” Boruja Kościelna od czasu spadku w 2007 roku z klasy „A”, aż do dnia dzisiejszego nieprzerwanie występuje w klasie „B”, zajmując zazwyczaj miejsce w środku tabeli. W miarę swych skromnych możliwości klub stara się rozwijać. W ostatnich latach wokół boiska powstało ogrodzenie. Wszystko po to, by drużyna „Borusji” mogła być sportową wizytówką Borui Kościelnej. Trener Krzysztof Skotarczyk przyznaje: *„Marzymy o tym, by mieć taki obiekt, który będzie zachęcał kibiców do systematycznego odwiedzania boiska, a także o tym, by w „Borusji” grało jak najwięcej wychowanków klubu”*.

Bibliografia:

Jarosław Owsiański i Tomasz Siwiński, *Historia futbolu wielkopolskiego*, pozycja niepublikowana Komunikaty Poznańskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Poznaniu (1972-1990 i 1998-2000)

Komunikaty Wielkopolskiego Związku Piłki Nożnej w Poznaniu (2000-2012)

„Orędownik Nowotomyski” z lat 1931-1939

Statut Ludowego Klubu Sportowego „Borusja” w Borui Kościelnej

Strona internetowa:

Kronika KS „Ines” z lat 1998-2002, prowadzona przez Krzysztofa Skotarczyka

Zapiski i dokumenty Tadeusza Skąleckiego lat 1985-89.

Wspomnienia: Jana Parniewicza, Mieczysława Poniedziałka, Pawła Skąleckiego, Krzysztofa Skotarczyka, Lecha Worsy, Zdzisława Worsy

Pomocą przy powstawaniu artykułu służyli również: Jarosław Owsiański, Krzysztof Pawłowicz oraz Leszek Przybylski



Andrzej Bobkiewicz

Na swojską nutę gramy cały czas

30. lat Kapeli ZZA WINKLA

Latem 2012 roku w nrze 3 (15) „Przeglądu Nowotomyskiego” zamieściliśmy artykuł prezentujący genezę powstania Kapeli „Zza Winkla” oraz szereg uwarunkowań, mających dość istotny wpływ na ukształtowanie profilu artystycznego zespołu. Autorzy publikacji Andrzej Bobkiewicz i Romuald Stankiewicz to znani nie tylko w naszym lokalnym środowisku „trubadurzy”, którzy w latach 1970-1990, występując w różnych estradowych konfiguracjach, „przeegrali prawie całą ćwiartkę” artystycznego stażu, umilając czas weselnym gościom i bywalcom innych biesiadnych imprez. Ci, poszukujący często nowinek, nietuzinkowi muzykanci, których dworując sobie, określić by można mianem „osobliwych dinozaurów” różnorakiego stylu muzykowania, postanowili przed laty zmienić swój artystyczny wizerunek.

W okresie transformacji ustrojowej dawni weselni muzykanci: Andrzej Bobkiewicz, Jerzy Stankiewicz, Tadeusz Kokociński i Henryk Adamczak, wspólnie z rodzinnym klanem braci Górnych oraz z posiadającym spory bagaż artystycznych doświadczeń Włodzimierzem Ciesielczakiem z Grodziskiej Kapeli Podwórkowej, stali się twórcami nowego stylu muzycznego, bliskiego duchowi tamtych czasów. Po pewnym czasie liczebny stan kapeli powiększyli i wzmocnili ją swymi umiejętnościami muzycznymi: Jerzy Sukiennicki, Tadeusz Wittchen oraz Lechosław Szarata, który po jakimś czasie postawił na własną solistyczną karierę. Zsynchronizowanie różnorodnych, jakże ważnych elementów ich artystycznych osobowości, takich jak m. in.: doświadczenie i sceniczne obycie, znajomość estradowych konwenansów w połączeniu z muzycznymi zdolnościami, niemal klezmerskim wyczuciem, improwizacyjnym talentem, zaowocowało powstaniem ansamblu preferującego przekaz zabawowo – komunikatywny, który nieprzerwanie od 30 lat wzbogaca nasz nowotomyski muzyczny pejzaż, promując także nasze miasto daleko poza jego granicami. W tym jubileuszowym dla niego roku postanowiliśmy przypomnieć jego historię i zaprezentować najnowsze dokonania i ...niecodzienne wydarzenia z życia zespołu.

Lucyna Kończal – Gnap

Na gruncie miejskiego folkloru

Już w średniowieczu znana była instytucja grajków ulicznych oraz wędrownych śpiewaków, zwanych trubadurami, minstrelami, czy wreszcie w Skandynawii – skaldami. Ich twórczość pełniła wówczas rolę zbliżoną do tej, jaką spełniają obecnie media. Po wielu wiekach przekształceń dała podwaliny współczesnemu muzycznemu folklorowi miejskiemu. Kapele podwórkowe to zjawisko znane w krajobrazie Warszawy, Łodzi, Krakowa i innych polskich miast, ale przede wszystkim przedwojennego Lwowa, gdzie od ponad 100 lat niemal każda ulica miała swoją kapelę. Różnie nazywano członków podwórkowych kapel: w Krakowie czy w Łodzi – andrusami, w Warszawie – cwaniakami, a we Lwowie – batiarami.

W typowej miejskiej kapeli tradycyjnie używano takich instrumentów jak: akordeon (cyja), banjo mandolinowe (patelenka), gitara (bradura), skrzypce (łupy), klarnet (patyk), kontrabas (basidło) oraz instrumenty perkusyjne. Współczesne kapele podwórkowe, mimo że mają już charakter zespołów estradowych, potrafią jednak pielęgnować dawne tradycje i podtrzymywać tożsamość swoich regionów. W warstwie muzycznej bazują na dorobku -starszego od miejskiego – folkloru wiejskiego. Muzycy ludowi nie znali zapisu nutowego, toteż wykonywane przez nich utwory przekazywane były z pokolenia na pokolenie tylko na zasadzie zapamiętania melodii. Wykonywane przez te zespoły melodie by-



Kapela „Zza Winkla” w swym pierwszym składzie (od lewej): J. Sukiennicki, A. Bobkiewicz, J. Stankiewicz, Górny, W. Ciesielczak, B. Górny, H. Górny – 3 września 1982 r.



Bożonarodzeniowy koncert z udziałem Ireny Jurkiewicz-Piekutowskiej

ły krótkie i nieskomplikowane, bo repertuar opanowywano pamięciowo, czyli mówiąc wprost muzykanci „grali na ucho”. Bardzo ważnym elementem, który w dużym stopniu determinuje charakter kapeli jest regionalna gwara, która w zasadniczy sposób decyduje o oryginalności prezentowanego przez zespół programu. Folklor miejski jest żywą tkaną, podatną na wszelkie nowinki. Ma więc prawo się zmieniać i ewoluować, pod jednym wszakże warunkiem – tak, aby nie zatracił on swej regionalnej tożsamości, odrębności, czyli właściwego mu charakteru.

Od ponad 30 lat, nie tylko w Wielkopolsce, znana jest nowotomyska Kapela „Zza Winkla”, której repertuar określają nie tylko elementy regionalnego dialektu, ale także elementy północno- i południowoamerykańskich rytmów. Zespół korzystał początkowo wyłącznie ze skarbnicy folkloru miejskiego. Jednak jeden z koncertów (w Mierzynie) był ostatnim, podczas którego formacja zaprezentowała stary program. Krytycznym okiem spojrział nań felietonista „Gazety Poznańskiej”, redaktor Andrzej Niczyperowicz. Ten skierował członków zespołu do uznanego satyryka i poety Lecha Konopińskiego, który od tamtego czasu napisał dla nowotomyskiej kapeli wiele piosenek, zarówno w narzeczu regionalnym, jak i w języku literackim. Jego teksty oraz muzyczne opracowania i aranżacje Andrzeja Borowskiego, Henryka Kuczyńskiego, Piotra Żurowskiego i Mariusza Matyszewskiego sprawiły, że zespół zyskał renomę i rozgłos, a media otworzyły przed nim swoje podwoje. Sprawcza moc mediów w lansowaniu przebojów i gwiazd estrady jest niekwestionowana. To dobrze, że ambicja predysponuje Winklowców, by równać do najlepszych. Odtąd starali się i starają się być w czołówce, walcząc o miano „primus inter pares”.

W kraju i na świecie

Kapela składająca się z muzyków doskonale czujących klimat miejskiego folkloru osiągnęła wysoki poziom interpretacji muzycznych utworów. Świadczą o tym najlepiej liczne nagrody, zdobywane na krajowych przeglądach i festiwalach – od Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Orkiestr Podwórkowych w Przemyślu (1985 r.), poprzez II Ogólnopolski Zbieg Kapel Podwórkowych „Drynda 98” w Łodzi i Ogólnopolski Przegląd Kapel Podwórkowych w Międzyrzeczu (1998 r. i 1999 r.), po Ogólnopolski Przegląd Kapel w Kaliszu Pomorskim (2001 r.) Ukoronowaniem festiwalowych sukcesów było zdobycie Grand Prix, czyli Złotego Wilka na polsko – niemieckim Przeglądzie Kapel w Łobzie (2011 r.). O uznaniu dla zespołu może również świadczyć udział w jakże prestiżowych wydarzeniach muzycznych. W marcu 2011 r. zaproszono kapelę do udziału w imprezie pod patronatem Radia Merkury – „Dycha Starego Marycha”. W związku z tym wydarzeniem, w repertuarze kapeli znalazła się kultowa piosenka Mariana Pogasza „Eda Katana” z tekstem Juliusza Kubla, twórcy postaci Starego Marycha. Ta piosenka została wprost entuzjastycznie przyjęta przez publiczność podczas imprezy „Stary Marych wiecznie żywy”.

Od 12 do 15 grudnia 2011 r., w ramach projektu „Tero pora na gwiazdora” – promującego wielkopolskie tradycje bożonarodzeniowe, w Strasburgu przebywali przedstawiciele Lokalnej Grupy Działania „KOLD”. Zaproszeni przez europosła Andrzeja Grzy-



Podczas imprezy plenerowej na poznańskim Starym Rynku – na pierwszym planie Lech Konopiński, poznański poeta i satyryk, autor tekstów śpiewanych przez kapelę piosenek – czerwiec 2012 r

ba delegaci KOLD-u zwiedzili strasburską siedzibę Parlamentu Europejskiego, a biorących udział w spotkaniu posłów Parlamentu Europejskiego uraczyli nie tylko wielkopolskimi przysmakami, ale i kolędami i piosenkami w wykonaniu nowotomyskiej Kapeli „ZzaWinkła”. Wieczorne spotkanie opłatkowe tegoż gremium z alzacką Polonią odbyło się w domu parafialnym przy kościele Notre Dame de Lourdes.

W styczniu 2012 r. zespół wziął udział w imprezie „Grajcie z nami kapelami dla Leszka”. Takie było hasło urodzinowego benefisu Lecha Konopińskiego w poznańskim klubie „Krag”. Podobna impreza w Pałacu Działyńskich w Poznaniu zorganizowana została przez Poznański Oddział Związku Literatów Polskich. 80. letniemu Jubilatowi zagrały kapele, dla których pisze teksty od ponad 30 lat. Nie kapele rockowe czy popowe, lecz podwórkowe, takie jak: „Plewiszczoki”, „Junki z Buku” i – oczywiście – Kapela „ZzaWinkła”. Sam Lech Konopiński definiuje kapele podwórkowe następująco: *to taki zespół, który nie boi się wystąpić w każdym miejscu, również na podwórku i potrafi zabawić ludzi.*

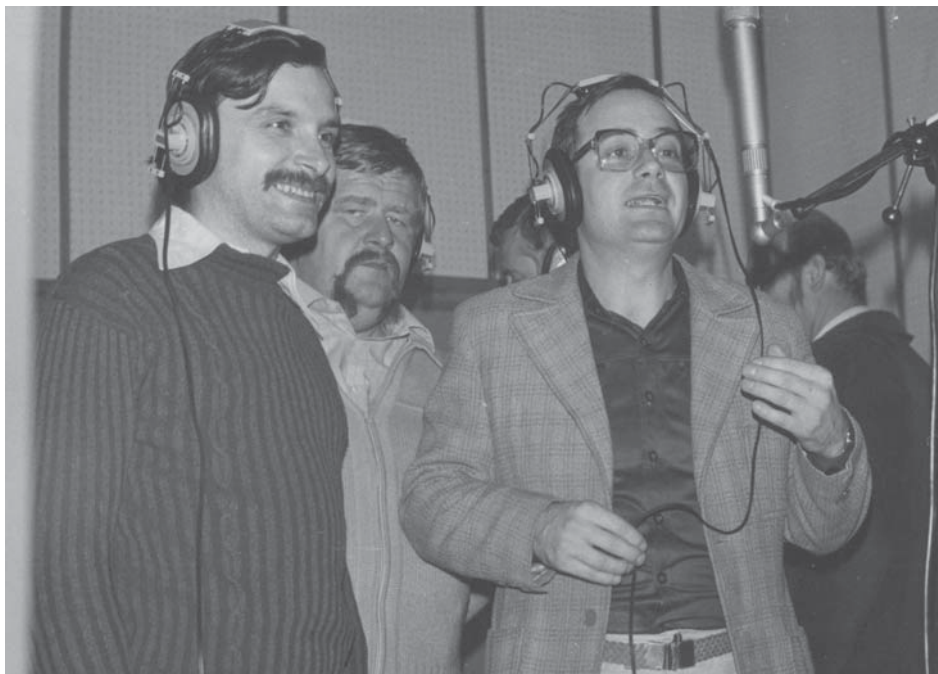
We wrześniu ubiegłego roku kapela nagrała piosenkę napisaną specjalnie na zbliżające się Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej. Słowa piosenki „Euro w Poznaniu” zrodziły się oczywiście w głowie mistrza satyry Lecha Konopińskiego. Muzykę jak zwykle skomponował niezawodny w wyczuciu klimatu utworu Henryk Kuczyński. Winklowcy zaś po raz kolejny udowodnili, że potrafią nadążać za zmieniającą się rzeczywistością. *A zmieniająca się co rusz rzeczywistość staje się zazwyczaj niezwykle zaskakująca wobec nieplanowanych, nieprzewidywalnych splotów zdarzeń.*

Wzloty i zachwyty, potknięcia i zgrzyty w drodze na szczyty

Szkołę batiańskiego sznytu i sztukę prezentowania się w scenerii miejskich zaułków „szczuny” z „ZzaWinkła” opanowali na Przeglądzie Kapel w Przemyślu w 1985 roku. Miasto to zapamiętali, nie tylko ze względu na zdobytą tam nagrodę, ale i na panującą miejscową tradycję. Nakazuje ona, by dobrowolne datki za występ zespół zbierał do czapki. Znalazł się tam wkrótce „uczynny wolontariusz”, który co chwilę pokazywał, że datków z biegiem drogi i czasu przybywa. Nowotomyskanie ukontentowani hojnością darczyńców grali ochoczo skoczne kawałki, a gdy skończyli, na twarzach zamiast uśmiechu pojawił się smutek, gdyż wraz z miejscowym „batiarem” zniknęła też szykowna czapka jednego z członków zespołu.

W tym samym roku, podczas jubileuszowej imprezy „Głosu Wielkopolskiego” w poznańskiej Arenie, publiczności przypadła do gustu piosenka kapeli „Kierunek do Wroniek”. Po tej piosence swoje wokalne możliwości prezentowała znana polska artystka. Nie wszystkim jednak odpowiadał jej repertuar, kiedy więc skończyła śpiewać, jeden ze słuchaczy głośno skwitował jej występ okrzykiem: *Znosz kierunek, ciung do Wroniek.*

W gronie jurorów Zbiegu Kapel DRYNDA-98 w Łodzi zasiadał lider folkowej grupy „No To Co” – Piotr Janczerski, którego zachwyciło wykorzystanie onomatopei w piosence „Bana do Poznania”. Jego zdaniem wyartykułowanie dźwiękonaśladowczych sekwencji głosek, to majstersztyk twórców tego przeboju kapeli, a instrumentacja nominu-



Jerzy Stankiewicz, Henryk Górny i Włodzimierz Ciesielczak podczas nagrania w Polskim Radio w Poznaniu – 1985 r.

je wykonawców do miana laureata przeglądu. Zdaniem Piotra Janczerskiego poziom wykonawczy predysponował Kapelę „Zza Winkla” do ubiegania się o prawo udziału w Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Ta nobilitacja zmobilizowała Winklowców do jeszcze bardziej perfekcyjnego dopracowania każdej frazy.

Zalety kapeli „Zza Winkla” dostrzegł też i docenił Zbigniew Górny, zapraszając zespół do udziału w Wielkopolskiej Gali Piosenki Biesiadnej, zorganizowanej z okazji 750. rocznicy lokacji Poznania, podczas której kapela prezentowała swój repertuar wraz ze znanymi artystami krajowych scen. Podobne zaszczyty spotkały kapelę w roku 1998 w Międzyrzeczu. Na tamtejszym przeglądzie mój partner w scenicznych dialogach, Henryk Górny wykoncypował zabawny sceniczny żart. Jemu to, pierwszoplanowemu akordeoniście, w trakcie zamaszystego rozciągania miecha, rozsypała się mocno już sfatygowana cyja. Skonfudowany Henio, w poszukiwaniu grosza ruszył w tłum z kaloszem – skarbonką, licząc na ofiarności publiczności. Zaimprovizowanemu rubasznemu dialogowi wtórowały salwy śmiechu. Sporo wesołości wzbudzały wyjmowane z dna kalosza elementy damskiej galanterii: „szpanga” do włosów, wyszczerbiony grzebień czy postrzępiona naramka. Do spazmów zaś doprowadziła widzów prezentacja seksterskich umiejętności określania wielkości rozmiaru zdezelowanego „podtrzymywacza piersi”.

Nigdy nie wiadomo, co może się w życiu przytrafić. Czasami znajdujemy się w takich sytuacjach, że nie potrafimy niczego sensownego powiedzieć i wtedy warto mieć pod ręką, a raczej w głowie jakiś błyskotliwy cytat, złotą myśl, czy aforyzm. Podczas kampanii wyborczej w 1990 roku Unia Wielkopolan zaproponowała kapeli przygrywanie podczas powitania Tadeusza Mazowieckiego – premiera, a zarazem kandydata na prezydenta RP. Termin spotkania zbiegł się z datą imienin premiera Mazowieckiego, więc nie mogło obyć się bez tradycyjnego „Sto lat”. Tak zapamiętałem to zdarzenie W pewnej chwili złapał mnie za łokieć osiłek z ostawy i stanowczo nakazał: *Pan do premiera!* Zanim zdążyłem pomyśleć, już stałem przed Tadeuszem Mazowieckim, a przy twarzy miałem kilka mikrofonów. Zauważyłem też pracujące kamery telewizyjnych stacji. Jak wiadomo – konferansjera nic nie powinno zaskoczyć – więc czym prędzej „strzeliłem” życzenia imieninowe, kończąc wywód sentencją: *Niech dobry Bóg, który patrzy z góry na nasze domostwa sprawi, żeby zło omijało nasze progi, a dobro gościło w nich częściej.* W odpowiedzi na takie życzenia premier Mazowiecki złapał mnie za ramiona i ucałował jak z dubeltówki. Po chwili podeszła do mnie dziennikarka „Gazety Poznańskiej” i powiedziała: *Mam już gotowy tytuł artykułu — „Człowiek, który wycałował premiera Mazowieckiego”.* Relację z tego wydarzenia wyemitowano wieczorem w telewizyjnej „Panoramie”. Miało ono dość istotny i znaczący wpływ na wzrost prestiżu zespołu.

Najlepsze czasy dla naszej działalności przypadły na lata 1985-1989. Mieliśmy wtedy od 100 do 120 występów rocznie. Swoiste żniwa rozpoczynały się 1 Maja, krótko potem przypadały Zielone Świątki, lipcowe Święto Odrodzenia i – kończące żniwa – dożynki. Oferta programowa kapeli zawierająca łatwo wpadające w ucho piosenki i dobry humor o regionalnym zabarwieniu sprawiała, że rosło społeczne zapotrzebowanie na występy takiego zespołu, który bawiąc pozwalał się oderwać od niełatwej rzeczywistości.

Aby sprostać przyjętym zobowiązaniom, rozpoczęliśmy szaleńczy wyścig z czasem. Dla zobrazowania tempa, w jakim wówczas działaliśmy, można podać choćby „rozkład jazdy” jednego z pracowitych weekendów: sobota – godz. 10: 00 piknik rodzinny w Pile, godz. 14: 30 festyn w Gryfinie (zachodniopomorskie), godz. 19:30 „Lato na Ratajach” (Poznań), 21: 30 „Noc Kupały” na Lednicy, a na finał – o godz. 24: 00 kończący „Świętojańską noc” koncert w Gniewkowie pod Toruniem. W niedzielę wyjazd do Wałcza, przejazd w okolice domowych pieleszy, czyli do Wolsztyna, a stamtąd ponowne przemieszczenie się na północny zachód Wielkopolski do Ujścia. Takiej wariackiej jazdy „bez trzymanki” w tamtym czasie było sporo. Żeby wszędzie zdążyć, niezbędnym było logistyczne rozdysponowanie czasu oraz zachowanie higienicznego trybu życia. A czasem

..... zdarzały się też, dobrze, że rzadko, uczynki mało chwalebne i nie chodzi tu bynajmniej o chwalenie się nimi, ale o to, by zasygnalizować problem... *W drodze na szczyty* dość często *zdarzyć się mogą, prócz wzlotów, potknięcia i zgrzyty.* Takie nieprzewidywalne sploty dziwnych okoliczności zdarzały się najczęściej w czasie chłopskich dożynek. W jednej z miejscowości zaplanowano, że koncert kapeli przeplatany będzie występami ludowych zespołów inscenizujących dożynkowe obrzędy. Zmiana ustalonego harmonogramu spowodowała nieprzewidywalną batalię o wyścig z czasem. Kapela wcześniej usta-



Koncert na Starym Rynku w Poznaniu – czerwiec 2012 r.

liła koncert w innej miejscowości, oddalonej o ponad 100 km. Aby pogodzić obie imprezy i by nie uszczknąć nic ze swej wiarygodności, bracia Górni wyjechali czym prędzej jako kurierzy na kolejną imprezę, by zaanonsować wyniki komplikacji, zaś pozostali muzycy pracowali dalej w pocie czoła na należne honorarium. Następnego lata w tej to, dla nas pechowej miejscowości, złośliwy splot zdarzeń znów pokrzyżował zapewne miśternie opracowany scenariusz uroczystości. Prowadząca dożynkowy korowód i dziarsko przygrywająca grupa muzykantów „Zza Winkla” zapadła się nagle jakby pod ziemię, znikając pośpiesznie w stojącym obok samochodzie. W ten oto sposób impreza pozbawiona została muzycznego tuszu. Zapadła grobowa cisza. Po chwili dało się wyłowić pojedyncze złowieszczo brzmiące złowrogie pomruki podekscytowanego tłumu. Kapela pędziła już dalej, zmierzając na kolejną imprezę. Po latach nie wystarczy tego skwitować słowami „tak jakoś wyszło”. Dzisiaj wypada przeprosić za ten niechlubny, nieprzemyślany incydent, wyrażając skruchę i żal, że doszło do tego nieumyślnie wywołanego zamieszania. Trudno jest przewidzieć, kiedy na wyboistej drodze kariery pojawić mogą się ry- sy lub pęknięcia.

Szkołę scenicznego opanowania członkowie kapeli zgłębiali już na początku swojej działalności. Grywając do przysłowiowego kotleta w lokalach gastronomicznych, dosłownie od kuchni smakował tajniki artystycznej profesji. Ludzi chętnych do rozrywki i udziału w dobrej zabawie nie brakowało. W okresie raczkowania kapeli „w branży”, program muzyczny, okraszony ludycznym dialogiem, trafiał w gust odbiorców. W cza-

sach przemian społeczno – gospodarczych reglamentowano środki niezbędne do przeżycia. W niektórych lokalach gastronomicznych zaś serwowano pożywną rozrywkę striptisowo – iluzjonistyczną. W tym okresie społecznego marazmu także występy kapeli były świetnym antidotum na dokuczliwość prząsnej rzeczywistości: *Gdy prząsna rzeczywistość, wokół szarość ponura, co daje ludziom radość? Jak nie sport, to kultura....* Z tygodnia na tydzień fanów więc przybywało, a piosenek zespół miał jak na lekarstwo. Trzeba było więc urozmaicać program pogwarkami o aktualnej sytuacji w kraju i przeplatać wiadomościami z frontu walki rządu o przetrwanie. Taki występ okupiony był dużym wysiłkiem. Należało błyskawicznie uaktualniać dowcipy, dostosowywać się do reakcji publiczności oraz weryfikować status zawodowy słuchaczy. Niezbędne w tym przypadku było wzmoczenie czujności i wyostrenie zmysłu na okoliczność dostosowania informacji do cenzorskich obwarowań. Dobrze więc było chwalić rząd – oczywiście rząd butelek stojących na półkach za barem. Najbezpieczniej było dopasować się do statusu społecznego, dworując sobie z profesji uczestniczących w zabawie gości – będą budowlańcy, to o nich, są na widowni lekarze, to obowiązkowo *przyszła baba do.....* Wspominając zaś o czujności... należało nie tylko ważyć słowa, ale przede wszystkim wiedzieć, co i do kogo się mówi. Mało kto zna arkana sztuki łowieckiej. Myślistwo to sztuka tropienia, podchodzenia i osaczania. Taka jest obowiązująca procedura polowania na zwierzynę łowną. Opowiadanie tej grupie pasjonatów o postrzeleniu zająca śpiącego na miedzy może zostać odebrane jako potwarz. Szydzenie z rytuału czyni ujmę na honorze. Odnośnie tej profesji tematyczna anegdota: *Myśliwy przed sądem odpowiada za postrzelenie gajowego: — Co ma pan na swoją obronę? — pyta sędzia. — Chyba tylko to, odpowiada łowczy, że gajowy nazywa się Zając!*

W niezmiennie męskim składzie

Kapela od początku istnienia miała tradycyjny męski skład. Wakat po Leszku Szaracie wypełnił Tadeusz Wittchen. Jego przyjsie do zespołu związane było z pierwszym nagraniem. Był rok 1985, zespół zaproszono do studia Polskiego Radia przy ul. Berwińskiego w Poznaniu. Potrzebne było profesjonalne brzmienie basu. Wcześniejsze próby nawiązania współpracy z kolegą Tadeuszem spełzły na panewce, gdyż do grania miejskiego folku muzyk ten przejawiał raczej ambiwalentny stosunek. Po nagraniach radiowych, przekonany do tego stylu muzycznego, stał się nie tylko filarem chóralnych partii głosowych. Jego profesjonalna interpretacja utworu „Bana do Poznania” jest wykładnią artystycznego kunsztu.

W pierwszym programie „Z babą nie wygrasz” publiczność z niecierpliwością oczekiwała wykonania piosenki „Wyćpiół mnie”. W rolę sponiewieranej przez frechownego absztyfikanta Meli wcielał się śpiewająco grający na banjo mandolinowym Włodek Ciesielczak. Przebrany w damskie ciuszki doskonale radził sobie w tym wcieleniu. Po koncercie ustawiała się do Meli tłumy łowców autografów. Trafiali się także tacy, co to chcieli umówić się z Melą na „stykę”.



Włodzimierz Ciesielczak w roli
powabnej Meli;
obok Andrzej Bobkiewicz

W kolejnym programie występował z kapelą prawdziwa kobieta, i to jaka! Diwa warszawsko – łódzkich teatrów muzycznych, Irena Jurkiewicz – Piekutowska. Zanim artystka osiadła w Nowym Tomyślu, występowała na najlepszych scenach operowych kraju. Ta wspaniała gwiazda wcieliła się w rolę ... Balbiny Pisuardesy. Udało jej się to znakomicie. Jako że była osobą niezwykle dowcipną, przed jednym z występów w jakiejś restauracji usiadła obok WC. Korzystający z przybytku, widząc talerz na stoliku, rzucali doń datki. Trudno sobie wyobrazić ich zaskoczenie, gdy ujrzeli ją śpiewającą na scenie! Jej znakomity głos nie pasował do repertuaru „Zza Winkła”. Nie stanowiło to jednak znaczącej przeszkody, kiedy wygłaszała monolog. Jej aksamitny głos zauroczył uczestników bożonarodzeniowego przyjęcia w Berlinie Zachodnim, gdy dała z siebie wszystko, co związane jest z najlepszą sztuką interpretacji kolęd i pastorałek. Współpraca tej artystki z naszą kapelą to jeden z epizodów wart kronikarskiego zapisu. Znający biografię Ireny Piekutowskiej z atencją odnoszą się do jej osiągnięć wokalnie – aktorskich, zaś szczużny z „Zza Winkła” z nostalgią wspominają wspólne z nią koncertowe wojaże.



Andrzej Bobkiewicz



Bogdan Górny



Jerzy Stankiewicz



Józef Kowalonek



Tadeusz Wittchen



Włodzimierz Ciesielczak



Leszek Szarata i Józef Matysiak – niegdyś członkowie kapeli

Z perspektywy czasu przyznają, że jej mentorskie wywody, to swoista busola wytyczająca azymut kreatywnego działania. Jej umiejętności mediacyjne nie raz sprawiały, że zarzewie waśni zostało w porę zażegnane. Z tego powodu zapewne nieodżałowanej pamięci pani Irena utrwaliła się w naszej pamięci jako wspanią artystka, skuteczny mediator i niezawodny kompan.

Trudno było sprostać obowiązującemu harmonogramowi zajęć kapeli. Intensywne i częste próby, dość liczne koncerty oraz wariackie tempo przemieszczania się z miejsca na miejsce, niejednemu z nas dawały się we znaki. Niełatwo jest godzić obowiązki zawodowe, próby oraz występy z życiem rodzinnym. Z tego też powodu kilku kolegów zrezygnowało z artystycznej kariery. Szkoda, bo niektórzy z nich to prawdziwi fachowcy, mający pewne miejsce w zespole. Niestety, byli też tacy, którzy nie nadawali się do zespołowej pracy. Ludziom konfliktowym, nie uznającym kompromisu, trudno znaleźć miejsce w szyku.

Na koncerty muzyki z kręgu folkloru miejskiego, czyli tzw. „w mandolinę szarpanej” przychodzą różne pokolenia. Co ich przyciąga? Wszystkich łączy zapewne sentyment do muzyki niosącej szczególne wartości, specyficzny klimat miejskich ulic, podwórek i zaułków. I to jest właśnie domena kapel i lansowanych przez nie piosenek, łatwych w odbiorze i przyjemnych dla ucha. A najważniejszym przesłaniem jest zawsze zachowanie pełnej harmonii nie tylko w muzyce, ale w stosunkach międzyludzkich. Złamanie pewnych sekwencji powoduje dysonans. Kapela Zza Winkla ponad 30 lat temu podjęła się zadania kultywowania tradycji i popularyzowania gwary wielkopolskiej i robi to – jak dotąd – śpiewając, bo: *nadal chce na swojską nutę cały czas grać, póki wena, siła moc, tkwi w nas*. Oto „dinozaury” muzycznej sceny, czyli aktualny stan osobowy zespołu: Andrzej Bobkiewicz, Włodzimierz Ciesielczak, Bogdan Górny, Józef Kowalonek, Jerzy Stankiewicz i Tadeusz Wittchen.

Fot. archiwum Kapeli „Zza Winkla”





Sylvia Kupiec

Pracę społeczną zakończyłam w wieku 92 lat...

– rozmowa z Emilią Reich, wieloletnią przewodniczącą nowotomyskiego Koła Emerytów i Rencistów przy Spółdzielni Inwalidów „CHEMOS” i Klubu Seniora „Srebrny Włos” przy Spółdzielni Mieszkaniowej oraz członkinią Rady Nadzorczej Spółdzielni i żoną powstańca wielkopolskiego.

Data Pani urodzin przypada na 1919 rok. Początek XX wieku i II Rzeczpospolita...

Zawsze podkreślam, że urodziłam się już w wolnej Polsce. Moi rodzice – ojciec Ignacy i matka Jadwiga (z domu Bączkiewicz) mieli 8 dzieci. Miałam trzech braci i 4 siostry. Ojciec objął 20. hektarowe gospodarstwo po dziadkach w Głuponiach, w powiecie nowotomyskim. Miało ono charakter doświadczalny, poletka i sad zakładała Izba Rolnicza. Ojciec był wielkim społecznikiem, należał do Rady Gminnej i Rady Kościelnej, był skarbnikiem Powiatowego Kółka Rolniczego. W kościele parafialnym w Brodach ufundował XII stację Drogi Krzyżowej. Wychował dzieci na patriotów i prawdziwych obywateli naszej Polski. Kochał bardzo Polskę i o nią walczył. Nie dosłownie, bo nie w wojsku, ale był bardzo pomocny, na przykład ludziom

ubogim. Potrafił pojechać 20 kilometrów do Nowego Tomysła, żeby jakiegoś biedaka wykąpać, odziać. Tę lekcję pamiętałam całe życie. Ojciec także pomagał sąsiadom, nie zważając na to, czy to Polak, czy Niemiec... Gdy na majątku u Hardta z Wąsowa zapaliła się pszenica, ojciec szybko zaprzął konia i przeorał pas ziemi, żeby ogień nie przeniósł się dalej, a Niemcy nie mogli wyjść z podziwu, że Polak pospieszył, by ratować niemieckie mienie. Z wdzięczności za powstanie nowej Polski i odzyskaną niepodległość, za nagrodę z Izby Rolniczej, przy wjeździe do naszego gospodarstwa, postawił figurę Serca Jezusowego. Podczas poświęcenia figury obecna była nawet hrabina Niegolewska.

Jako dziecko słuchała Pani opowieści o I wojnie światowej? Ktoś z rodziny w niej uczestniczył?



Dziadkowie Lasikowie i rodzice Emilii Reich wraz z najstarszą córką - ok. 1908 r.

Starsi oczywiście opowiadali. Ojciec nie brał udziału w wojnie, bo był niezdolny do służby wojskowej. Ja byłam wtedy jeszcze małym dzieckiem, więc w sumie tego wszystkiego nie rozumiałam.

Jak w domu wyglądały zwyczaje świąteczne? Mówiła Pani, że rodzice byli bardzo religijni...

Na Wigilię zjeżdżała się cała rodzina. Każdy otrzymywał jakiś upominek, chociaż nie taki okazały jak teraz się daje. Mój brat Marian był drogerzystą, więc przeważnie dostawaliśmy od niego mydełka, perfumiki, wodę kolońską. Moja mama zawsze robiła 12 potraw, tradycyjnie. Był karp – gotowany i pieczony, był makowiec, bułka z makiem – tradycyjne poznańskie danie, pierogi z kapustą, zupa rybna, barszcz, obowiązkowo kompot z suszonych owoców... co jeszcze...?

A kolędowanie?

Pewnie, kolędnicy przebiegali się i chodzili po domach. W ogóle ludzie byli zżyci bardziej ze sobą. Kiedyś w żartach mój ojciec powiedział do sąsiada: „Ty masz chyba wróbla w głowie”. Moi bracia to podsłyszeli, złapali wróbla na dachu, włożyli w kasetkę od cygar i dali sąsiadowi. Tyle śmiechu z tego było, bo wróbel od razu wyleciał...

Bez telewizji, bez radia więcej było radości, serdeczności między ludźmi. Mniej było nienawiści, zachłanności, zawiści, tego podejścia, że liczę się „tylko ja”. Ludzie się spotykali. Ja należałam do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej. Uczestniczyłam w zabawach Młodych Polek. W czasie Wielkanocy pierwsze święto spędzaliśmy z najbliższą rodziną. Później

to już się wszyscy rozjeżdżaliśmy do innych krewnych. Nie zapomnę, jak kiedyś pojechaliśmy do Łęczyc, do kuzyna ojca, a tam stół cały był zastawiony, szynka duża, prosiak, zając z czekolady... Nie mogłam sobie tego w głowie pomieścić, skąd tyle dobra... Zawsze byłam zabierana w gości, bo byłam pupilką ojca...

A mamę jak Pani wspomina?

Mama zajmowała się domem, porodziła tyle dzieci, a nigdy nie narzekała. Wychować 8. dzieci, to nie jest takie proste. Na dodatek dawniej nie było prądu, tylko lampy naftowe, nie było pralek, wszystko musiała prać ręcznie. Dziś dopiero człowiek zdaje sobie sprawę, jaki to był trud, bo jak młody był, to tego nie doceniał. Po prostu podziwiam. Jak szła krowy doić, to zawsze godzinki śpiewała. Moja mama była w Kółku Włościanek, podobnie zresztą jak hrabina Niegolewska.

Dwudziestohektarowe gospodarstwo wystarczyło na utrzymanie Waszej rodziny?

Biedy specjalnie nie było, ale rozkoszy też nie było. Ojciec umiał się dzielić, a poza tym inwestował w naszą edukację – najstarsza siostra była w szkole u Elżbietank, tam się nauczyła gospodarstwa domowego i wielu innych rzeczy. Druga siostra, Górniaczykówna po mężu, też skończyła Elżbietanki w Poznaniu, brat Czesław szkołę w Bojanowie, a dopiero w pozostawionych przez niego papierach przeczytałam, że on skończył studia i był inżynierem. Ja szkołę podstawową robiłam w Głuponiach, liczyła ona tylko 5 oddziałów. Na naukę religii dwa razy w tygodniu chodziliśmy 9 kilometrów do Brodów



Rodzice Emilii Reich, Jadwiga i Ignacy Lasikowie - ok. 1939 r.

i nie było za ciężko. Teraz te nogi może przez to „przechodzone”...

Pomagaliśmy też rodzicom w gospodarstwie. W 1937 roku podczas pracy miałam wypadek. Pamiętam, że rodzice wyjechali na pogrzeb do Ptaszkowa, a my z rodzeństwem wzięliśmy się za młócenie. Gdy odgarniałam zboże, lewa ręka zsunęła się na tryby i odcięły mi one 3 palce. Szybko zawieźli mnie bryczką do szpitala w Nowym Tomysłu. Pracował tu wtedy dr Rost, który zginął potem w Katyniu, i on mnie operował. Palców nie udało się uratować i już nie byłam tak sprawna, więc znajomy drobiarz, dr Szumann poradził, żebym poszła do szkoły drobiarskiej, w Julinie, w województwie warszawskim. To była dobra szkoła, nosiła imię Heleny Paderewskiej. Nie dosyć, że był tam wysoki

poziom, to jeszcze wiele uczennic było już po maturze, a ja tylko po 5 oddziałach szkoły powszechnej. Najpierw musiałam zdać egzamin na poziom klasy siódmej klas, żeby dostać się do Julina. Miałyśmy zresztą bardzo dobrych wykładowców – np. profesor Helenę Bączkowską, która pracowała w Akademii Rolniczej w Krakowie. Do 1956 roku miałam z nią stały kontakt. Pisałyśmy do siebie. W szkole byłam jedyną poznanianką. Uczennice – bo to była szkoła żeńska – były z całej Polski. Z Lwowa, z Augustowa, z Podlasia, trzy koleżanki z Warszawy. W sumie było nas 24. Można się było uczyć w trzech kierunkach: drobiarstwo, ogrodnictwo i sadownictwo. Poziom szkoły był bardzo wysoki, a ja tak ambitnie się uczyłam, że się nabiłam anemii. Najgorzej szła mi chemia.



Spotkanie rodziny Lasików - od lewej u góry: Czesław, Emilia, Aleksander, rodzice - Jadwiga i Ignacy, Joanna, Maria, Marian, Seweryna - 1938 r.

Ale radziłam sobie lepiej niż niejedna koleżanka po maturze. Oprócz teorii były praktyki, ale także rozrywka. Przyjeżdżał jeden z redaktorów z warszawskiego radia uczyć nas tańca – krakowiaka, mazura, kujawiaka, walca angielskiego. Byłyśmy też na wycieczce w Warszawie – w muzeum, ZOO i w teatrze na sztuce, którą pamiętam do dziś – „Gałązka rozmarynu”. Grałyśmy w siatkówkę, pływałyśmy na kajakach po rzece Liwiec.

Z końcem lipca 1939 roku ukończyłyśmy szkołę. Zostałam w Julinie jeszcze przez pierwszy tydzień sierpnia, a potem pojechałam do ciotki do Poznania, bo zaraz miałam zacząć praktykę drobiarską w Pudliszkach. Wielki wiklinowy kufer, w którym miałam swoje rzeczy i notatki,

nadałam na stacji kolejowej. Niestety, nie dotarł już do domu, bo zaraz wybuchła wojna. Nie dostałyśmy nawet świadectw, ale pani profesor powiedziała, że jak będzie nam bardzo zależało ze względu na pracę, to wypiszą. Otrzymałam tylko pismo z informacją o ukończeniu szkoły.

Wojna zastała Panią w Poznaniu?

Tak. Byłam u ciotki, która mieszkała na ul. Wrocławskiej, kiedy 1 września na miasto spadły bomby. O 10.20 dowiedziałyśmy się, że mój brat, drogerzysta, zginął od pierwszej bomby, która spadła na dzielnicę Rataje. Na godzinę 10.00 wezwali go jako specjalistę od obrony przeciwlotniczej do budynku, w którym mieścił się magazyn drogerii i w gruzach tego



Figura Serca Jezusowego ufundowana przez Ignacego Lasika i umieszczona w 1928 r. przy gospodarstwie w Głuponiach

magazynu zginął. Miał 27 lat. Ta informacja dotarła najpierw do brata i siostry mamy – naszego wujka, który był księdzem i do cici, która u niego gospodarzyła. Księża Bączkiewicza znali wszyscy poznaniacy. Szczególnie z tego, że on nie wchodził, tylko wskakiwał do tramwaju. Jeździł też po latach na nartach z Ojcem Świętym...

Bardzo przeżyłam śmierć brata, a że byłam akurat w Poznaniu, to jako jedyna z rodzeństwa mogłam uczestniczyć w pogrzebie. Z wujkiem księdzem pochowaliśmy mojego brata, a na drugi dzień, w poniedziałek, ze znajomymi wujka, pp. Dawidowskimi wyjechaliśmy do Jarosławia. Oni mieli tam jeszcze przetwórnictwo szynki bekonowych, które wysyłali do Anglii. W czasie największego bombardowania znaleźliśmy się w Warszawie.

27 września wróciliśmy z powrotem do Poznania. Długo by opowiadać o tym, że nie było co jeść, że stało się w kolejkach, by dostać kawałek chleba.

Gdy wróciłam do Poznania, dowiedziałam się od znajomego, że ojciec został aresztowany. Siedział 6 tygodni w tułaczarni magistratu, gdyż sąsiad doniósł, że ojciec rzekomo powiedział, że „jak będzie II wojna, to Was, Niemców, zostanie tyle, co pod jedną gruszą”. Od razu do niego pojechałam, zawiozłam mu ciepłą bieliznę. Nic nie wiedział o tym, że mój brat został zabity, nie wiedział też, co się działo ze mną. Po interwencji mamy u inspektora Kimmla, ojca wypuścili, bo był niewinny. Te słowa wypowiedział jego przyjaciel, zastępca prezesa Kółka Rolniczego. Pamiętam, że niedaleko naszego gospodarstwa przechodziły tory

kolejki wąskotorowej. Jak ojca zwolnili z magistratu, to kolejarze zatrzymali kolejkę przy postawionej przez ojca figurze, żeby tato mógł wysiąść bliżej domu. Co to była za radość, jak wrócił!

Do 25 października 1940 roku wszyscy, oprócz brata, byliśmy razem w domu. Pamiętam, jak o 6 rano, 25 października, Niemcy zaczęli walić do naszej bramy. Kazali otwierać, pytali, gdzie są rodzice. Ja już z bratem Aleksandrem, byłam na nogach, bo miałam pod swoją pieczęcią kury i od rana była z nimi praca. Kazali zabrać jedzenie na 3 dni i nic więcej. Nasz ojciec zdjął tylko ze ściany krzyż misyjny i schował do kieszeni. Zabrali mu go dopiero w obozie w Łodzi. Zabrali nas na furmanki, potem do pociągu, do bydłych wagonów i zawieźli do Łodzi Fabrycznej. Tam umieścili nas w fabryce, w której byliśmy dwa tygodnie. Tam też znaleźli się ludzie z naszych okolic. Sąsieda wywieźli dwa tygodnie wcześniej, jeszcze daliśmy mu na drogę jedzenie. Zabrali też ludzi z Opalenicy, z okolicznych wiosek, np. Bródek. Nie wywozili w jednym dniu, tylko stopniowo. Było okropnie, przecież w jednym dniu żeśmy tam nie dojechali.... 60 osób w wagonie, żadnej toalety.

Przed nami wywieźli już z tej fabryki 20 tys. Polaków, więc zamiast słomy, na podłodze była już sieczka, na dodatek zawieszona. Najpierw nastąpiło sortowanie. Zanim nas przydzielili do grup, robili badania. Początkowo lekarz zdecydował, że mam się znaleźć w ośrodku poprawy rasy niemieckiej. Nie widział jednak mojej lewej ręki, bo po 2 latach od wypadku ciągle się jej wstydyłam i miałam schowaną za siebie. Dopiero jak usły-

szałam, że mam jechać do Niemiec, to pokazałam mu rękę. Jak ją zobaczył, to taką minę zrobił, jakby w niego piorun uderzył i powiedział: „Na ja, das ist möglich fahren mit Eltern nach Generalgouvernement”. Do dziś pamiętam te słowa, że jest to możliwe, że pojedę z rodzicami do Generalnej Guberni...

Moja najmłodsza siostra, która teraz mieszka w Miliczu, została wywieziona na roboty do Niemiec. Nas z rodzicami wywieziono pod Warszawę, do Sokołowa Podlaskiego. Stamtąd nas przewieziono furmankami 20 km do Tchorznicy. Tchorznica składała się z wioski szlacheckiej i włościańskiej. Ci, których nazwisko kończyło się na „ski” lub „cki” byli od razu do szlacheckiej części przydzieleni. Nas skierowali do jakiegoś pana Wolskiego. Zaszliśmy tam, a pan Wolski leży w kożuchu, na wielkim łożu ze słomą... wielki szlachcic. Mój ojciec od razu powiedział do niego: „Proszę pana, proszę nam zrobić w oborze posłanie ze słomy, bo my jesteśmy tak zawszawieni, że musimy się najpierw doprowadzić do porządku i dopiero wtedy będziemy mogli przebywać w mieszkaniu.” Podziwiali ojca za tę jego kulturę. On starał się zachowywać godnie. Gdy nas wywozili to powiedział do mamy: „Tylko nie płacz, trzeba pokazać Niemcowi, że jesteśmy twardzi”.

Jak Niemcy was wtedy traktowali?

Różnie. Jak ktoś był podejrzany, to bili, albo gorzej. Jeden szewc z Opalenicy zaszył sobie w butach pieniądze. Powybijali mu wszystkie zęby. Nam się udało. Wyprosiliśmy nawet pierzynę, żebyśmy mogli zabrać dla mamy, bo ona już miała

reumatyzm. To był koniec października i już padała zimna mżawka. Gdy nas wywozili z obozu w Łodzi do Sokołowa Podlaskiego, szliśmy przy wozie, a mama leżała na wozie zmarznięta. Już wszystko zamarało. Okropnie było, ale ja mówię, że człowiek może dużo przeżyć. Ludzie nieraz się dziwią, że tyle przeżyli, a ja twierdzę, że to dzięki Bogu. Były nieraz chwile załamania, ale wiara pomagała. A to dzięki wychowaniu przez rodziców. Doceniłam je dopiero na wysiedleniu. Gdy wróciliśmy po wojnie, dziękowałam rodzicom za to... Moja siostra, mając 15 lat, została wywieziona do Niemiec. Opowiadała, jak Niemcy przyjechali na dworzec, wybierać dziewczynki do pracy, a ci, którzy ją wzięli, chcieli ją adoptować, ale ona powiedziała: „ja jestem Polką”. Pracowała u nich jako pokojówka i miała u tych Niemców bardzo dobrze, chociaż ten „jej” Niemiec, to podobno był w dwunastce Hitlera.

Z tego co wiem, w czasie wojny przebywała Pani na dworze hrabiny Czereżyńskiej – Przeźnieckiej...

Gdy znaleźliśmy się w Tchórznicy, starałam się o pracę w warszawskiej Izbie Rolniczej. W styczniu 1941 roku znalazłam się u Frasa, który miał w Warszawie bar, a w Łomiankach hodowlę gęsi i kur, bo potrzebował drobiu do swojego lokalu. Długo tam nie pracowałam, bo wtedy pierwszy raz spotkałam się z polską „łaciną”, która mnie po prostu przeraziła.... Zostałam wychowana przez rodziców naprawdę religijnych, więc nie mogłam zniesić tej mowy.. Słyszeć było tylko „k...”, „k...” i „k...”. Pracowało tam sześciu wozaków, a każdy był tak „okłęty”,

że trudno opisać. Napisałam do rodziców, żeby natychmiast mnie ściągnęli z powrotem. Po miesiącu dostałam przydział do pracy we Falentach, właśnie w majątku hrabiny Czereżyńskiej – Przeźnieckiej. Tam rządca miał wyższe wykształcenie rolnicze, a jego żona była polonistką. Pałac zajęty był przez gestapo. Miałam utrzymanie i 60 złotych zarobku, co w sumie wystarczyło na parę pończoch. Przez 10 miesięcy zajmowałam się inkubatorami z kurami i kaczkami, a nawet hodowałam bażanty. Niemcy, którzy przywozili jajka, bardzo mnie chwalili, że miałam 80% wylęgu bażantów. Tak je oswoiłam, że jak zagwizdałam na nie, gdy chodziły po parku, to przychodziły do mnie i jadły mi z ręki.

Majątkiem zarządzał Niemiec z Poznania, z alei Szucha. Trzeba było uważać, żeby nie podpaść i się tam nie znaleźć.... A bywały różne sytuacje... Kiedyś przyjechała do mnie pani z Warszawy, żebym pomogła jej mężowi, bo u nas pracowali więźniowie z alei Szucha. Chciała, żebym dostarczyła jej mężowi ciepłą bieliznę. Znałam obiekt, więc wiedziałam, gdzie są więźniowie. Opisała mi, jak mąż wygląda. Gdy oni przychodzili do nas na obiad, to ich zamykali w pomieszczeniu, więc nie miałam tam dostępu. Postanowiłam wrzucić paczkę z bielizną przez okno, ale się pomyliłam o jedno i wpadła za daleko – wprost na biurko gestapowca. Nikogo nie było, więc prędko weszłam, paczkę wzięłam pod pachę i już miałam wyjść, gdy ten mnie zatrzymał i pyta: „Czego sobie pani życzy?”. Ja na to szybko odpowiedziałam: „Chciałabym pożyczyć rower, bo chcę jechać na pocztę.” To Pan Bóg chyba odpowiedział mi taką szybką

odpowiedź, dał taki refleks. On na to odpowiedział: „Szkoda, ale nasz rower jest popsuty.” I w ten sposób wyszłam z tego cało. Na drugi dzień, podczas obiadu podłożyłam mu paczuszkę pod płaszcz, wiedząc jak jest ubrany. Ci więźniowie kopali rowy przy wjeździe do majątku i gdy przechodziłam obok, on zaczął śpiewać piosenkę „dziękuję za to, co dostałam”. Niemcy nie zrozumieli, a ja już wiedziałam, że paczka dotarła. Cieszyłam się, ale wbrew pozorom to była niebezpieczna sytuacja. Za to sama mogłam wyładować na alei Szucha.

Jeżeli się niczym nie podpadło, nie było źle. Gdy na szosie z Radomia do Warszawy, spadłam z roweru wymijając ciężarówkę i złamałam sobie nogę, to zawieźli mnie nawet do Warszawy, do szpitala i włożyli nogę w gips. Oczywiście musiałam pracować, ale miałam do pomocy takiego Żydka, Micia, którego uczyłam, jak obsługiwać inkubatory.

Przez brata miałam kontakt z Kazimierzem Miarkiewiczem z Izby Rolniczej z Nowego Tomysła, który był w Lublinie. Zaproponował on, żebym przyjechała do pracy do doświadczalnego majątku w Felinie, położonego praktycznie naprzeciwko obozu na Majdanku w Lublinie. Były tam konie wyścigowe, świnie, owce zarodowe, krowy zarodowe i kury. I tam na jeden miesiąc przyjęli mnie do pracy przy kurnikach. Potem na drugi. W końcu zarządca majątku, Niemiec, zdecydował, że będę gospodynią tego całego obiektu i będę prowadzić 6 kuchni! A ja, młoda dziewczyna, nie miałam wcześniej nic do czynienia z taką pracą. W każdej kuchni miałam kobietę, która gotowała. W majątku pracowali też:

ogrodnik, magazynier, inspektor rolny, jego zastępca, gospoś, która gotowała i dwie kobiety do sprzątan. Dyrektorem obiektu był dr Klaus, a szefem na samym majątku Muller, też Niemiec. Inspektor, podinspektor i magazynier byli Polakami, a w księgowości pracował mój przyszły mąż. Sezonowo do pracy w polu przyprowadzani byli więźniowie z Majdanka i dla nich przygotowywany był posiłek.. Pilnowałam, żeby w zupie dla nich przeznaczonej było jak najwięcej ziemniaków, aż łyżka „stała”. W obozie do jedzenia dostawali tylko brukiew. Było to też ryzykowne i w sumie człowiek się narażał, ale przynajmniej u nas się najeśli...

Łatwo było narażać się Niemcom?

Niby było tam spokojnie, ale żyliśmy pod wielkim strachem. Mieliśmy radio ukryte w maszynie do szycia i słuchaliśmy audycji z Londynu i Wolnej Europy. Oczywiście, zawsze ktoś pilnował, żeby Niemcy nie odkryli tego radia. Z drugiej strony warunki były dobre, w majątku każdy miał swój pokój – jak w hotelu, a ci Niemcy nie byli tacy źli. Pozwalali nam chodzić to kościoła, obchodzić święta. Jeden taki, inżynier architekt, to aż płakał, bo troje dzieci w domu zostawił. Drugi, Muller, miał niewidomą żonę. Gdy do niego przyjechała, to chodziłam z nią na spacer. A tak się przyzwyczaili do tortów, które piekłam, że zabierali je do Niemiec. Zawsze chciałam za jeden tort kilo masła. Trochę było do kremu, trochę zostawało dla nas. To byli normalni Niemcy. W ogóle pozornie ta praca wyglądała na normalną, ale każdy w sercu miał nadzieję na koniec wojny.

W majątku często przebywali też żołnierze na dwutygodniowym urlopie z frontu. Dla nich też była specjalna kuchnia, osobna też była kuchnia żydowska – Żydzi byli tam głównie krawcami, szewcami, którzy szyli buty na miarę. Żona dra Klausa zawsze robiła ze mną jadłospis, a potem jechałam na zakupy. Po cukier, tłuszcz, mięso jeździłam raz w tygodniu do Lublina. Miałam taką dużą chłodnię, do której się wchodziło i w niej były porozwieszane mięsa i pochowane różne produkty. Codziennie wydawałam je do kuchni. Pełniłam funkcję intendentki. Przeniosłam się do tej pracy, bo była lepiej płatna. Zarabiałam 250 złotych, a jedzenie i mieszkanie było za darmo. Do tego dostawałam 6 litrów wódki, bo oni rozpijali Polaków. Jak to sprzedawałam, to miałam dodatkowe pieniądze. Dostawaliśmy mydło, proszek do prania. Dzięki temu mogłam pomóc rodzicom. Gdy jechałam po deputat, po prowiant, to zawsze przy tej okazji prosiłam o kilogram masła czy słoniny dla rodziców, bo wszystko było na kartki. I najczęściej udało mi się to dostać. Przez to, że się przemieszczałam, już byłam podejrzana... Pamiętam, kiedyś przyjechał do nas jakiś Niemiec i powiedział: „Emilia, das is eine Spion”, czyli szpieg. Musiałam uważać. Zresztą oni nas ostrzegali. Jakbyśmy kogoś ukrywali, np. Żydów, to od razu byśmy się znaleźli w obozie. A już wtedy wiedzieliśmy o Oświęcimiu i obozach śmierci. Wtedy też już rozeszła się wiadomość, że Katyń to sprawka Niemców... Na tym majątku pracowałam trzy lata – od 1941 do 1944 roku.

Widzieliście, co się działo w tym czasie na Majdanku?

Majdanek był 500 metrów od nas. Gdy palili zwłoki, to zapach idący z wiatrem był nie do zniesienia. Palone włosy, paznokcie, nie można było wytrzymać... Mieli 2 komory gazowe, z których zwłoki wywozili do kampinoskiego lasu. Tam je zakopywali. To było okropne. Niby życie, ale jak bąbel na wodzie, z obawą, czy jutro coś się nie stanie. Byliśmy tam, jak zakładnicy.

Dziewczeta z kuchni dały kiedyś jeńcom słoninę, a Niemcy akurat zrobili rewizję, to tak im się dostało, że miały pręgi od bykowców na szerokość palca. Dostać się na Majdanek, to było coś okropnego. Kiedyś szłam do kościoła do Lublina i trafiłam na pacyfikację Żydów. Szli taką kolumną, a gdy tylko któryś się oddalił, to od razu został zastrzelony. Trupów na drodze leżało mnóstwo. Ten widok okropnie działał na człowieka.

Jak wyglądało opuszczenie przez Panią tego majątku?

Któregoś dnia po kolacji w tym ukrytym w maszynie radiu usłyszeliśmy, że Rosjanie ruszyli na Chełm. A z Chełma do nas było niedaleko... Dr Klaus kazał wszystko pakować i jechać do Łodzi. Zapakowaliśmy się w sumie na sześć wozów. Każdy miał swój wóz z woźnicą, ale po drodze woźnice uciekli i powoziliśmy sami. Ja i mój narzeczony jechaliśmy na dwóch wozach. Gdy byliśmy już pod Łodzią i mieliśmy jechać do tego majątku, o którym mówił Klaus, spotkaliśmy dyrektora Mullera. Kazał nam jechać pod Kraków, do Myślenic. Zmieniliśmy kieru-

nek, ale w okolicach Ojcowa, gdy już nasza kolumna wozów się rozpadła, mój narzeczony powiedział do mnie: „Nie, my tam już nie pojedziemy – uciekamy”. Stamtąd pojechaliśmy do Białego Kościoła, potem do Wierzchowa. Zarządca majątku, w którym chcieliśmy się zatrzymać, Malinowski powiedział nam jednak: „Nie będziecie mogli państwo tu zostać, bo mam tu kłopoty. Zaczęli się interesować moim księgowym Herzogiem, bo ma niemieckie nazwisko...” Coś mi zaświtało w głowie, gdy to usłyszałam i zapytałam, czy ten Herzog ma trzech synów... Okazało się, że tak i że jego żonę wywieziono na Sybir. To ja już wiedziałam, że to mój kuzyn. Jak się zobaczyliśmy, od razu go poznałam, a on nie wiedział, kim jestem, więc powiedziałam: „To ja, Milka Lasikówna”. „Niemożliwe! Skąd żeś się tu dostała?!” – niemal krzyknął. Potem załatwił nam u gospodarzy postój dla naszych koni. W styczniu w 1945 roku zobaczyliśmy, że Ruscy już zaczynają wchodzić. Przyszli też do nas, ale szukali Niemców. Gdy już przeszli przez Kraków, kuzyn postarał się o przepustkę polsko – rosyjską i 16 lutego wyruszyliśmy końmi z Krakowa do Głupon...

Ile jest kilometrów z Krakowa do Głupon?

Przejechaliśmy wtedy 482 km... Na miejsce dotarliśmy 25 lutego. Podróż trwała 9 dni. W Wieluniu Rosjanie chcieli nam zabrać konie, na szczęście mieliśmy tę przepustkę. Dobrze, że mój kuzyn znał rosyjski. W Krakowie odnalazła się jeszcze jedna kuzynka, więc jechaliśmy we czwórkę. Najgorszy nocleg, jaki

wspominam, mieliśmy w Książu. Był luty, a spaliliśmy na niezmiłonym zbożu i było tam strasznie zimno. Dotarliśmy do Czempinia, gdzie Rosjanie już rabowali, jak tylko mogli. Zaraz dotarło do nich, że przyjechały dwie panienki, więc zamknęłyśmy się na klucz, a mężczyźni nas pilnowali i gdy Rosjanie przyszli, powiedzieli, że tu takich nie ma. Z Czempinia wyruszyliśmy już do Głupon. Na gospodarstwie zastaliśmy naszą przedwojenną pracownicę. Z drobiu zostały tylko gajor i gęś, kaczor i kaczka, z odzieży nie było ani sztuki, wszystko zostało rozgrabione. Zaraz wzięliśmy się do pracy. Rosjanie kręcili się po okolicy i któregoś dnia przyszli i do nas. Spyтали, dlaczego nie mamy wywieszanej chorągwi, że my tu Polacy. Kuzyn powiedział po rosyjsku, że dopiero wróciliśmy i niczego nie mamy. Dopiero wtedy zasialiśmy z kuzynem owies i jęczmień. Przygotowałam ziemię pod buraki, wszystko robiłam, co się dało. Konie miałam, to robota jakoś szła. Rodziców jeszcze nie było, wrócili dopiero 1 kwietnia, w Wielką Sobotę. Pamiętam, że wcześniej odwiedził mnie znajomy i przekazał wiadomość, że niby mój ojciec nie żyje... Bardzo się zmartwiłam i zaniepokoiłam, co mama robi, co będzie z bratem, co z siostrą. Przygotowywałam posiłek na święta, więc pojechałam do Chraplewa po drożdże. Wracam, a tu mój kuzyn skacze z radości. Pytam się, co się stało, a on na to: „Przyjechali! Przyjechali!”. „Gdzie? Co?” – pytam. Wtedy wyszedł brat, wziął konie i powiedział: „Jadę po rodziców do Opalenicy!”. A ja z radości już nie wiedziałam, co ze sobą zrobić!



Czesław Lasik, brat Emilii
stracony 7 stycznia 1944 roku



Feliks Karczewski - pierwszy mąż p. Emilii,
przedwojenny oficer. Zmarł w 1961 r.

Jakie były wojenne losy Pani rodziców i pozostałego rodzeństwa?

Rodzice w czasie wojny byli na majątku u Jankiewiczów w Suchowoli. Mój najmłodszy brat, Aleksander, był u mnie w Lublinie. Podrzucił kartkę, że został aresztowany przez gestapo i jest na Majdanku, więc powiedziałam o tym naszemu zarządcy, a on zadzwonił do obozu i natychmiast go zwolnili.

Drugi brat, Czesław, związany był z wywiadem Armii Krajowej w Gdyni. Hitlerowcy aresztowali go w Gdańsku i 14 stycznia 1943 roku wydali na niego wyrok śmierci. Musiał bardzo cierpieć, ale nikogo nie wydał, chociaż wyrok wykonali dopiero 7 stycznia 1944. Miał cały zestaw modlitw, które codziennie od-

mawiał. Napisał poruszający list pożegnalny.

Dwie siostry już przed wojną były mężatkami, a trzy młodsze pracowały na tym gospodarstwie z rodzicami. Najmłodsza w czasie wojny była na robotach w Niemczech. Tam poznała męża i potem, po powrocie zostali na gospodarstwie w Głuponiach. Teraz zostałyśmy tylko trzy siostry. Jedna siostra ma pięcioro dzieci, druga sześcioro, a ja dzieci nie miałam, ale też musiałam żyć. W 1955 roku zmarł ojciec, a w 1957 mama.

Od razu po zakończeniu wojny osiadła Pani w Nowym Tomysłu?

Nie, miałam pracować w tutejszej wylę-



„Przeżyliśmy razem 16 lat i zawsze mówiliśmy nie „ja”, tylko „my”.
Z mężem Feliksem - na Pomorzu; ok. 1947 r.

garni, ale dostałam od narzeczonego list, że musimy zacząć od nowa życie, wyjechać stąd. Do 1946 roku pracowałam na gospodarstwie rodziców, a potem narzeczony przyjechał i się pobraliśmy. Dopiero po wojnie, bo ja nie chciałam wcześniej. Był ode mnie o 18 lat starszy. Ślub był skromny, żadnego wesela. Dwóch świadków i już. Nikt nic nie miał wtedy, więc nie myślało się o weselu.

Gdy się pobraliśmy, wyjechaliśmy na Pomorze. Mieszkaliśmy w Janowie, gdzie prowadziliśmy szkołę rolniczą. Mąż był kierownikiem, a ja miałam wykłady z drobiarstwa i sadownictwa. Po 1951 roku władza doszła do wniosku, że skoro mąż nie należy do partii, to nie może być kierownikiem szkoły i nas zwolniono. Ziemię mieliśmy w dzierżawie jeszcze przez 2 la-

ta. Uprawialiśmy tam potem dużo warzyw – ogórki, seler, kapustę ... To, co przynosiło dochód. Potem ziemię przejęła spółdzielnia produkcyjna. Mąż był jedynym inteligentem w tej wiosce – w Poznaniu studiował prawo i ekonomię i jakoś nie mógł się pogodzić z tym powojennym ustrojem. Pamiętam, jak mówił: „Jeszcze pół litra im postawię za to, że mnie zwolnili”. Miał swoje poglądy.

Mąż w ogóle brał czynny udział w plebiscycie. Mówił bardzo dobrze po niemiecku, bo przez ten udział w plebiscycie wyrzucili go z gimnazjum w Kwidzynie. Chodził do gimnazjum w Berlinie, gdzie miał ciotkę. Zmienił nazwisko na Samson, bo go poszukiwano. Ja go poznałam jako Samsona, ale potem, jak byliśmy „po słowie”, powiedział mi, że nazywa się Kar-



Z pierwszym mężem, Feliksem – 1958 r.

czewski, tylko musi się ukrywać. Z Janowa wywędrowaliśmy w okolice Kwidzyna, do miejscowości Trzciano, na gospodarstwo. Dom nie miał ani dachu, ani porządnej podłogi. Przez 10 lat wszystko uprządkowaliśmy i wtedy mój mąż zachorował – rak przewodu pokarmowego. Nie było ratunku, umarł. Przeżyliśmy razem 16 lat i zawsze mówiliśmy nie „ja”, tylko „my”. Żyliśmy zgodnie, razem. Dzieci nie mieliśmy, więc po jego śmierci wróciłam z powrotem na ojcowiznę. Na gospodarstwie osiadł już siostrzeniec. Pojechałam więc do siostry do Kozich Łasek i wtedy dowiedziałam się, że otwierają szwalnię dla inwalidów w Nowym Tomysłu i tam się zatrudniłam.

W którym roku zaczęła Pani pracę w Nowym Tomysłu?

W Nowym Tomysłu zamieszkałam w 1962 roku. Od 1963 roku pracowałam w Spółdzielni Inwalidów „Chemos”. Pracowałam w krojowni. Kompletowałam wykroje i numerowałam, a potem robiłam pomiary resztek itd. Zakład przynależał najpierw do Grodziska Wlkp., gdzie prezesem był p. Adamczewski, który potem cały zakład przekazał nowotomyskiej Spółdzielni Inwalidów „Chemos”. W „Chemosie” pracowałam 12 lat, do 1976 roku. Mogłam pójść na wcześniejszą emeryturę, dlatego że ukończyłam 55 lat, miałam stałe inwalidztwo i przepracowane w ciągłości 42 lata. Najpierw kierownikiem był tu p. Nowicki, potem p. Napierała. Pracowałyśmy na dwie zmiany, a szwalnia mieściła się na rogu ul. 3 Stycznia. Zawsze zabiegałam o to, żeby za dworcem wybudowano dodatkową szwalnię, ale późniejsze szefostwo w Opalenicy jakoś



Drugi mąż, Julian Reich, zmarły w 1987 r.

nie było za tym, no i szwalnia przeniesiona została na ogródki działkowe.

W Nowym Tomysłu nie tylko podjęła Pani pracę, ale i na nowo ułożyła sobie życie osobiste...

Tak, po 4 latach od śmierci pierwszego męża, wyszłam ponownie za mąż, za Juliana Reicha. Decyzję tę podejmowałam z ciężkim sercem, bo nie wiedziałam, kogo dostanę. Juliana poznałam przez znajomego cukiernika Zielińskiego. Tak mi go zachwalał, że domator, że taki dobry itd. Różnica wieku między nami była taka sama, jak z moim pierwszym mężem – 18 lat. Byliśmy jednak już starsi i – tym razem – to był taki bardziej przyjacielski układ. Chciałam mieć po prostu przyjaciela, dobrego człowieka u boku. I się nie pomyliłam. Był wychowany bardzo religijnie. Chociaż ojciec był ewangelikiem, a matka



Tuż po ślubie z drugim mężem
- 1967 r.



Pasją męża - Juliana Reicha -
były kwiaty, rybki i gra na
cytrze...

katoliczką, to prowadzali go do kościoła OO Franciszkanów w Poznaniu. Aż do śmierci znał katechizm na wyrywki. Przeżyliśmy wspólnie 20 lat. Był bardzo punktualny, a gdy rozliczał pieniądze domowe, wszystko musiało się zgadzać co do grosza. Notował wydatki, czasem nie powiedziałam, ile dokładnie wydałam, więc gdy brakowało, dokładał ze swojej skarbony. Żartowałam, że ma sam pójść do rzeźnika, to będzie wiedział najlepiej, ile co

kosztuje, ale raz poszedł i jak zobaczył te kolejki, to zrezygnował. Miał swoje lata, chociaż nie było tego po nim widać. Był wysoki, przystojny. W latach 60. już na zabawy nie chodziliśmy. Święta lubił spędzać w domu, był domatorem. Jego hobby była muzyka operowa i gra na cytrze, którą do dziś ma jego córka. To była koncertowa cytra. Tylko trzech ich grało w teatrze na cytrze. A to piękna muzyka. Mąż kochał też kwiaty i rybki. Robił cudowną



Przed blokiem na os. Świerczewskiego (obecnie St. Batorego) – 1969 r.

czerninę. I ja ten przepis przejęłam, i niejednemu ją poczęstowałam. Był powstańcem wielkopolskim.

Mąż opowiadał o powstaniu?

Nie za wiele. Miał żal o to, że nie uznali go za powstańca, chociaż w archiwum w Warszawie było napisane czarno na białym, że uczestniczył w powstaniu i był łącznikiem. W czasie II wojny jednak Niemcy przymusowo wcielili go do wojska i dlatego, gdy się starał w ZBoWiD-zie o status kombatanta, to odrzucili jego podanie. Powiedzieli, że skoro wstąpił do armii niemieckiej, to mu się nie należy. A to przecież pod przymusem było. Pracował w magazynach, a ktoś nawet powiedział, że pew-

nie Polaków zabijał. Mąż to bardzo przeżył. W końcu gdzieś znalazł się nadpalony dokument, świadczący o tym, że został wcielony pod przymusem. Potem się okazało, że nawet nie czytali tych jego podań – był w armii niemieckiej, to był skreślony. Pracował w PZU w Poznaniu, potem był inspektorem w Wolsztynie. Początkowo mieszkaliśmy w bloku nr 22, a potem 21, na ówczesnym osiedlu Świerczewskiego. Przez 6 lat mieszkała z nami siostra męża.

Mąż miał troje dzieci. Wnuki męża mają ze mną kontakt do dziś i dwójka dzieci też. W każdym razie 20 lat razem przeżyliśmy i nie był mi obojętny. To był prawdziwy przyjaciel.



Kurs podnoszenia kwalifikacji; z egzaminatorami z Poznania -15 stycznia 1973 r.



Kurs krawiecki prowadzony przez Krystynę Adamczak w Spółdzielni Mieszkaniowej – początek lat 70.



Kurs gotowania i pieczenia w stołówce w „Chifie” prowadzony przez p. Samuelową - 1970 r.



Koło Emerytów i Rencistów przy Spółdzielni Inwalidów „Chemos” swoje spotkania odbywało w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomyszu

Oprócz pracy zawodowej udzielała się Pani społecznie w wielu gremiach – m. in. w Spółdzielni Mieszkaniowej i – potem – w Kole Emerytów „Chemosu”...

Od 1971 do 1984 roku byłam członkiem Rady Nadzorczej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Najpierw miała ona swoją siedzibę w drugim wybudowanym przez spółdzielnię bloku (24?), potem w bloku nr 8. Byłam wtedy jedyną kobietą w tej Radzie i ukwiecenie klatek schodowych, to była moja inicjatywa. Pamiętam jak prezes Stachowiak, mówił do mnie: „Myśm się podśmiewiali, że to nie chwyci, a jednak się udało”. Zachęcaliśmy też ludzi do ukwiecania balkonów. Chodziliśmy z komisją, sprawdzaliśmy, jak klatki wyglądają i przyznawaliśmy nagrody. Magiel elektryczny w 28 bloku, to również był mój pomysł. Funkcjonował parę lat, chociaż potem już nie miał wzięcia. Gdy odchodziłam z Rady Nadzorczej, prezes Stachowiak był bardzo zawiedziony, ale stwierdziłam, że skoro skończyłam 75 lat, to już wystarczy tej działalności. Jednocześnie działałam w osiedlowym Klubie Seniora „Srebrny Włos”, który powstał w 1985 roku. Najpierw byłam jego wiceprzewodniczącą, a po śmierci przewodniczącego, p. Wesołego, od 1989 roku objęłam jego przewodnictwo. W międzyczasie, jeszcze zanim powstał Klub Osiedlowy, utworzyliśmy też kółko hafciarskie, które potem przerodziło się w sekcję rękodzielniczą klubu. Przewodniczącą tego kółka byłam też chyba z 10 lat. Zanim w spółdzielni pojawiła się Ela Kaffler, Marysia Spychała uczyła nas makramy i tkactwa. Nawet doktor Sznajderowa chodziła na zajęcia, które początkowo

odbywały się w Nowotomyskim Ośrodku Kultury.

W tym czasie organizowałam też w Spółdzielni Mieszkaniowej i w „Chemosie” dla kobiet różne kursy – garmażerki, gotowania, szycia, pieczenia, podnoszenia kwalifikacji. 25 stycznia 1973 roku odbył się nawet egzamin na mistrza i czeladnika krawieckiego. Przyjechali wtedy egzaminatorzy z Poznania, żeby wszystkie panie nie musiały tam jeździć. Sama też zdobyłam wtedy tytuł mistrza. Zorganizowałam też kurs garmażeryjny, potem kurs gotowania i pieczenia w Chifie, a potem ok. 1974 roku kurs kroju i szycia w Spółdzielni Mieszkaniowej. To też widać tu na zdjęciach.

Gdy odeszłam z „Chemosu” na emeryturę, podjęłam się prowadzenia Koła Emerytów i Rencistów Spółdzielni Inwalidów „Chemos ...”. Spotykałyśmy się we środy w bibliotece. Opiekunkami naszego koła były pracownice biblioteki: Eleonora Woźniczka i Maria Fabian. Bardzo wiele im zawdzięczamy, bo dzięki nim współpraca z biblioteką była wspaniała i czułyśmy się tam naprawdę, jak w domu. Na początku nasze koło liczyło 25 osób. Dziś zostało tylko 6 osób. Podczas tych spotkań miałyśmy różnych prelegentów – to przyjeżdżała pani Łucja Danielewska ze swoimi wierszami, to miałyśmy wykłady tematyczne, wycieczki urządziłyśmy we współpracy z panią Tadeuszową z Opalenicy. Mam wielkie uznanie dla pani Tadeuszowej, przewodniczącej w Opalenicy, że zawsze koordynowała współpracę Nowego Tomysła i Opalenicy, wspólnie wyjeżdżałyśmy na wycieczki krajoznawcze i rekreacyjne. Nie żałuję, bo to były piękne lata.



80. urodziny p. Emilii - życzenia składa ówczesny dyrektor biblioteki Czesław Krolek



Imieniny p. Emilii w gronie członkiń koła emerytek „Chemosu” – 2010 r.



P. Emilia, w wieku 92 lat zakończyła działalność w Kole Emerytów i Rencistów przy Spółdzielni Inwalidów „Chemos” - 13 czerwca 2011 r.



Spotkanie sekcji rękodzielniczej Klubu Osiedlowego

Przewodniczącą koła byłam ponad 25 lat, a ponieważ skończyłam 92 lata, uznałam, że już wystarczy pracy społecznej. 13 czerwca 2011 r. zrezygnowałam z funkcji przewodniczącej i odeszłam z pracy społecznej. Te moje działania były zawsze bezinteresowne, chociaż z „Chemosu” dostałam odznaczenie Przodownika Pracy, Brązowy Krzyż Zasługi... ale skąd dostałam Krzyż Kawalerski...? Nie wiem... Mam też odznaczenia wojewódzkie. Dla miasta coś zrobiłam i z tego mam zadowolenie. Staralam się też być dobrą pracownicą, chociaż ocena mojej pracy nie należy do mnie. Do wieku 92 lat pracowałam społecznie, no ale potem powiedziałam „koniec”. Zawsze byłam aktywna, bo Pan

Bóg dał mi zdrowie, więc mogłam długo pracować. Potem się ono pogorszyło, ale jeszcze się cieszę, że mnie zapraszają jako gościa honorowego na spotkania do spółdzielni, czy do biblioteki.

Jak Pani porównuje czasy – przed wojną, a teraz, to kiedy było lepiej?

Przed wojną wszystko nie było tak zmechanizowane jak dzisiaj, dzisiaj niby jest łatwiej. Do koszenia, do zbioru ziarna i ziemniaków są maszyny, a dawniej wszystko ręcznie się robiło. Tylko dziwne, że to wszystko ludzie zrobili i jeszcze mieli czas na spotkania, a dziś ludzie nie mają czasu, każdy zagoniony...Cieszę się, że ludziom jest lżej, ale się martwię, że nie znaleźli jeszcze lekarstwa na raka,



P. Emilia Reich w rozmowie z Sylwią Kupiec

na którego tyłu ludzi umiera. A rakiety są „do góry” wysyłane, naukowcy pracują, a lekarstwa na raka nie ma. Dawniej żywność była zdrowsza i ludzie nie chorowali na takie choroby jak dziś. Nie było tylu nawozów sztucznych, może nie było tyle zbiorów, ale dzisiaj pięknie wszystko wygląda, a chemia nas zabija. Po wojnie były kartki, u rzeźnika nagie haki wisiały... Teraz za to jest wszystko, tylko pieniędzy brak. Nigdy nie jest idealnie – coś za coś.

Jak Pani teraz spędza ten czas, wolny od pracy?

Zawsze lubiłam rękodzieło, wyszywanie. Dużo przebywam między ludźmi. Chodzę do Domu Dziennego Pobytu,

tu, chociaż odkąd pode mną się zarwało krzesło i się potłukłam, to nie chodzę codziennie. Mamy wykłady psychologa, internistki, robimy dużo prac ręcznych. Trzeba kiedyś przyjść, zobaczyć. Teraz więcej wypoczywam.

Staram się codziennie wychodzić. Jeszcze niedawno robiłyśmy z Ireną Nowakową rajdy rowerowe, do Śliwna i z powrotem. Jeszcze za mało nam było, to przez Wąsowo jechałyśmy i Wytomyśl.

Ile pani miała wtedy lat?

88....

Fot.: M. Kimstacz, archiwum p. Emilii Reich



Agnieszka Kaczmarek

Gaudeamus igitur na wsi

Tradycja badań antropologicznych wskazuje na prawidłowość, która pozostaje od wielu dziesięcioleci niezmienna. Niezależnie od badanych zbiorowości – miast, miasteczek, wsi czy jeszcze mniejszych wspólnot, elementem łączącym ich mieszkańców jest wzajemna niechęć, animozje, spory, a nawet wrogość skierowana na żyjących w pobliskiej miejscowości. Sąsiedzi mieszkający w najbliższej okolicy, często „za miedzą”, szczerze się nie lubią, przypisują sobie nawzajem najdziwniejsze cechy i nawyki: znoszą drwa do lasu, drabiny noszą w poprzek – zamiast pionowo, sieją sól, żeby więcej zebrać... Sąsiedztwo staje się źródłem napięć i nieporozumień, pół biedy jeśli niegroźnych, gorzej gdy złośliwych i niepotrzebnych. Kłopot w tym, że owa rywalizacja najczęściej dotyczy miejscowości w jakiś sposób od siebie zależnych czy z sobą powiązanych – wspólnym województwem, sejmikiem, gminą... Wówczas międzysąsiedzka niechęć niekoniecznie wychodzi stronom na dobre – zamiast współpracować i dawać opór realnemu wrogowi czy zdrowo konkurować w dobrze pojętym interesie, traci się energię na wymyślanie kolejnej przywary.

Nie inaczej dzieje się od lat w relacjach Miedzichowo – Bolewice, które należąc do jednego województwa, powiatu, a w końcu gminy, toczą między sobą mniej lub bardziej zaawansowane spory, ścierają się w międzywiejskich wojenkach, raczej się osłabiając niż rosnąc w siłę.

Jednak od blisko dwóch lat impet wzajemnych złośliwości na całe szczęście maleje i stopniowo przeradza się we współpracę. Zmiana jednak nie zrodziła się nagle i nie bez powodu...

Wiosną 2011 roku, z inicjatywy pochodzącego z Bolewic i w nich mieszkającego Wójta Gminy Miedzichowo dra Stanisława Piechoty, podjęto starania o utworzenie gminnego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, którego działalność adresowana miała być do mieszkańców wsi – nie tylko tych największych w gminie – Miedzichowa i Bolewic, lecz także tych mniejszych, tworzących barwny i wyjątkowo piękny gminny pejzaż: Grudnej, Jabłonki, Zachodzka, Lewiczynka, Piotrów... by wymienić zaledwie kilka z nich. Zadaniem Uniwersytetu, oprócz działalności wpisującej się w tradycję kształcenia ustawicznego ukierunkowanego na seniorów, miała być także integracja mieszkańców różnych miejscowości.



Inauguracja roku akademickiego na Miedzichowskim Uniwersytecie Trzeciego Wieku.

Na zdjęciu: rektor prof. Janusz Skoczylas oraz prodziekan Romuald Stasiak

Rezultaty tego na początku nieśmiałego projektu przerosły wszelkie oczekiwania osób zaangażowanych w rozwijanie idei gminnego uniwersytetu. Na uroczystej inauguracji I roku działalności, która odbyła się 20 października 2011 roku zgromadziło się ponad sto osób, które zapragnęły rozwijać swoją wiedzę, umiejętności i pasję; ale także spotykać się ze znajomymi, przyjaciółmi i tymi, którzy wkrótce znajomymi mieli się stać.

Idea Miedzichowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku zaczęła nabierać rozmachu i barw, a tworzona „uczelnia” niczym nie ustępowała swoimi strukturami oraz programem Bolońskiej Alma Mater – najstarszemu uniwersytetowi Europy. Co prawda jedynie w wymiarze symbolicznym, jednak z pełnymi honorami oraz zaangażowaniem, na czele Uniwersytetu stanął rektor, a pełnienia tej zaszczytnej funkcji podjął się prof. dr hab. Janusz Skoczylas, na co dzień pracujący w Instytucie Geologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Za sprawy programowe i organizacyjne odpowiedzialni są dziekani, których funkcja jest również emblematyczna oraz Rada Programowa, składająca się mieszkańców Miedzichowa i Bolewic. Patronat honorowy nad działalnością gminnej uczelni sprawują Jego Magnificencja Rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu prof. dr hab. Bronisław Marciniak oraz Pani Prezydentowa Anna Komorowska. Nie da się ukryć, że tak znamienici patroni mobilizują do intensywnej pracy, staranności, a przede wszystkim odpowiedzialności za podejmowaną inicjatywę, która formalnie wpisana jest w działalność statutową Gminnej Biblioteki Publicznej w Miedzichowie.



Rektor
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
Prof. dr hab. Bronisław Marciniak

Poznań, 12 września 2011 r.

Pan
Dr Stanisław Piechota
Wójt Gminy Miedzichowo

Szanowny Panie Wójcie,

Uprzejmie informuję, iż z wielką przyjemnością obejmę patronat nad powoływanym Miedzichowskim Uniwersytetem Trzeciego Wieku, popierając w pełni inicjatywę włączania społeczeństwa do systemu kształcenia ustawicznego, które zwiększa jakość życia ludzi.

Bardzo budujący jest fakt, że nie tylko młodzi ludzie są głodni wiedzy, ale że wzrasta również liczba ludzi, którzy po zakończeniu czynnej pracy zawodowej odczuwają potrzebę działań na rzecz pogodnej i pożytecznej społecznie jesieni życia i znajdują Uniwersytet Trzeciego Wieku. Taka instytucja stwarza możliwość ciągłego poszerzania wiedzy, pobudza do aktywizacji społecznej w interesie jednostki i ogółu, ułatwia nawiązywanie przyjaźni i szerzy ideę braterstwa między ludźmi.

Organizatorom przedsięwzięcia, wszystkim słuchaczom i wykładowcom, a także przyjaciołom Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Miedzichowie, składam najlepsze życzenia, by uczenie się i nauczanie najpełniej realizowało pierwotny związek prawdy i słowa, który według Sokratesa jest zacznym prawdziwej mądrości.

Z poważaniem

List rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza prof. dra hab. Bronisława Marciniaka

Studenci

Głównymi adresatami działalności Miedzichowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku są seniorzy zamieszkujący teren gminy Miedzichowo. Proponowane im zajęcia są nie tylko szansą na poszerzenie swojej wiedzy, umiejętności, zaspokojenie pasji, ale przede wszystkim stanowią okazję do spotkań, których wielu osobom, zwłaszcza w dojrzałym wieku, brakuje.

Uniwersytet – zgodnie z klasyczną ideą – daje możliwość spotkania wielu osobowości, poznania nieznanych wcześniej zagadnień, konfrontacji opinii, a także przeżycia radości. Bez tej przestrzeni szanse te pozostałyby nieurzeczywistnione.

Rozpiętość tematyczna zajęć w dużym stopniu spełnia nadzieje i oczekiwania kursantów, a teraz, już w drugim roku działalności jest znacznie szersza. Obejmuje bowiem zajęcia językowe (angielski i niemiecki), informatykę, którą słuchacze – zarówno w Miedzichowie, jak i w Bolewicach (być może ze względu na charyzmę prowadzących) szczególnie sobie cenią, psychologię, sport i rekreację oraz zdrowy styl życia.

W tym roku dodatkowo zaproponowano szkolenia z udzielania pierwszej pomocy oraz dwa rodzaje zajęć plastycznych. Uzupełnieniem cotygodniowej dydaktyki są wykłady, odbywające się raz w miesiącu (dla większej integracji organizowane naprze-



Immatrykulacja studentów



Renata i Jakub Skuteccy
podczas wykładu
o drodze do Santiago
de Compostela



Studenci podczas wykładu
„Droga do św. Jakuba”

miennie w Bolewicach i Miedzichowie), prowadzone przez pasjonatów, specjalistów, wykładowców UAM. Dzięki nim słuchacze Miedzichowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku mieli okazję zapoznać się z takimi tematami jak: „Problemy etniczne w Afryce” (prowadzący: Maciej Białkowski), „Bułgaria – mozaika kulturowa i etniczna” (prowadzący: dr Wojciech Józwiak z UAM). Podczas wykładu „Droga do św. Jakuba” mogli pielgrzymować – wraz z pp. Jakubem i Renatą Skuteckimi – do grobu św. Jakuba.

Profesor Janusz Skoczylas już dwukrotnie zabrał słuchaczy na wyprawę na Cejlon oraz do Chin, a z okazji Barbórki 2012 pojawił się na wykładzie w tradycyjnym górniczym mundurze. Każde ze spotkań jest fascynującą historią, opowieścią o rozmaitych miejscach i doświadczeniach, które zawsze wywołują emocje, a niekiedy wzruszenia. Każde spotkanie kończy się wpisem do indeksu, który każdy słuchacz posiada.

Prof. dr hab. Janusz Skoczylas w trakcie wykładu „Surowce mineralne Polski”....



.... i jego słuchacze



Dodatkową atrakcją są wspólne wyjazdy – wycieczka do Kampusu UAM w Morasku oraz zwiedzanie podziemi katedry w Poznaniu, wizyta w Berlinie czy wspólny wyjazd do teatru. Na najbliższy czas planowane są kino, katedra w Gnieźnie, Park Etnograficzny. Nie można jednak zdradzać wszystkich atrakcyjnych planów...

Trzeci wiek

Terminem „trzeci wiek” określa się zwyczajowo te lata życia, które następują po osiągnięciu przez człowieka wieku emerytalnego, a z pewnością dojrzałego. Zmiana warunków życia wywołuje zwykle uczucie pustki i osamotnienia, spadek prestiżu w środowisku. Nadmiar czasu wolnego i brak umiejętności jego wykorzystania – to dalsze czynniki – niestety – niewłaściwego nastawienia do późnej dojrzałości. Miedzichowski Uniwersytet Trzeciego Wieku, jak każda podobna inicjatywa, jest szansą na nadrobienie tego,



Maciej Białkowski – prowadzący zajęcia z informatyki w Miedzichowie – wraz ze studentami

co stracone, napełnienia kolorami tego, co nieco poblakło i ożywienie tego, w co niekiedy zdarzyło się zwątpić.

Uniwersytet integruje, poszerza horyzonty, łączy pokolenia, co pięknie dostrzec można w relacji seniorzy – wykładowcy, niekiedy bardzo młodzi, ale pełni pasji, zapału i życzliwości. Jest potwierdzeniem, że na młodość, nawet w wieku dojrzałym, nigdy nie jest za późno.

Czy etnografowie będą musieli odwołać swoją teorię o animozjach dzielących – najczęściej zupełnie irracjonalnie – mieszkańców zwaśnionych miejscowości? Czy wszystkie niechęci zostały wyeliminowane? Można spać spokojnie – nadal będą ze sobą rywalizować, jednak życzyć sobie należy, aby ta rywalizacja była pełna wzajemnej życzliwości, zabawy i poczucia, że warto ze sobą przebywać.

Fot.: archiwum UTW w Miedzichowie



Maria Tyszkowska

Idzie żołnierz borem, lasem..., czyli VIII Przegląd Dawnej Piosenki Żołnierskiej i Niepodległościowej.

Jak co roku z okazji narodowego Święta Niepodległości, z naszej inicjatywy i pod naszym patronatem, odbyło się kolejne, ósme już spotkanie zespołów reprezentujących szkoły naszego miasta i gminy. W wypełnionej po brzegi sali Nowotomyskiego Ośrodka Kultury rozbrzmiewały pieśni liryczne, smutne i nastrojowe, poważne, bardziej i mniej znane, ambitne i popularne, ale także swobodne i radosne, wszystkie o patriotycznej wymowie, o tematyce żołnierskiej i niepodległościowej.

Koncert rozpoczęli najmłodsi uczestnicy – uczniowie Szkoły Podstawowej nr 2 w Nowym Tomysłu pod opieką p. Ilony Kwiatkowskiej i p. Joanny Witczak. Wykonali dwie pieśni o zróżnicowanym charakterze z czasów powstania warszawskiego: *Deszcz jesienny* — z nutą tęsknoty oraz wesołą, pełną humoru *Pałacyk Michła*, którą śpiewała też publiczność. Była to pieśń harcerskiego batalionu „Parasol”, a wśród powstańców spopularyzował ją m. in. Mieczysław Fogg. Zespół Szkoły Podstawowej w Jastrzębsku Starym przygotowany przez p. Marię Zawartą zaprezentował liryczną pieśń *Polskie kwiaty* oraz dowcipną, ułańską pieśń z 1863 r. *Jak to na wojence ładnie*, do której wykonania włączy-



Najliczniejszą grupę wykonawców stanowili uczniowie Państwowej Szkoły Muzycznej w Nowym Tomysłu



Najmłodsi wokaliści to uczniowie ze świetlicy Szkoły Podstawowej nr 2



Pieśni w dwugłosie pięknie wykonał zespół uczniów ze Szkoły Podstawowej nr 1

li się także zebrani w sali słuchacze. P. Cecylia Ślusarz przygotowała uczniów ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Nowym Tomyślu, którzy w dwugłosie zaśpiewali *Deszcz jesienny* oraz Pieśń Legionów *My pierwsza brygada*, która od 2007 r. jest reprezentacyjną pieśnią Wojska Polskiego.

W dalszej części koncertu zabrzmiały nowsze pieśni patriotyczne. *Niepodległa, niepokorna zawsze była, będzie, jest, uskrzydłona bielą orła, bije rytmem naszych serc...* śpiewali z całą salą uczniowie Szkoły Podstawowej w Wytomyślu przygotowani przez p. Małgorzatę Lipiecką. Wykonali także poważną, opowiadającą o powstaniu warszawskim pieśń *Czterdziesty czwarty* z muzyką Mirosława Kalisiewicza i słowami Lecha Makowieckiego, który uważany jest za współczesnego barda, pisze m. in. pieśni o tematyce patriotycznej i dotyczące historii II wojny światowej, mocno osadzone we współczesności.

Najliczniejszą grupę śpiewaków reprezentujących nowotomyską Państwową Szkołę

Katarzynie Kucz z Zespołu Szkół nr 2 akompaniował p. Rafał Putz



SZespół uczniów ze Szkoły Podstawowej w Jastrzębsku Starym ze swymi solistkami



Muzyczną przygotowała p. Hanna Malicka. Wykonali oni pieśń *O mój rozmarynie* oraz – wspólnie z publicznością – *My pierwsza brygada*. Na fortepianie akompaniował im p. Marek Lipiec.

Pierwowzorem pierwszej z tych pieśni najprawdopodobniej była znana już od czasów kampanii napoleońskiej ludowa piosenka *Koło ogródeczka woda ciepła*, zapisana w zbiorach etnografa Oskara Kolberga. W swych wspomnieniach jeden z żołnierzy walczących podczas I wojny światowej napisał, że kiedy utrudzeni wracali z pola walki, a nogi z trudem stawiały kroki, pewien młody żołnierz zaczął cicho nucić tę pieśń, kolejno przyłączyli się następni i tak maszerując w rytm pieśni, wyuczyli się jej wszyscy. A potem szybko rozprzestrzeniła się po całym kraju.

Na zakończenie muzycznego spotkania, solistka z Zespołu Szkół nr 2 w Nowym Tomysłu, Karolina Kucz, przy akompaniamencie gitarowym p. Rafała Putza, zaprezentowa-



Uczniowie ze Szkoły Podstawowej w Wytomyślu zachwycili starannie dobranym repertuarem



Do wspólnego śpiewu chętnie włączała się publiczność

ła liryczną pieśń *Rozszumiały się wierzby płaczące* — ze słowami Romana Ślęzaka, który jako melodię do pieśni wykorzystał fragment marsza rosyjskiego kompozytora Wasyla Agapkina *Pożegnanie Słowianki*. Pieśń ta stała się jedną z najpopularniejszych w latach okupacji niemieckiej. Ostatnim utworem wykonanym przez Karolinę Kucz, wraz ze wszystkimi obecnymi na Sali, była *Rota* skomponowana przez Feliksa Nowowiejskiego do słów Marii Konopnickiej.

Celem muzycznych spotkań z piosenką żołnierską i niepodległościową jest nie tylko prezentowanie, wzajemne słuchanie, ale też poznawanie nowych utworów, okoliczności ich powstania i historii z nimi związanych, ale przede wszystkim wspólne ich śpiewanie, co z roku na rok udaje się coraz lepiej.

Starannie przygotowane stroje dzieci dodawały uroku występom, które zachwycaly obecnych na sali słuchaczy – dzieci, młodzież, rodziców, dziadków, nauczycieli oraz za-



Tradycyjnie na zakończenie spotkania z piosenką żołnierską i niepodległościową uczestnicy przeglądu udali się pod Pomnik Powstańców Wielkopolskich

proszonych gości. Organizatorzy dziękują wszystkim uczestnikom za staranne przygotowanie pieśni i odświeżających strojów, za ciekawe interpretacje, a przede wszystkim za wspólny śpiew.

Wszystkie uczestniczące w Przeglądzie zespoły otrzymały dyplomy oraz słodczyce ufundowane przez organizatora, a wręczali je zaproszeni goście: w imieniu burmistrza Nowego Tomysła i Wydziału Rozwoju i Promocji Urzędu Miejskiego – p. Marzena Kortus, płk Czesław Bogucki – komendant Wojskowej Komendy Uzupełnień w Nowym Tomysłu, p. Jerzy Kimstacz – inspektor ds. obrony cywilnej w Urzędzie Miejskim, prezes Związku Kombatanów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych – p. Romuald Ankudowicz, kierownik biura zarządu Polskiego Czerwonego Krzyża w Nowym Tomysłu – p. Emilia Jarczyńska, a w imieniu organizatorów – członek zarządu Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego – p. Genowefa Hreczyńska. Koncert prowadziła Maria Tyszkowska, inicjatorka tych muzycznych spotkań, którą zaproszeni goście obdarowali bukietem pięknych róż. Wszyscy uczestnicy Przeglądu Piosenki tradycyjnie przeszli na pl. Niepodległości, gdzie pod pomnikiem Powstańców Wielkopolskich złożyli wiązankę kwiatów oraz zapalili znicze.

Zdjęcia: Marzena Kortus



... Katarzyny Mrozik-Stefańskiej

Słowa dopadają mnie znienacka

Jestem najzwyczajniejszą w świecie kobietą. Nie buntuję się przeciwko przemijaniu, kolejnym siwym włosom, czy zmarszczkom, bo każdy okres w życiu może być piękny i wartościowy. I tak jak trudno i pięknie być nastolatką, tak trudno i pięknie być kobietą 45 plus.

Lubię proste rzeczy, proste potrawy, proste sprawy. Delektuję się zwykłymi zapachami domu, ogrodu, lasu. Z wczesnego dzieciństwa pamiętam właśnie smak i zapach pieczonego przez babcię chleba. Bo u babci na wsi mieszkalam, gdy byłam przedprzedszkolnym dzieckiem. I może dlatego tak lubię wieś, że pierwsze lata życia spędziłam właśnie tam, karmiąc z babcią zwierzęta, wiążąc kokardki na kłosach zbóż, biegając po lesie.

Teraz sama piekę chleb, karmię liczne zwierzęta, uprawiam warzywa i owoce, pielęgnuję rośliny, których coraz więcej w moim ogrodzie. Życie w rytmie natury jest proste i cudowne, nie popędza nas, a uczy cierpliwości, pozwala zauważyć rzeczy małe, ale ważne, odpłaca sercem za serce. Tu nie ma miejsca na miłość bez wzajemności.

Nauczycielem jestem z wyboru, nie z przypadku. Lubię swoją pracę, bo w szkole nigdy nie jest nudno. I zawsze można i nawet trzeba się rozwijać, żeby nadążyć za młodzieżą, rozumieć ich zainteresowania, ich język, poznawać ich świat.

W wolnym czasie, którego nie mam zbyt wiele, lubię posłuchać muzyki, poczytać dobrą książkę, lubię rozwiązywać krzyżówki i sudoku. I jak zwykła kobieta lubię robotki ręczne, zwłaszcza dzierganie na drutach czy szydełku. To zimą, bo od wiosny do jesieni zaszywam się w ogrodzie i tam relaksuję przy pieleniu, sadzeniu, kopaniu, grabieniu, zbieraniu.... Z grupą znajomych chodzę na długie spacerzy z kijkami. Należę do Koła Gospodyń Wiejskich, a to bardzo absorbująca działalność.

Wakacje najbardziej lubię spędzać u siebie, budzić się ze skowronkami, pić kawę i podjadać maliny i truskawki, zasypiać przy muzyce świerszczy. A gdy już wyjeżdżam, to lubię wędrowki po górach, ostatnio zauroczyłam się Beskidami. Lubię zwiedzać stare zamki, pałace, wyobrażać sobie życie ich dawnych mieszkańców. Ciągłe jest jeszcze we mnie marzenie z dzieciństwa, żeby choć na jeden dzień zamieszkać w jakimś zamczysku jako królewna. Moim marzeniem jest też odbyć podróż balonem. Z wszystkiego, co mi się do tej pory w życiu zdarzyło, najbardziej cenię sobie przyjaźnie.



Katarzyna Mrozik-Stefańska podczas wieczoru inauguracyjnego
Nowotomyskie Piętro Wyrazów Literackich w nowotomyskiej bibliotece - 27 listopada 2012 r.

Pisałam od zawsze, oczywiście do szuflady. Choć jako nastolatka odważyłam się wysłać kilka wierszy do czasopism młodzieżowych i raz chyba wzięłam udział w jakimś konkursie. Recenzje nie były zbyt pozytywne, ale wcale mnie to nie zniechęciło. Cóż, szuflada wszystko zdoła radę udźwignąć.

P. S.

Katarzyna Mrozik-Stefańska jest absolwentką Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i Kolegium Języków Obcych w Poznaniu. Od 22 lat uczy języków obcych, najpierw rosyjskiego, obecnie angielskiego w Zespole Szkół nr 2 im. Stanisława Staszica w Nowym Tomyślu. Przez większość swojego życia nowotomysłanka, od 3 lat mieszkanka podnowotomyskiego Sękowa.

Jej debiut czytany miał miejsce 27 listopada br. podczas wieczoru inauguracyjnego Nowotomyskie Piętro Wyrazów Literackich w nowotomyskiej bibliotece (więcej na ten temat w „Kronice wydarzeń”). W grudniu została zaproszona do udziału w spotkaniu Koła Literackiego przy Klubie Nauczycieli Miasta Poznania, a dwa z jej wierszy ukazały się drukiem w biuletynie poetyckim „Spojrzenia”. (red.)

Suszę jabłka na Wigilię
leżą ułożone równiutko
na kaloryferze
jak na plaży
słyszę jak w nocy
szepczą cicho
opowiadając historie
ze swoich jabłoni
smakują coraz lepiej
choć co dzień
coraz bardziej pomarszczone

mój anioł stróż
wyjechał w daleką podróż służbową
nie wyznaczył zastępstwa
zapomniał o modlitwie
rano wieczór we dnie w nocy
czekałam na niego
nie przysłał nawet pocztówki

moja dusza
jest jak strych
w starym domu
pełna pajęczyn
pudeł z pożółkłymi zdjęciami
zapomnianych listów
i wymyślonych upiorów
odważysz się
wspiąć po skrzypiących schodach
zdmuchnąć kurz z podłogi
i poszukać zagubionych pereł?

dziś poeci są niemodni
używają słów zamiast botoksu
nie błyszczą cekinami
na czerwonym dywanie
ich tomiki
cichutko siedzą na półkach
nie krzycząc okładkami
i tylko czasami
ich śmierć jest medialna
ale też nie za bardzo
bo bez sensacji

dokąd odchodzą
złamane serca?
siadają na łące
obok bezskrzydłych motyli?
gawędzą w niebie
z garbatym aniołem?
a może przyjaźnią się
z kulawym psem?
i to nawet zbyt wiele -
umierają samotnie

MOJEJ MAMIE

tak cichutko odeszłaś
nie żałując się Bogu
że już nie ugotujesz krupniku
że nie pojedziesz na wieś
nie zapleciesz warkoczyków
wierzyłaś
że śmierć na pewno tu nie trafi
masz przecież tyle do zrobienia
nakręciłaś włosy na wałki

ubrałaś plisowaną spódnicę
i pantofle niedzielne
zdziwiona patrzyłaś
jak kuśtyka korytarzem
wtapiając się w bezkolor szpitalnych ścian
jeszcze zdążyłaś się z nią zaprzyjaźnić
a nam zostało już tylko czekanie
na twoje zmartwychwstanie

KALENDARZE

czterdzieste któreś urodziny
wywiadówka syna
spotkanie z... lepiej nie wiedzieć
próba chóru anielskiego
odebrać serce od naprawy
a może tylko buty
upiec ciasto
z okruszków tego co kiedyś ważne
zamówić pisklęta bo wiosna
przegonić przeszłość z kątów duszy
zadzwonić do anioła stróża...
życie w zwężonych notatkach
na kartkach kalendarza
proste i jednoznaczne
prawdziwe?

bądź
moim chlebem powszednim
z chrupiącą skórką
nawet gdy czerstwy
poranną kawą
diabelsko czarną
słodką anielsko
kuszącym deserem

przed popołudniową drzemką
bądź daniem głównym
nie tylko
suplementem diety

ROBÓTKI RĘCZNE

zacerowałam poranek
potargany przez bezsenność
utkałam z minut
przedpołudnie z filiżanką kawy
wydzierałam z wieczornej ciszy
tęsknoty nieprzyzwoite
haftowałam życie
w pastelowych kolorach
poraniłam palce

a mnie się wcale nie spieszy
wolę poczekać cierpliwie
aż świerszcz z pająkiem
zagrają w duecie
truskawka dogada się z maliną
która piękniejsze ma rumieńce
poczekam nawet
dzień i noc całą
na zapach łąki w makowej sukience
co z mgły porannej
wylania się nieśmiało
poczekam na niedzielę piękną
rozleniwioną w hamaku pod jabłonią
i na poniedziałek w krawacie
znerwicowany nieco
poczekam na koniec lata
na koniec wiersza
koniec życia
niech im też się nie spieszy

każdy modli się
jak umie
burza
paradą błyskawic i grzmotów
biedronka
siedmioma kropkami
stokrotka
każdym płatkim małym
kot
mruczy zdrowaśki przy kominku
pies
merda ogonem litanie
bocian
klekocze w południe na anioł pański
a ja
swoje gorzkie żale wypłakuję
wątpliwości w godzinki zamieniam
a krople potu w paciorki różańca
mówią że Bóg
każdą modlitwę zrozumie

zmęczona
wtulam się w mglistą szatę
utkaną z grzesznych tęsknot
z ciszy wieczornej jak makiem zasiał
z mruczenia kota na kolanach
z trzepotu serca motylego
z nici pajęczej z perełką rosy
a może łą
z modlitwy duszą wyszeptanej
z nadziei co, mówią, że naiwnych matką
i czekam na poranek
radosny zawsze
jak szczeniaki

KIM JESTEM?

bez wstydu powiem
kobietą
z dumą przyznam
czterdzieści pięć plus
z burzą hormonów
choć już nie
z burzą włosów na głowie
bez lekkości ducha
bo z nadbagażem życia
lecz z lekkością pióra
zwłaszcza o 4 nad ranem
nie wiosną trzpiotną i płochliwą
ani płaczącym listopadem
lecz wrześniowym babim latem
z wieczorną mgiełką tajemnicy

słowa
dopadają mnie znienacka
najczęściej
o 3.57 nad ranem
nic nie tłumacząc
siadają zdaniem na łóżku
tylko kropki i przecinki
nie mogą
wdrapać się po schodach



październik – grudzień 2012 r.

Auto-Portret Gregora Laubscha

Galeria na Piętrze nowotomyskiej biblioteki wypełniła się 1 października miłośnikami sztuki fotograficznej. Gościem honorowym wernisażu był Gregor Laubsch, uznany portrecista, laureat wielu międzynarodowych konkursów. Urodził się w Polsce, ale od ponad dwudziestu lat mieszka w Berlinie. Swoją przygodę z fotografią rozpoczął od portretu i pozostał mu wierny, skupiając się na doskonaleniu warsztatu. Na zaprezentowaną w naszej bibliotece kolekcję jego prac zatytułowaną *Auto-Portret* składał się zbiór portretów, aktów i autoportretów. Czarno-białe fotografie analogowe i cyfrowe uporządkowane zostały w tryptyki – *Te kobiety, Ci mężczyźni, ...i dzieci, Akty niedopowiedziane, Światło i cień- kostiumy Justyny Waraczyńskiej — Varmy oraz dekalog — Auto/Portret*. Na wernisaż do nowotomyskiej biblioteki przybyli Starosta Nowotomyski – Andrzej Wilkoński, Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing, nowotomyski fotografik i przyjaciel Gregora Laubscha – Adam Polański, a także osoby, dla których fotografia jest sztuką szczególnie ważną. Współorganizatorami wystawy byli: Starostwo Powiatowe w Nowym Tomysłu i Urząd Miejski w Nowym Tomysłu. Wernisaż okraszony został muzyką w wykonaniu utalentowanych braci Tomasza i Macieja Kasprów.



Portrety Gregora Laubscha wzbudziły zainteresowanie zwiedzających

Wesołe rymowanie z Agatą Widzowską – Pasiak

Ślimak ślimak wystaw nogi, dam ci ścierkę do podłogi – taką wersję znanej rymowanki poznali trzecioklasiści ze Szkoły Podstawowej nr 1, którzy 2 października przybyli do Oddziału dla Dzieci nowotomyskiej biblioteki na spotkanie z Agatą Widzowską – Pasiak. Uwielbiająca słowne zabawy autorka książek dla dzieci, m. in.: *Co uciął Gucio, Dreptak i pępek świata, Bajeczki dla syna i córeczki, Myszka Precelka* swoim zamięłowaniem do rymowanek podzieliła się z młodymi czytelnikami. Czytała im swoje wiersze, a ochotników zachęciła do publicznego zmierzenia się ze słownymi wyzwaniem, zawartymi w jej książkach. Była to nie lada gimnastyka nawet dla najbardziej giętkich języków.



Agata Widzowska – Pasiak podczas spotkania z nowotomyskimi czytelnikami

Otwarte drzwi Domu Dziennego Pobytu

Z okazji Europejskiego Roku Aktywności Osób Starszych i Solidarności Międzypokoleniowej oraz Międzynarodowego Dnia Osób Starszych, Dom Dziennego Pobytu zorganizował 4 października Dzień Otwartych Drzwi. Miał on na celu przedstawienie dorobku artystycznego seniorów – uczestników zajęć i zapoznanie z działalnością placówki. Z zaproszenia skorzystali m. in.: grupa Ekoludków z Przedszkola nr 3 „Bajkowe Zaczysze”, członkowie klubu „Rezerwa” działającego przy Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych, proboszcz parafii pw. NMP NP ks. Andrzej Grabański oraz mieszkańcy miasta. Goście obejrzeli wystawę zdjęć, kronikę przedstawiającą najważniejsze wydarzenia, prezentację multimedialną oraz wystawę prac uczestników, na której można było podziwiać m. in. bukiety kwiatów wykonane z bibuły, owoce z wełny, haftowane serwetki, prace z papierowej wikliny i różnorodne ozdoby okolicznościowe.

W trakcie spotkania seniorzy czytali najmłodszym gościom bajki, częstowali słodyczami, a na pamiątkę pobytu ozdabiali rączki i buzie kolorowymi rysunkami. Dzień Otwartych Drzwi był znakomitą okazją do tego, by uświadomić wszystkim, jak ważną rolę w naszej lokalnej społeczności odgrywa najstarsze pokolenie.

Wizyta olimpijczyków – braci Zielińskich

Przez dwa październikowe dni powiat nowotomyski gościł mistrza olimpijskiego w podnoszeniu ciężarów w wadze do 85 kg Adriana Zielińskiego i jego brata Tomasza, który na tegorocznych Igrzyskach Olimpijskich w Londynie zajął dziewiąte miejsce. 4 i 5 października tegoroczni olimpijczycy odwiedzili sześć szkół, uczestniczyli w konferencji prasowej oraz spotkaniach w siłowni „Budowlanych” i w nowotomyskiej bibliotece. Podczas wszystkich spotkań największe zainteresowanie budził, prezentowany przez Adriana Zielińskiego złoty olimpijski medal z Londynu – jak mówił zawodnik – największy i najcięższy w historii igrzysk. Wszystkie spotkania prowadził działacz LKS „Budowlani” Robert Salwowski. Pochodzący z niewielkiej Mroczy sztangiści poczuciem humoru i bezpośredniością zjednali sobie uczestników spotkań, od tych najmłodszych, aż do tych już mocno dojrzałych. Działacze LKS „Budowlani”, na których zaproszenie olimpijczycy przybyli do naszego miasta, mają nadzieję, że ich przykład, a przede wszystkim przykład mistrzów polskiej sztangi, wyzwoli w młodych nowotomysłankach i nowotomysłanach chęć trenowania w klubie, który może poszczycić się największymi w naszym mieście sukcesami sportowymi.



Podczas wszystkich spotkań największym zainteresowaniem cieszył się złoty olimpijski medal

Kabaretowy wieczór

Na scenie Nowotomyskiego Ośrodka Kultury 5 października gościnnie wystąpił *Kabaret pod Wyrwigroszem*. Zaprezentowany repertuar zapewnił publiczności doskonałą zabawę, potwierdzając tym samym, że nowotomyślanie lubią dobry humor i z przyjemnością goszczą gwiazdy polskiej sceny kabaretowej.

Spotkanie partnerskich samorządów

Na zaproszenie Przewodniczącego Rady Miejskiej Sulęcina Leona Szczepańskiego, 6 października do tego partnerskiego miasta udała się grupa nowotomyskich samorządowców, w której znaleźli się radni, burmistrzowie i pracownicy Urzędu Miejskiego. Umowa partnerska pomiędzy Nowym Tomyślem a Sulęcinem podpisana została 1 maja 2005 r. Od tego czasu podejmowanych było wiele działań, służących realizacji postanowień umowy. Dotąd jednak nie odbyło się oficjalne spotkanie rad miejskich obu samorządów. Na takie właśnie spotkanie, którego celem było wzajemne poznanie się, wymiana opinii, a także poznanie walorów partnerskiej gminy udali się reprezentanci Nowego Tomyśla. Miejscem spotkania był sulęciński Dom Joannitów – Centrum Współpracy Polsko-Niemieckiej. Burmistrz Sulęcina Michał Deptuch przedstawił obszerną informację o Sulęcinie, walorach gospodarczych i turystycznych tego regionu, realizowanych inwestycjach i pozyskiwanych środkach zewnętrznych. O pięknej, ale kryjącej wiele sekretów ziemi sulęcińskiej opowiedział też kierownik Domu Joannitów Jacek Cieluch, a na pieszą wycieczkę po mieście zabrali gości historyk Aleksander Tracz. Nowotomyślanie mieli



Samorządowcy z Nowego Tomyśla i Sulęcina przy tablicy informującej o miastach partnerskich Sulęcina

okazję obejrzeć nie tylko najstarsze budowle tego miasta o XIII. wiecznym rodowodzie, ale i współczesną jego wizytówkę – rozbudowany gmach gimnazjum, wyposażony w nowoczesną halę sportową, ściankę wspinaczkową, a nawet saunę. Spotkanie zakończyło się w Ośrodku Wypoczynkowym „Kormoran”, po którym oprowadził jego właściciel, prezentując równocześnie plany dalszej rozbudowy tego centrum rekreacyjnego.

Spotkanie z okazji święta edukacji

Członkowie Związku Nauczycielstwa Polskiego z gminy Nowy Tomyśl już 6 października świętowali Dzień Edukacji Narodowej. W spotkaniu udział wzięli zarówno emerytowani, jak i czynni zawodowo pedagodzy i inni pracownicy oświaty. Gośćmi honorowymi uroczystości byli: Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing i Wicestarosta Powiatu Nowotomyskiego Tomasz Szulc, obaj z dumą podkreślający, że sami byli kiedyś nauczycielami. Po okolicznościowych życzeniach skierowanych do wszystkich zebranych, p. Halinie Chrzanowskiej wręczono odznaczenie za 50 lat przynależności do ZNP. Kwiaty i gratulacje odebrały też pp. Wanda Sołtysik i Urszula Starosta, obchodzące jubileusze 90. lecia urodzin. Związkowcy pamiętali również o młodszych jubilatach – Marii Sobkowiak, Janie Głembce, Henryku Stasińskim i Bogumile Urbaniak. Przewodniczący Adam Paschke podziękował kolegom z zarządu za ogromny wkład pracy w działalność związkową. Szczególne podziękowania za wzorcową współpracę skierował pod adresem przybyłych gości. Po poczęstunku odbyła się wspólna zabawa przy muzyce.

Krzysztofa Sadowskiego opowieść o współczesnej Rosji

Gościem październikowego spotkania w Klubie Miłośników Podróży *Przez kontynenty* działającym w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomysłu był Krzysztof Sadowski – dziennikarz Radia Merkury i poznańskiego oddziału Telewizji Polskiej S. A., wykładowca w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu. 9 października opowiedział on klubowiczom o swoich dwóch tegorocznych wyjazdach do Rosji: kwietniowo-majowym do Astrachania i sierpniowym nad Bajkał. Nowotomysłanie poznali więc bliżej Astrachań nad Wołgą – rosyjską stolicę produkcji kawioru i hodowli jesiotrów, podziwiali też zdjęcia najważniejszych jego zabytków. Ogromne wrażenie na widzach wywarły widoki Błękitnego Oka Syberii – Bajkału, jednego z najstarszych jezior na Ziemi, liczącego ok. 25 mln lat, w którego wodach żyje ponad 1200 gatunków zwierząt i ok. 600 gatunków roślin. Krzysztof Sadowski wzbogacił swą opowieść interesującym materiałem filmowym, a w kularach podpisywał karty klubowe i przy filiżance kawy wspominał swe wyprawy.

Konferencja opiekunów szkolnych kół PCK

Cykliczne spotkanie opiekunów szkolnych kół PCK z powiatów nowotomyskiego i grodzkiego odbyło się 10 października w sali konferencyjnej Urzędu Miejskiego w Nowym Tomysłu. Do udziału w konferencji zaproszono również gości z instytucji wspomagających działalność Oddziału Rejonowego PCK w Nowym Tomysłu oraz z nim współpracujących: Burmistrza Nowego Tomysła Henryka Helwinga, pełnomocnika burmistrza ds. uzależnień Jolantę Szade oraz sierż. sztab. Annę Urbaniak z Komendy Powia-



Konferencja była okazją do złożenia życzeń opiekunom szkolnych kół PCK

towej Policji w Nowym Tomyślu. W trakcie konferencji przedstawiono propozycje zadań dla szkolnych kół PCK na rok szkolny 2012/2013, podsumowano działalność szkolnych kół PCK oraz przedstawiono dalsze kierunki działania i rozwoju organizacji. W związku z przypadającą w 2012 roku 50. rocznicą powstania ruchu SIM (Społeczni Instruktorzy Młodzieżowi PCK), prezes Zarządu Oddziału Rejonowego w Nowym Tomyślu Jerzy Kimstacz przybliżył uczestnikom konferencji genezę ruchu SIM oraz dalsze kierunki jego działania i rozwoju. Kierownik Biura Oddziału Rejonowego PCK w Nowym Tomyślu Emilia Jarczyńska podziękowała wszystkim opiekunom szkolnych kół PCK za krzewienie wśród młodzieży szkolnej idei wolontariatu i bezinteresownej pomocy drugiemu człowiekowi. Konferencja była też stosowną okazją do złożenia życzeń opiekunom szkolnych kół PCK z okazji Dnia Edukacji Narodowej.

Święto pracowników oświaty

Gminna uroczystość z okazji Dnia Edukacji Narodowej odbyła się w tym roku 15 października. W Nowotomyskim Ośrodku Kultury władze samorządowe spotkały się z dyrektorami gminnych placówek oświatowych i wyróżnionymi nauczycielami. Tego dnia nie mogło bowiem zabraknąć nagród dla tych pedagogów, którzy szczególnie wyróżnili się w swojej pracy. Na wniosek dyrektora Gimnazjum im. Feliksa Szoldrskiego w Nowym Tomyślu nagrody Wielkopolskiego Kuratora Oświaty otrzymały uczące w nowotomyskim gimnazjum nauczycielki biologii Marlena Jarczeńska i Arleta Kucz. Nagrody odebrały 16 października podczas wojewódzkiej uroczystości w III Liceum Ogólnokształcącym im. św. Jana Kantego w Poznaniu. W uznaniu wyróżniających osiągnięć w pracy dydaktyczno-wychowawczej i opiekuńczej Burmistrz Nowego Tomyśla przy-



Nagrodzeni nauczyciele wraz z dyrektorami szkół i nowotomyskimi samorządowcami

znał Nagrody Gminy dyrektorom: Markowi Polcynowi – dyrektorowi Szkoły Podstawowej nr 2 im. Marii Skłodowskiej-Curie w Nowym Tomysłu, Mirosławie Rostkowskiej – dyrektorowi Szkoły Podstawowej w Jastrzębsku Starym, Małgorzacie Ruta – dyrektorowi Szkoły Podstawowej w Wytomyślu, Władysławowi Cegleckiemu – dyrektorowi Zespołu Przedszkolno-Szkolno-Gimnazjalnego w Bukowcu i Andrzejowi Wałęsie – dyrektorowi Gimnazjum im. Feliksa Szołdrskiego w Nowym Tomysłu. Na wniosek dyrektorów szkół Nagrodami Gminy uhonorowano także wyróżniających się w swej pracy nauczycieli: Annę Beyer – nauczycielkę wychowania fizycznego i Justynę Korbanek – nauczycielkę edukacji wczesnoszkolnej ze Szkoły Podstawowej nr 1 im. Tadeusza Kościuszki w Nowym Tomysłu; Danutę Reiman – nauczycielkę edukacji wczesnoszkolnej i przyrody w Szkole Podstawowej w Jastrzębsku Starym; Annę Bozio – nauczycielkę matematyki i przyrody w Szkole Podstawowej w Wytomyślu; Magdalenę Murawską – nauczycielkę matematyki i fizyki i Artura Markiewicza – nauczyciel muzyki i plastyki w Gimnazjum w Borui Kościelnej; Justynę Buczkowską – nauczycielkę matematyki i informatyki, Renatę Orlicką – nauczycielkę fizyki i Małgorzatę Paszke – nauczycielkę języka francuskiego i wychowawcę świetlicy w Gimnazjum im. Feliksa Szołdrskiego w Nowym Tomysłu.

Seniorzy z klubu świętowali

16 października, jak co roku jesienią, Klub Seniora „Srebrny Włos”, wspólnie z Klubem Osiedlowym Spółdzielni Mieszkaniowej w Nowym Tomysłu, zorganizował obchody Dnia Seniora. Na tegoroczną imprezę seniorzy zaprosili zespół śpiewaczy „Bolewiczanie” z Bolewic, który w trakcie spotkania zaprezentował się w krótkim koncercie. Za-



Swoje święto seniorzy uczcili wspólnym tańcem

rzęd Klubu Seniora podziękował p. Marii Wejman za wieloletnią obecność w zespole wokalnym „Jarzębina”. Na uroczystości nie zabrakło przedstawicieli władz samorządowych, Prezesa Spółdzielni Mieszkaniowej oraz przedstawicieli współpracujących instytucji, tj. OPS – u i PZER i I. Wzniesiono toast i złożono życzenia wszystkim uczestnikom imprezy. Wspólne biesiadowanie trwało do późnych godzin wieczornych.

Odświeżamy Nowy Tomyśl

W ramach projektu „Odświeżamy nasze miasta. TOB3CIT (Tabacco Free Cities)” realizowanego przez Państwowego Powiatowego Inspektora Sanitarnego w Nowym Tomyślu, wspólnie z koalicjantami, czyli strażą miejską i policją w dniach 16 i 24 października w dwóch zakładach na terenie Nowego Tomyśla odbyło się spotkanie z pracownikami, którego celem było podniesienie świadomości dotyczącej wpływu palenia papierosów na zdrowie człowieka oraz szkodliwości biernego palenia. Uczestnicy spotkania otrzymali ulotki i obejrzeni, zaprezentowany przez lekarza, krótki pokaz obrazujący zgubne skutki palenia. Straż miejska przypomniła natomiast o miejscach, w których zgodnie z obowiązującymi przepisami nie wolno palić oraz o sankcjach grożących za nieprzestrzeganie zakazów.

Seminarium agroturystyczne

W ramach zorganizowanego przez Lokalną Grupę Działania KOLD – i trwającego od 16 do 18 października – seminarium agroturystycznego 17 października w Nowym Tomyślu gościli jego uczestnicy. Seminarium zostało zorganizowane z myślą o samorządow-

cach i osobach związanych z branżą agroturystyczną Polski i Niemiec (LAG Flaeming-Havel). W programie seminarium znalazły się prelekcje związane z agroturystyką, a także zwiedzanie ciekawych miejsc turystycznych na obszarze funkcjonowania LGD KOLD. Nowotomyskim wiklinowym szlakiem oprowadził gości Burmistrz Henryk Helwing. Podczas rozmów z uczestnikami seminarium zwrócił szczególną uwagę na unikatowy sposób wykorzystania w Nowym Tomysku niepozornej rośliny, jaką jest wiklina, do kreowania i promocji produktu turystycznego i marki „Wikli-Nowy Tomyśl”. Wędrując wiklinowym szlakiem goście obejrzeli największy wiklinowy kosz świata, wiklinowy deptak, wiklinowego Tomysa, a także muszlę koncertową. Następnie udali się do gospodarstwa agroturystycznego „Klimkowa Osada” w Cichej Górze i zapoznali się z jego ofertą, skierowaną zarówno do odbiorców indywidualnych, jak i grup turystycznych.

40. Śpiewnik Domowy

Lata 20, lata 30 – to temat przewodni 40. spotkania z cyklu „Śpiewnik Domowy”, które odbyło się 17 października. Oprawę muzyczną spotkania zapewnili Anna Kaczmarek, Tomasz Perz i zespół OJEJ z Wiejskiego Domu Kultury w Bukowcu. O wspaniałą atmosferę zadbała pomysłodawczyni, a zarazem prowadząca spotkania Renata Śmiertelna. Tego dnia śpiewano m. in. takie utwory jak: *Ada, to nie wypada*, *Pierwszy siwy włos*, *Ach, jak przyjemnie*, *Każdemu wolno kochać*, *Powróćmy jak za dawnych lat*. Licznie zebrani uczestnicy śpiewnika oklaskami nagradzali wykonawców i tym samym zachęcali do bisowania ulubionych utworów.



Uczestnicy „Śpiewnika Domowego” śpiewali razem z członkami zespołu OJEJ

Sukcesy „Budowlanych” nie tylko na ciężarowych pomostach

Na zjeździe Rady Głównej Zrzeszenia LZS, 17. października w Warszawie, ukonstytuowała się Komisja ds. Sportu Wyczynowego, w której składzie znalazł się prezes „Budowlanych” Jerzy Nowak. Z ramienia tej komisji Jerzy Nowak odpowiedzialny jest za podnoszenie ciężarów w Zrzeszeniu LZS w całej Polsce.

Pięć dni później w wielkopolskiej Gołańczy odbył się zjazd sprawozdawczo – wyborczy Wielkopolskiego Związku Podnoszenia Ciężarów. Na zjeździe tym Jerzy Nowak, jednogłośnie został wybrany na stanowisko prezesa. Do zarządu weszli również Dominik Dyderski (Opalenica), Wojciech Piechowiak (Nowy Tomyśl) i Marek Wojciechowski (Opalenica). Delegaci zjazdu obdarzyli Jerzego Nowaka jeszcze większym zaufaniem, przegłosowując (znów jednogłośnie) jego kandydaturę na członka zarządu Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów. Wśród kandydatów do komisji rewizyjnej PZPC znalazł się Witold Dziurła z Opalenicy. Nowo wybrany prezes powiedział, że jego priorytetem będzie rozwój podnoszenia ciężarów w całym województwie. Znając pozytywny upór założyciela „Budowlanych”, jego doświadczenie w działalności sportowej, wiemy że będzie robił wszystko, by dotrzymać słowa.

Close to you

W ramach *Czwartkowych wieczorów literacko-muzycznych* 18 października Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomyślu zaproponowała swym gościom pełną harmonii podróż w świat utworów Burta Bacharacha – kompozytora i aranżera uznawanego za jedną z najważniejszych postaci muzyki współczesnej.



Ewelina Rajchel i Piotr Kałużny przygotowali program składający się z utworów Burta Bacharacha

W czwartkowy wieczór oczarowana publiczność oklaskiwała m. in. takie szlagiery jak: *Walk on by*, *One less bell to answer*, *Alfie*, *What the world needs now is Love, I say a little prayer*, *Raindrops keep falling on my head* i *Message to Michael* i *Close To You*. To właśnie ten ostatni utwór stał się tytułem programu opracowanego przez Piotra Kałużnego – pianistę, kompozytora, aranżera i dyrygenta i pięknie wyśpiewanego w naszej bibliotece przez Ewelinę Rajchel, piosenkarkę, autorkę tekstów i muzyki, z zawodu italianistkę. Pani Ewelina, która wcześniej gościła w naszej bibliotece z repertuarem piosenek włoskich jest laureatką programu „Szansa na sukces”, w 2005 roku zdobyła Grand Prix Festiwalu Piosenki Greckiej w Zgorzelcu, a także statuetkę Prezydenta Miasta Poznania w konkursie Zostań Gwiazdą Kabaretu. Szczególną niespodzianką było wykonanie przez artystów dwóch nostalgicznych utworów własnego autorstwa.

Wybrano sołtysa Borui Kościelnej

19 października w Borui Kościelnej odbyło się zebranie wiejskie, którego głównym punktem były wybory nowego sołtysa. W związku ze śmiercią, w dniu 26 września 2012 r., dotychczasowej sołtys Łucji Binaś, zaszła konieczność przeprowadzenia nowych wyborów. Na stanowisko sołtysa wsi kandydowały dwie osoby. W głosowaniu tajnym większą ilość głosów oddano na Justynę Schrecke, która została nowym sołtysem Borui Kościelnej. Zgodnie ze statutem sołectwa nowa pani sołtys weszła w skład Rady Sołectkiej, która obecnie liczy sześć osób. Swoją funkcję sprawować będzie do końca obecnie trwającej kadencji, czyli do czwartego kwartału 2014 roku.



Nowa sołtys Borui Kościelnej Justyna Schrecke (w środku) wraz z członkami Rady Sołectkiej

Pół wieku stowarzyszenia kobiet

Stowarzyszenie Koło Aktywnych Kobiet w Borui Kościelnej, wywodzące się z Koła Gospodyń Wiejskich, obchodziło 20 października jubileusz 50. lecia istnienia. Na uroczystość przybyły panie zrzeszone w stowarzyszeniu, przedstawiciele samorządu gminnego i Rady Sołeckiej, proboszcz miejscowej parafii, a także mieszkańcy Borui Kościelnej, współpracujący ze stowarzyszeniem. Z okazji jubileuszu panie przygotowały ciekawy program artystyczny, w którego organizację włączyła się też miejscowa młodzież. Dzięki okazjonalnej wystawie można było poznać szeroką działalność tego stowarzyszenia i jego osiągnięcia. Ciekawą pamiątką minionych lat była też kronika, nieprzerwanie prowadzona przez członkinie koła od chwili jego utworzenia.

Jesień życia ma wiele barw i zalet

Takie motto towarzyszyło nowotomyskim obchodom Dnia Seniora. Uroczystość z tej okazji odbyła się 23 października w Nowotomyskim Ośrodku Kultury. Jej organizatorami byli: Zarząd Rejonowy Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Nowym Tomyszu, Ośrodek Pomocy Społecznej oraz Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie. Na uroczystość zaproszeni zostali seniorzy z całego powiatu nowotomyskiego. Życzenia wszystkim seniorom złożyli przedstawiciele gminnych i powiatowych władz samorządowych, instytucji na co dzień współpracujących z seniorami i podejmujących działania na ich rzecz. Okolicznościowy referat wygłosiła sekretarz związku Anna Sinica, przypominając wszystkim, jak ważne jest aktywne starzenie się i praca na rzecz innych, oddziałująca pozytywnie na kondycję psychiczną i fizyczną. Sekretarz związku podzię-



Życzenia seniorom złożyli m. in. samorządowcy z gmin powiatu nowotomyskiego

kowała też osobom i instytucjom na co dzień wspierającym działalność związku. Jednym z podniosłych momentów uroczystości było wyróżnienie osób najbardziej zaangażowanych w działalność społeczną na rzecz seniorów. Złote Odznaki z rąk Przewodniczącego Zarządu PZERil w Poznaniu Henryka Zywerta otrzymali członkowie zarządu i koła w Kuślinie: Stanisław Woźny – skarbnik koła, Stanisław Wegner – sekretarz koła oraz członkowie zarządu Józef Koza i Stanisław Strzyżyński. Uroczystość uświetnił występ młodzieży z nowotomyskiego gimnazjum.

Serce zostało w górach...

23 października gośćmi Klubu Miłośników Podróży *Przez kontynenty* działającego w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomysłu byli Beata i Marcin Brudło z Grodziska Wlkp., którzy zabrali nowotomyślan w krainę górskich przestworzy. Opowieść Beaty i Marcina Brudła o ich trwającej od wielu lat górskiej pasji zilustrowana została niezwyklej urody zdjęciami i ciekawą, pełną pasji opowieścią.



Goście październikowego podróżniczego spotkania – Beata i Marcin Brudło

Zasłużeni dla turystyki

W uznaniu zasług dla rozwoju turystyki Ministerstwo Sportu i Turystyki uhonorowało odznakami honorowymi *Za zasługi dla turystyki* Burmistrza Nowego Tomysła Henryka Helwina i pełnomocnika zarządu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Plecionkarzy i Wikliniarzy Andrzeja Pawlaka. Podczas targów turystycznych Tour Salon w Poznaniu 24 października odznaki obu panom wręczyli: Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Spor-

tu i Turystyki Katarzyna Sobierajska oraz Prezes Wielkopolskiej Izby Turystycznej Włodzimierz Kolat. Jak podkreślono w uzasadnieniach do przyznanych odznaczeń, Henryk Helwing – piątą kadencję Burmistrz Nowego Tomyśla jest jednym z niewielu włodarzy, którzy nie tylko rozumieją potrzebę wspierania inicjatyw mających na celu promocję regionu, ale też czynnie biorą w nich udział. W działalności Andrzeja Pawlaka – komisarza Festiwalu Wikliny i Plecionkarstwa w Nowym Tomyślu – doceniono zaangażowanie w inicjowanie największych przedsięwzięć związanych z plecionkarstwem i wikliną, takich jak budowa największego kosza wiklinowego na świecie oraz organizacja Światowego Festiwalu Wikliny i Plecionkarstwa.

Spotkanie z Tsatsikim

Ponad stu uczniów z klas czwartych i piątych nowotomyskich szkół podstawowych odwiedzających Oddział dla Dzieci nowotomyskiej biblioteki miało – 24 października – okazję poznać nieprzeciętnego chłopca o imieniu Tsatsiki. *Tsatsiki i Mamuska* oraz *Tsatsiki i Tata Poławiacz Ośmiornic* to tytuły książek autorstwa wielokrotnie nagradzanej szwedzkiej pisarki – Moni Nilsson, na temat których z dziećmi rozmawiała Agnieszka Cienciała, reprezentująca poznańskie Wydawnictwo ZAKAMARKI. Książki o Tsatsikim poruszają tematykę dorastania, szkolnych problemów, autorytetów, pierwszych miłości, relacji w rodzinie, odnajdywania w sobie siły, wyznaczania granic, opowiadania się za słuszną sprawą, działania wbrew lękowi. Dodatkowo okraszone sporą dawką humoru stanowią doskonałą propozycję dla dorastających czytelników. Tytułowy bohater książek – chłopiec będący rówieśnikiem uczestników spotkania, przeżywający podobne perypetie i problemy, mający głowę pełną pomysłów wzbudził dużą sympatię i zaintereso-



Agnieszka Cienciała zaproponowała dzieciom interesujące spotkanie z Tsatsikim

sowanie. Uczniowie chętnie dzielili się swoim zdaniem na tematy poruszane w prezentowanych książkach i głośno zastanawiali się, jak główny bohater powinien postąpić w poszczególnych sytuacjach. Spotkanie z Tsatsikim miało na celu nie tylko zachęcenie uczniów do czytania i literackich poszukiwań, ale także pokazanie im, że nie są osamotnieni w swoim dorastaniu, problemach z rówieśnikami i z dorosłymi, że z każdej sytuacji jest wyjście, a książki mogą pomóc w znajdowaniu takich rozwiązań.

Święto Piezonej Pyry

Święto *Piezonej Pyry*, doroczna jesienna impreza Klubu Osiedlowego Spółdzielni Mieszkaniowej, odbyła się 26 października. Jej motywem przewodnim było „smakowanie jesieni”. Dzieci uczestniczące w spotkaniu mogły zobaczyć, dotknąć i spróbować darów tej kolorowej pory roku, takich jak: ziemniaki, dynie, ogórki, jabłka, gruszki, śliwki i inne. Dzieci „smakowały” też przygotowane z nich potrawy: szare kluski, placki ziemniaczane czy zupę dyniową. Wzięły także udział w konkursie na wykonanie na czas jarzębinowych koralików. Po części zabawowo-konkursowej wystąpili aktorzy Teatru Animacji z Krakowa w sztuce „Wilk i zając”, czynnie angażując dzieci w tę inscenizację. Na zakończenie organizatorzy zaprosili wszystkich na poczęstunek – gotowaną pyrę z gzikami i inne potrawy przygotowane przez restaurację „Kopernik”.



Dzieci kosztowały jesiennie owoce i warzywa

Nowy sztandar na jubileusz szkoły

W Szkole Podstawowej nr 2 w Nowym Tomysłu 26 października odbył się II Zjazd Absolwentów, połączony z uroczystym rozwinięciem, poświęceniem i przekazaniem no-

wego sztandaru. Uroczystość zbiegła się z 65. rocznicą powstania szkoły i 46. rocznicą nadania jej imienia Marii Skłodowskiej-Curie. Uroczystość rozpoczęła się mszą św. w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Nowym Tomysłu, którą koncelebrowali: ks. proboszcz Tomasz Sobolewski, ks. kanonik Władysław Kasprzak, ks. kanonik Paweł Szulcik i ks. Łukasz Gryś. Oficjalna część obchodów odbyła się na hali sportowej szkoły. Uczestniczyli w niej zaproszeni goście, absolwenci, pracownicy szkoły i uczniowie. Najważniejszą częścią uroczystości było rozwinięcie nowego sztandaru, poświęcenie go i przekazanie uczniom przez dyrektora szkoły Marka Polcyną. Na nowy sztandar szkoły ślubowanie złożyli przedstawiciele wszystkich klas. Dyrektor opowiedział o inicjatywie wykonania nowego sztandaru oraz o etapach jego powstawania. Podziękował też wszystkim osobom zaangażowanym w realizację tego przedsięwzięcia. Uchwałą Rady Pedagogicznej tytułem „Przyjaciela Szkoły” uhonorowano projektanta sztandaru Romana Stacheckiego. Podziękowania odebrali również sponsorzy sztandaru, a ich „imiona” umieszczone zostały na drzewcu i gwoździach sztandaru. W programie artystycznym wieńczącym uroczystość zaprezentowali się byli i obecni uczniowie. Z historią szkoły i jej osiągnięciami można było zapoznać się oglądając prezentację multimedialną oraz zwiedzając sale szkolne.



Ślubowanie na sztandar szkoły

Wystawa zdjęć Adama Polańskiego w Biesenthal

27 października w Biesenthal uroczystie otwarta została wystawa fotografii nowotomyszanina Adama Polańskiego. Nosząca tytuł *Człowiek* ekspozycja, licząca 23 fotografie i zawierająca głównie portrety, została zaprezentowana w tamtejszej galerii w Ratuszu. W wernisażu udział wzięła delegacja z Nowego Tomysła, władze Biesenthal i miesz-



Adam Polański wraz ze samorządowcami z Nowego Tomysła i Biesenthal

kańcy partnerskiej gminy. W swoich wystąpieniach przedstawiciele strony niemieckiej podkreślali szczególne znaczenie współpracy pomiędzy Nowym Tomysłem i Biesenthal. Partnerstwo to dotyczy również sfery kultury, czego potwierdzeniem jest właśnie wystawa fotografii Adama Polańskiego i wcześniejsza prezentacja prac niemieckiego artysty Lothara Gericke w nowotomyskiej bibliotece. Burmistrz Henryk Helwing w swoim wystąpieniu wskazał na wyjątkową rolę prezentowanej wystawy, która poprzez artystyczny przekaz stwarza okazję do lepszego poznania się obu narodów: polskiego i niemieckiego. Autor prac Adam Polański przybliżył uczestnikom spotkania charakter zdjęć, a także podzielił się informacjami o prowadzonej przez siebie działalności artystycznej. Spotkanie było również okazją do artystycznej wymiany artystycznej w sferze muzycznej. Zaproszeni na wystawę mogli posłuchać utworów granych na gitarze przez Andreasa Borcherta oraz nowotomyszan Tomasza Kaspra i Macieja Kaspra.

Muzyka, taniec, karnawał

W *Galerii na Piętrze* nowotomyskiej biblioteki 29 października odbyło się otwarcie wystawy niezwykle barwnych, radosnych i żywiołowych prac Erny i Eduarda Diłanian, Ormian z partnerskiego miasta Sulęcina. Na wystawę złożyły się niezwykle wysmakowane prace o dużych walorach estetycznych, opiewające piękno, szczęście i spełnienie. Stanowiły one zdecydowaną przeciwwagę do często smutnych i szarych myśli, towarzyszących nam w słotne listopadowe dni. Obrazy obojga małżonków różnią się co prawda sposobami prezentowania postaci, ale łączy je z pewnością podobne spojrzenie na życie, dynamika, radość, a w wielu przypadkach także tematyka. Na tym pełnym ciepła, na-



Prace Erny i Eduarda Dìlanian budziły zachwyt zwiedzających

strojowym wernisażu obecni byli: Michał Deptuch – burmistrz Sulęcina, Henryk Helwing – burmistrz Nowego Tomysła, Tomasz Wlekły – przewodniczący Rady Miejskiej i prezes Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego, Agnieszka Mazurczak – kierownik Referatu Rozwoju i Promocji Urzędu Miejskiego w Sulęcinie, inicjatorka wystawy oraz nowotomyscy radni, lokalni artyści i miłośnicy sztuki. Atrakcją wieczoru był występ zespołu *Niespodzianka*, który pod kierunkiem Aleksandry Walczak wykonał kilka jesiennych utworów.

Targi Pracy w Nowym Tomysłu

30 października w Nowotomyskim Ośrodku Kultury odbyły się Targi Pracy, zorganizowane w ramach projektu *OHP jako realizator usług rynku pracy* przez Wielkopolską Wojewódzką Komendę OHP oraz Młodzieżowe Centrum Kariery w Nowym Tomysłu. Przybyłych gości powitała Anna Stawińska, doradca zawodowy Młodzieżowego Centrum Kariery w Nowym Tomysłu. Głos zabrali też Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing oraz Dyrektor Centrum Edukacji i Pracy Młodzieży w Poznaniu Agnieszka Kotewicz-Wojnowska. Adresatami tegorocznych Targów Pracy były osoby uczące się i poszukujące pracy. Wśród wystawców znaleźli się: przedstawiciele Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Nowym Tomysłu oraz Wojskowej Komendy Uzupełnień w Nowym Tomysłu, którzy informowali o możliwościach zatrudnienia w obu tych służbach. Na stoiskach Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Nowym Tomysłu młodzież – za pomocą testu komputerowego – mogła określić swoje predyspozycje zawo-

dowe. Przedstawiciele Powiatowego Urzędu Pracy w Nowym Tomyślu natomiast informowali o sytuacji na lokalnym rynku pracy oraz możliwościach zatrudnienia i odbycia staży. Odwiedzający targi mogli także zatrzymać się na stoiskach największych firm z regionu: Aesculap Chifa i Phoenix Contact Wielkopolska. Na stoiskach Młodzieżowego Centrum Kariery w Nowym Tomyślu oraz Mobilnego Centrum Informacji Zawodowej z Poznania natomiast można było uzyskać materiały informacyjne dotyczące planowania kariery zawodowej, wyboru zawodu, aktywnego poszukiwania pracy. Wśród wystawców znaleźli się także przedstawiciele Punktu Informacyjnego Funduszy Europejskich w Nowym Tomyślu, Wielkopolskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości Oddział w Lesznie oraz Ośrodka Szkolenia i Wychowania w Chraplewie. Podczas targów młodzież uczestniczyła w prelekcjach *Zawody przyszłości* oraz *Przygotowanie do wejścia na rynek pracy* przygotowanych przez Karolinę Kulczak i Miłosza Bujakowskiego, doradców zawodowych z Mobilnego Centrum Informacji Zawodowej z Poznania. Pracownicy leszczyńskiego oddziału Wielkopolskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości poprowadziły zajęcia dotyczące zakładania własnej działalności gospodarczej.

Akcja w słusznej sprawie

Pod hasłem *Zapal światelko na drodze* 30 października na terenie gminy rozpoczęła się Akcja „Znicz”, której organizatorami byli: z ramienia gminy pełnomocnik burmistrza ds. uzależnień Jolanta Szade i Komenda Powiatowa Policji w Nowym Tomyślu. Organizowana co roku przez Komendę Główną Policji Akcja „Znicz” ma na celu zwiększenie bezpieczeństwa kierowców i pieszych na drodze, zwłaszcza w okresie wzmożonego ruchu, jaki przypada na dzień Wszystkich Świętych. Gmina Nowy Tomyśl włącza się w te dzia-



Działania policji wspierała młodzież z nowotomyskiego gimnazjum

łania, angażując m. in. młodzież z nowotomyskiego Gimnazjum im. Feliksa Szoldrskiego, która wraz z funkcjonariuszami policji rozdawała ulotki kierowcom i pieszym, zwracając uwagę, by zachowali większą ostrożność przy poruszaniu się po drodze, tak aby wzmożony ruch, gorsze warunki atmosferyczne i utrudniona widoczność, nie skutkowały tragicznymi zdarzeniami w ruchu drogowym.

Pani Jesień bajki niesie

Jesienny nastrój wkroczył na początku listopada do Oddziału dla Dzieci Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomysłu. Uczniowie Zespołu Szkół Licealnych i Zawodowych im. dra Kazimierza Holog, wraz z opiekunką Lidią Dudek oraz nowotomyski artysta Edward Kupiec zapewnili dzieciom szereg atrakcji wypełniających długie listopadowe popołudnia. Cykl zajęć upływających pod hasłem *Pani Jesień bajki niesie* zapoczątkowali 5 listopada licealiści. Przez prawie tydzień spotykali się z dziećmi, czytali im bajki, zachęcali do wspólnej zabawy i działań plastycznych. W ich efekcie powstały papierowe, jesiennie drzewa, barwne latawce i zawiązały się nici bezcennej, wzajemnej sympatii. Równie chętnie dzieci uczestniczyły w warsztatach przeprowadzonych 9 listopada przez Edwarda Kupca. Zaprezentował on uczestnikom zajęć bajki, do których fabułę sam stworzył, zaproponował ich zilustrowanie i każdemu podarował drewnianą figurkę zwierzątka będącego bohaterem przeczytanej opowieści.



Jesienne zajęcia w Oddziale dla Dzieci nowotomyskiej biblioteki

Gaja Kołodziej w Bukowcu

Gimnazjaliści z Zespołu Przedszkolno-Szkolno-Gimnazjalnego w Bukowcu 7 listopada spotkali się z pisarką Gają Kołodziej. Zorganizowana przez filię nowotomyskiej biblioteki publicznej wizyta 23. letniej pisarki dała im wiarę, że realizacja marzeń jest w zasię-

gu możliwości każdego. Jak stwierdziła pisarka, jeszcze kilka lat temu nie wierzyła, że na rynku wydawniczym znajdzie się kiedyś jej książka. Pierwszą zatytułowaną *Wystrzałowa licealistka* zaczęła pisać w II klasie gimnazjum. Z powodu awarii komputera utraciła jednak jej treść i kolejna wersja z nieco innym zakończeniem powstała w liceum. Ostatecznie efektem pracy młodej pisarki był ciąg dalszy przygód agentki Melanii pt. *Wystrzałowa maturzystka*. Gaja Kołodziej zdobyła I miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Literackim za opowiadanie *Moje jedyne marzenie*. Od 2012 r. należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Na pytanie gościa, kto z uczniów „pisze do szuflady”, twierdząco odpowiedziało kilkoro gimnazjalistów. Być może kogoś z nich czeka podobna kariera?

XXXV Międzynarodowy Listopad Poetycki

W ramach XXXV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego, organizowanego przez Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 8 listopada Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomyślu gościła uczestniczących w nim poetów. Po zwiedzeniu biblioteki i zapoznaniu się z jej działalnością, zostali zaproszeni na lekcje poetyckie do szkół ponadgimnazjalnych. Miłosz Kamil Manasterski i Andrzej Szmal do Zespołu Szkół nr 2 im. S. Staszica, a Jerzy Fryckowski do Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Policealnych im. Mikołaja Kopernika. Miłosz Manasterski pokazał uczniom poezję jako atrakcyjną formę sztuki, która z powodzeniem może żyć poza papierem. Można ją czytać na smartphonie, tablecie, laptopie. Udowodnił też, że może ona istnieć w przeróżnych kombinacjach z innymi sztukami. Jako wielki miłośnik Chin, zaproponował młodzieży szczyptę tamtejszej poezji. Drugi z goszczących w Staszicu poetów Andrzej Szmal mieszkający w Poznaniu i Porjus w Laponii, z wykształcenia biolog, z zamiłowania fotografik, prozaik i – tworzący od ponad 20 lat – poeta mówił o tym, co go do tworzenia



Miłosz Kamil Manasterski na poetyckim spotkaniu z młodzieżą Zespołu Szkół nr 2

inspiruje: o miękkości krajobrazu, mającego w sobie muzykę, czy też może będącego muzyką i o prawdziwych nocach bez sztucznego światła na kilometry i mile. Jerzy Frykowski, który spotkał się z młodzieżą Kopernika, na co dzień jest nauczycielem języka polskiego, a także satyrykiem, krytykiem literackim, redaktorem i dziennikarzem. Jego wiersze znajdują się w 250 antologiach i almanachach pokonkursowych, wydał 12 tomików wierszy. Inspiruje go życie, miłość, śmierć, ale chyba najbardziej kobieta i miłość. Jego wiersze zostały przetłumaczone na wiele języków.

Kultura łączy pokolenia na nowotomyskich wsiach

Nowotomyski Ośrodek Kultury, przy udziale środków z funduszy europejskich, wdrożył projekt pn. *Kultura łączy pokolenia*, polegający na organizowaniu cyklu spotkań odbywających się w Wiejskim Domu Kultury w Borui Kościelnej oraz w świetlicy wiejskiej w Sękowie. Pierwsze spotkanie z tego cyklu odbyło się 8 listopada w Wiejskim Domu Kultury w Borui Kościelnej, drugie natomiast 15 listopada w świetlicy wiejskiej w Sękowie. W każdym z nich wzięło udział około 30. osób. Spotkania podzielone zostały na 3 części: integracyjną – tańce zabawowe, edukacyjną – nauka tańca z regionu oraz wokalną – wspólne śpiewanie przyspiewek przy herbatce i własnych wypiekach pań z KGW. Podczas spotkań o zwyczajach panujących kiedyś na wsiach opowiadał Dariusz Wnuk, racząc wszystkich opowieściami i anegdotami z życia dawnej wsi. Zachęcając do wspólnego spędzania czasu dzieci, młodzież i seniorów, spotkania integrowały wszystkie pokolenia lokalnej społeczności. Były też okazją do oderwania się od codzienności i snucia wspomnień o dawnych czasach.



Integracja przez taniec w świetlicy w Sękowie

W narodowo-patriotycznym repertuarze

Z inicjatywy Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego 8 listopada odbyło się kolejne, ósme już spotkanie zespołów reprezentujących szkoły z terenu gminy, zorganizowane w ramach Przeglądu Dawnej Piosenki Żołnierskiej i Niepodległościowej *Idzie żołnierz borem, lasem....* W Przeglądzie udział wzięli uczniowie: Szkoły Podstawowej nr 1 i Szkoły Podstawowej nr 2 w Nowym Tomysłu, Szkoły Podstawowej w Jastrzębsku Starym i Szkoły Podstawowej w Wytomyślu. Najliczniejszą grupę wykonawców przygotowała nowotomyska Państwowa Szkoła Muzyczna, a na zakończenie wystąpiła solistka z Zespołu Szkół nr 2 Karolina Kucz przy akompaniamencie gitarowym Rafała Putza. Koncert prowadziła Maria Tyszkowska, inicjatorka tych muzycznych spotkań, którą zaproszeni goście obdarowali bukietem róż. Wszyscy uczestnicy przeglądu piosenki tradycyjnie przeszli na pl. Niepodległości, gdzie pod pomnikiem Powstańców Wielkopolskich złożyli wiązanek kwiatów oraz zapalili znicz. (Czytaj więcej: ss. 101-105)

Gminny Ośrodek Informacji na cztery gwiazdki

8 listopada w Hotelu *Andersia* w Poznaniu odbyła się uroczystość wręczenia certyfikatów dla punktów informacji turystycznej z Wielkopolski. Uroczysta gala była zwieńczeniem procesu certyfikacji na lata 2013/2014. Procesowi temu poddanych zostało 16 punktów z całej Wielkopolski. W zależności od spełnianych kryteriów kapituła przyznawała im od jednej do czterech gwiazdek. Wśród najwyżżej ocenionych punktów informacji turystycznej z Wielkopolski znalazł się Gminny Ośrodek Informacji Turystycznej z Nowego Tomysła, który uzyskał maksymalną ocenę czterech gwiazdek. W czasie uroczystości Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing oraz Naczelnik Wydziału Rozwoju i Promocji Ewelina Szofer-Pajchrowska odebrali certyfikat z rąk Prezesa Wielkopolskiej Organizacji Turystycznej Tomasza Wiktora oraz Prezesa Oddziału Poznańskiego PTTK Jerzego Rogala. Gminny Ośrodek Informacji po raz drugi brał udział w certyfikacji punktów informacji turystycznej. W 2011 roku oceniony został na trzy gwiazdki, w tym roku awansował na cztery. Zadecydowało o tym spełnienie przez GOI szeregu kryteriów, m. in.: godziny otwarcia punktu w sezonie turystycznym przez minimum 6 dni w tygodniu, kiosk elektroniczny zewnętrzny z informacjami turystycznymi, dostępność bezpłatnych materiałów drukowanych (lokalnych i ponadregionalnych) również w językach obcych, doświadczenie informatorów – kierunkowe lub kilkuletnie, znajomość języków obcych, zakres udzielanych informacji, sprzedaż pamiątek, podejmowanie dodatkowych inicjatyw na rzecz rozwoju lokalnej turystyki.

94. rocznica odzyskania niepodległości

11 listopada w całym kraju uroczystości obchodzono 94. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. W Nowym Tomysłu obchody rozpoczęto od mszy św. w intencji Ojczyzny, którą odprawiono w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Po mszy św. poczty sztandarowe, kombatancki, władze samorządowe, harcerze i mieszkańcy przeszli na plac Niepodległości, gdzie odbyła się uroczystość patriotyczna. Licznie przybyłe delegacje i zgromadzeni na placu mieszkańcy wysłuchali wystąpienia Burmistrza Nowego Tomysła Henryka Helwinga, który przypomniał trudną drogę do odzyskania przez

Polskę niepodległości. Po przemówieniu oddano hołd wszystkim, którzy walczyli o wolność Ojczyzny. Delegacje kombatanatów, władz samorządowych powiatu i gminy, przedstawiciele partii politycznych i wielu instytucji i stowarzyszeń złożyli na cokole pomnika Powstańców Wielkopolskich wieńce i wiązkanki kwiatów. Wartę honorową przy pomniku zaciągnęli harcerze oraz członkowie Towarzystwa Działań Historycznych im. Feliksa Pięty, którzy wystąpili w historycznych mundurach z okresu walk o odzyskanie niepodległości.



W uroczystości wzięły udział poczty sztandarowe nowotomyskich szkół, organizacji i instytucji

Strzelaniem uczczono niepodległość

Na strzelnicy małokalibrowej 11 listopada odbyły się Międzyzakładowe Zawody Strzeleckie z broni małokalibrowej o Puchar Burmistrza Nowego Tomysła, których celem było uczczenie Narodowego Święta Niepodległości. Organizatorem zawodów była Liga Obrony Kraju, Rejonowa Organizacja im. Mieczysława Stefańczyka w Nowym Tomysłu i Klub Strzelecki LOK CHIFA, przy finansowym wsparciu Gminy Nowy Tomysł. Zawody otworzył Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing. Program zawodów przewidywał strzelanie z karabinka KBKS z pozycji leżąc – 13 strzałów na odległość 50 m do tarczy TS – I. W zawodach sklasyfikowano 17 zespołów. W strzelaniu udział wzięło 94 strzelców, w tej liczbie również 6 pań i 19 juniorów. W klasyfikacji zespołowej: I miejsce i Puchar Burmistrza Nowego Tomysła zdobył Środowiskowy Klub Strzelecki LOK Nowy Tomysł, przed Klubem Strzeleckim CHIFA i Nadleśnictwem Bolewice. W klasyfikacji indywidualnej kobiet: I miejsce zajęła Monika Perz, przed Karoliną Kościańską-Daniec i Arletą Redlich. W klasyfikacji indywidualnej mężczyzn: I miejsce zajął Łukasz Chwałkowski, przed Sławomirem Szoferem i Dariuszem Pyrskim. W klasyfikacji

indywidualnej junierek i juniorów: I miejsce zajął Michał Gracoń, przed Piotrem Walczakiem i Dominikiem Jaworowiczem. Puchary, dyplomy i upominki rzeczowe wręczyli Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing i kierownik rejonu LOK Henryk Sabaturski. W czasie trwania zawodów delegacja LOK złożyła wiązanek kwiatów pod pomnikiem Powstańców Wielkopolskich.

Listy w Kokonie z Piotrem Stróżyńskim

Człowiek odważny, poruszający nie tylko istotne tematy, ale również ludzkie serca i sumienia. Człowiek, który ostatecznie daje nadzieję. Bezkompromisowy, szczery, dośladny, pełen wrażliwości, uczący zrozumienia, a nie potępienia. Piotr Stróżyński – były muzyk, dziennikarz i pisarz, autor m. in. alkoholowej trylogii (*Chaos i świńska skóra*, *Nienawidzę was!* i ostatniej – *Kokon wytrzeźwień*), 13 listopada był gościem nowotomyskiej biblioteki. Przez czytelników z całej Polski dał się poznać jako człowiek, który z łatwością przenosi swą szczerość i autentyczność na karty powieści. Chyba dlatego też trudno temu, kto się w nie wczyta oderwać się od lektury: *Z pana Piotra emanuje taka jakaś siła, albo inna pozytywna energia, która nakłoniła mnie do kupna jego książki. Do lektury zasiadłem jeszcze tego samego wieczoru i nie wiem, kiedy zastał mnie rano. Literatura absolutnie wciągająca.* — powiedział jeden z uczestników spotkania. W swych książkach ukazuje ludzkie piekło zrodzone z alkoholowego amoku. Promując swą najnowszą powieść ukazał istotę choroby, odpowiadając na anonimowe listy zewsząd. Były w nich pytania dotyczące życia, drogi zawodowej autora, ale nade wszystko pytania dotyczące zawirowań



Autor alkoholowej trylogii Piotr Stróżyński i prowadząca spotkanie w nowotomyskiej bibliotece Izabela Putz

bohaterów uwikłanych w problem alkoholowego uzależnienia, relacji ze światem i najbliższymi. Symbolicznego klimatu temu spotkaniu nadała aranżacja bibliotecznej przestrzeni wykonana przez 19. Drużynę Harcerską BUKI im. A. Kamińskiego z hufca ZHP Nowy Tomysł z drużynowym Krystianem Dybkiem. Następnego dnia Piotr Stróżyński był gościem Gminnej Biblioteki w Kuślinie i Publicznej Biblioteki Miasta i Gminy we Lwówku. Pisarz, który zawitał do nowotomyskiej biblioteki w ramach cyklu: *Twórca i jego dzieło* zainspirował uczestników spotkań do przemyśleń, a także, a może przede wszystkim, do sięgnięcia po lekturę.

Ballady Leonarda Cohena... i nie tylko

Listopadowy koncert z cyklu *Czwartkowych wieczorów literacko-muzycznych*, który odbył się w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomysłu 15 listopada poświęcony był balladom Leonarda Cohena – kanadyjskiego poety, pisarza, a przede wszystkim charyzmatycznego barda o bardzo ciepłym głosie. Nadzwyczajną popularność zyskał on w Polsce i w latach osiemdziesiątych był bardziej znany niż w rodzinnej Kanadzie. Było to zasługą popularyzatorskiej działalności Macieja Zembatego i jego wspólnych z Maciejem Karpińskim tłumaczeń tekstów piosenek i wykonań polskich coverów. Do dziś nastrojowe ballady Cohena są chętnie wykonywane przez polskich artystów. W bibliotece zostały zaprezentowane przez autora, kompozytora, wokalistę i gitarzystę z Warszawy – Kubę Michalskiego, który w duecie z Justyną Bacz wygrał Festiwal Pieśni Leonarda Cohena w Krakowie, a z solowymi recitalami występował niemal w całej Polsce. Podczas koncertu wykonał m. in. tak znane utwory jak: *Suzanne*, *Dance*



Kuba Michalski oczarował publiczność pięknymi melodiami i urodą słowa

Me to the End Of Love, First We Take Manhattan i Hallelujah. W roku 2011 Kuba Michalski wydał płytę *Podróż*, na której zamieścił własne kompozycje do wierszy wielkich poetów m. in. Leśmiana, Asnyka, Mickiewicza i Baudelaire'a. Dlatego też nowotomyska publiczność miała przyjemność usłyszeć również m.in. *Zmierzch* Bolesława Leśmiana, *Alpuharę* Adama Mickiewicza i *Prośbę* Adama Asnyka. Niespodzianką było również wykonanie autorskich kompozycji gościa. Jego *Karczma „Czarny dym”* zaangażowała publiczność, która chętnie wspomogła wykonawcę. Kuba Michalski oczarował publiczność nie tylko perfekcyjnym przygotowaniem, nienaganną dykcją, ale również piękną polszczyzną, którą dało się słyszeć w momentach zapowiedzi kolejnych utworów.

Zdjęcia inspirowane jesienią

Klub Osiedlowy Spółdzielni Mieszkaniowej był organizatorem konkursu fotograficznego zatytułowanego *Jesienne impresje*. Na konkurs wpłynęło ponad 50 fotografii. Jury w składzie: Adam Polański, Hanna Fertig, Mirosław Kozłowski, Elżbieta Kaffler i Tomasz Tomaszewicz spośród wielu interesujących prac musiało wybrać te najlepsze. I miejsce przyznano Monice Nowak, II – Wojciechowi Teleszyńskiemu, a III – Marlenie Mierzyńskiej. Przyznano też dwa wyróżnienia: Mateuszowi Maluśkiemu i Urszuli Teleszyńskiej. Laureaci konkursu otrzymali nagrody. Wszystkie konkursowe prace można było oglądać na wystawie pokonkursowej otwartej 16 listopada w klubowej sali. Wernisaż urozmaiciła część muzyczno-poetycka. Przed publicznością zaprezentowało się trio wokalne *Divine*, działające w Klubie Osiedlowym oraz w swoim scenicznym debiucie literackim Dorota Nowak, której kilkanaście wierszy recytowały uczennice nowotomyskiego LO.

„Budowlani” na Mistrzostwach Polski Juniorów

W śląskich Szopienicach od 16 do 18 listopada odbywały się Mistrzostwa Polski Juniorów i Juniorów do lat 17 w podnoszeniu ciężarów. Nie zabrakło tam zawodników „Budowlanych” Nowy Tomysł. Już pierwszego dnia 15. letnia Paulina Kudłaszyk w swoim debiutanckim występie zaliczyła wszystkie sześć podejść. Pobiła swój rekord życiowy w rwaniu, co dało jej brązowy medal. Dobry start odnotował także jej o dwa lata młodszy brat Piotr, który był najmłodszym zawodnikiem w kategorii do 50 kg. W kategorii do 69 kg wystartowała Marta Wesoła, która w trzecim podejściu rwania zaliczyła 66 kg, ustanawiając nowy rekord życiowy. Nie gorzej poszło w podrzucie. Marta wyrównała swój rekord życiowy, pokonując ciężar 80 kg. Niestety w ostatnim podejściu, nie powiódł się atak na 82 kg i tytuł wicemistrzyni Polski. Jednak brązowy medal Mistrzostw Polski Juniorów do lat 17 to dla 15. letniej zawodniczki duży sukces. W najcięższej kategorii (+94 kg) wystartował Radosław Jarnut, który w swojej kategorii zajął V miejsce.

Cała czwórka „Budowlanych”, która wystartowała w Szopienicach, to młodzi zawodnicy, którzy jeszcze nie raz, będą walczyli w tej kategorii wiekowej. Ich dobra postawa została zauważona przez trenera kadry narodowej mężczyzn do lat 17. Wojciech Gesek zaprosił Radosława Jarnuta i najmłodszego w stawce Piotra Kudłaszyka na konsultację, które odbędą się w listopadzie w Ciechanowie.

Wytomyskie Święto Szarej Kluski i Kiszzonej Kapusty

18 listopada w świetlicy wiejskiej w Wytomyślu obchodzono *II Święto Szarej Kluski i Kiszzonej Kapusty*. Sołtys Danuta Sobieraj przywitała wszystkich przybyłych oraz zaproszonych gości i artystów z okolicy: Zespół Ludowy „Rudniczoki” z Rudnik oraz „Lwowianki” z Lwówka. Przy biesiadnym stole, na którym królowały szare kluski z pyrek, kopytka, plince, kiszona kapusta oraz korbolanka i kompot z dyni licznie zasiedli mieszkańcy Wytomyśla. Spotkanie umilały występy zaproszonych gości. Kilka piosenek zaśpiewała Martyna Rogacz z Nowego Tomyśla. Zespół „Rudniczoki” wykonał utwory ludowe i regionalne, Apolonia Karmelkowa wielkopolską gwarą wygłosiła monolog o wytomyskim strażaku. Również „Lwowianki” zaśpiewały kilka swoich utworów. Imprezę przygotował Zespół Śpiewaczy „Wytomyślanie” przy wsparciu Koła Gospodyń Wiejskich.

Nowotomyska biblioteka na czele rankingowej listy

W zorganizowanym po raz drugi przez Instytut Książki i redakcję *Rzeczpospolitej* rankingu polskich bibliotek nowotomyska księżnica znalazła się na czele listy rankingowej. Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomyślu zdobyła zaszczytny tytuł najlepszej biblioteki w województwie wielkopolskim, III miejsce w kategorii gmin miejsko-wiejskich i V miejsce w rankingu ogólnopolskim, obejmującym wszystkie kategorie bibliotek. Ranking bibliotek to inicjatywa mająca na celu pokazanie przykładów najlepszych bibliotecznych praktyk i miejsc, w których – dzięki współpracy lokalnych władz i zapaleńców – udaje się przekształcać biblioteki w miejsca spotkań nie tylko z ludźmi, ale także z wiedzą i kulturą. W tym roku w rankingu wzięło udział jeszcze więcej bibliotek z całej



Dyrektor nowotomyskiej księżnicy Lucyna Kończal-Gnap i Zastępca Burmistrza Nowego Tomyśla – Wojciech Ruta podczas gali wręczenia nagród.

Polski, bo prawie 700. Ocenie poddano m. in. powierzchnie biblioteki i filii w przeliczeniu na 1000 mieszkańców, średnie zatrudnienie w placówkach, księgozbiór przypadający na 1000 mieszkańców, wielkość księgozbioru nabytego po 2001 roku i ilość nowych książek zakupionych w 2011 roku. Punkty można było uzyskać także za procent dotacji podmiotowej dla biblioteki w budżecie gminy, za dostępne dla czytelników tytuły prasowe (dzienniki, tygodniki, prasa dla dzieci itp.), posiadanie strony internetowej, dostępność Internetu dla czytelników, działające przy bibliotece kółka czytelnicze, artystyczne, literackie i biblioteczny wolontariat. Dodatkowo biblioteki otrzymywały punkty za udogodnienia dla osób niepełnosprawnych i książki dla osób słabowidzących i niewidomych. W rankingu docenieni zostali ci, dla których dobrze działająca biblioteka gminna jest najlepszym świadectwem dbałości samorządu o zapewnienie łatwego i bezpłatnego dostępu do kultury, wiedzy i nowych mediów. Przyjęta metoda oceny bibliotek premiowała więc działania na rzecz jakości i komfortu obsługi czytelników, poziom czytelnictwa, liczbę kupowanych nowości i wydatki samorządu na utrzymanie placówki. Specjalne wyróżnienia i dyplomy odebrali 19 listopada w Warszawie przedstawiciele samorządów i bibliotek z pierwszej dziesiątki zestawienia ogólnego oraz liderzy każdego z województw. Na gali wręczenia nagród i wyróżnień obecni byli: dyrektor nowotomyskiej księżnicy – Lucyna Kończal-Gnap oraz Zastępca Burmistrza Nowego Tomysła – Wojciech Ruta.

Magia świąt na stole

Już po raz 21. pracownia plastyczna Nowotomyskiego Ośrodka Kultury przygotowała wystawę *Magia świąt Bożego Narodzenia* z cyklu *Zaproszenie do stołu*. Plastyczki Maria



Jedna z aranżacji bożonarodzeniowych stołów

Gawron i Elwira Wolna przygotowały aranżacje ośmiu bożonarodzeniowych stołów, które mogły stanowić inspirację dla wszystkich, którzy wystawę odwiedzili. Świąteczny wystrój stołów w tym roku przygotowany został w kolorach bieli, srebra, fioletu, wrzosu oraz kolorach ziemi. Na stołach znaleźć można było nieodłącznie kojarzące się ze świętami świece, owoce, pierniki, świerk, mech, gałązki wierzby, wstążki, a także klasyczne bombki i korale. Wszystko odpowiednio dobrane i zestawione ze sobą dało niezwykle piękny efekt. Otwarcu wystawy 19 listopada towarzyszył koncert zespołu *Niespodzianka*, prowadzonego przez Aleksandrę Walczak. W gronie licznie przybyłych gości znalazła się też grupa przyjaciół NOK-u z Klubu Kobiet Aktywnych, działającego przy Gminnym Ośrodku Kultury w Rokietnicy. Wystawę można było zwiedzać do 7 grudnia.

Otwarcie Aesculap Akademii

21 listopada odbyła się uroczystość otwarcia Centrum Konferencyjno-Szkoleniowego Aesculap Akademia w Nowym Tomyszu. W uroczystości, która odbyła się w ramach XI Forum Szpitali Klinicznych, wzięło udział około 100 gości, w tym m. in. prezes Aesculap AG prof. Hanns Peter Knaebel, dyrektor Aesculap Academy w Tuttlingen Felicitas Janssen, dyrektor Wielkopolskiego Ośrodka Wojewódzkiego Narodowego Funduszu Zdrowia Karol Chojnacki, rektor Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu Jacek Wysocki, licznie przybyli dyrektorzy szpitali klinicznych z całej Polski oraz przedstawiciele władz samorządowych. W programie uroczystości znalazło się m. in.: zwiedzanie firmy Aesculap Chifa, przemowa prof. Knaebel, prezentacja ogólnej idei AA przez Felicitas Janssen, panel dyskusyjny *Bezpieczny personel drogą do bezpieczeństwa pacjenta i szpitala* prowadzony przez dra Rafała Staszewskiego oraz krótka wycieczka po nowym budynku Aesculap Akademii. Goście mieli okazję zobaczyć salę endoskopową z czterema stanowiskami, salkę warsztatową Hospital Care, w której można szkolić się w kierunku przygotowywania leków, diet oraz ćwiczyć wkłucia, salę dezynfekcyjną, w której prezento-



Budynek Aesculap Akademii

wany był „złoty standard” dezynfekowania narzędzi i ludzi oraz w pełni wyposażoną salę wystawową z produktami Aesculap i B. Braun. Zaprezentowano również sprzęt umożliwiający przekazywanie obrazu i dźwięku z sal warsztatowych do wykładowych.

Nowotomyska Aesculap Akademia jest drugą w Europie (zaraz po Tuttlingen) w pełni niezależną, posiadającą własny budynek filią AA. Jest nowoczesnym, przyjaznym budynkiem, wyposażonym pod względem technicznym na najwyższym światowym poziomie. Na powierzchni około 1500 m² znajduje się: 5 sal wykładowych (jedna – mieszcząca około 100 osób, dwie – mieszczące po około 35 osób, dwie – mieszczące po około 12 osób), sala wystawowa, salki warsztatowe – laboratoria weterynaryjne. Wszystkie pomieszczenia są połączone systemem audiowizualnym. Menadżerem polskiej Aesculap Akademii jest Katarzyna Jakubowska.

Przypadki i inspiracje Łukasza Mleczaka

Niezwykłą wystawę komiksu można było oglądać w młodzieżowej *Galerii na Płocie* w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomyszu. Zaprezentowane prace stworzył Łukasz Mleczak – uczeń nowotomyskiego Gimnazjum i wielki pasjonat komiksowego świata. Wernisaż wystawy zatytułowanej *Przypadki i inspiracje* zgromadził 23 listopada w Oddziale dla Dzieci spore grono gości, z których wielu głośno wyraziło swoje uznanie dla zaprezentowanej twórczości. Młody rysownik zadbał o to, by uroczystość obfitowała nie tylko w doznania estetyczne, ale także wzbogaciła wiedzę gości na



Komiksy Łukasza Mleczaka zagościły w *Galerii na Płocie* nowotomyskiej biblioteki

temat sztuki tworzenia komiksów. Przy pomocy wcześniej przygotowanej prezentacji multimedialnej przedstawił najlepszych rysowników i scenarzystów, tytuły najbardziej popularnych komiksów, opowiedział o zmieniającym się na przestrzeni lat stylu kreski i fabuły komiksowej, zdał również relację ze swojego październikowego wyjazdu do Łodzi na 23. Międzynarodowy Festiwal Komiksu i Gier. Bohater wernisażu chętnie odpowiadał na wszelkie pytania dotyczące jego pasji, przyniósł ze sobą również kilka ulubionych komiksów, które można była obejrzeć. Od przyjaciół, rodziny i znajomych odebrał szereg gratulacji i słów zachęty do dalszego twórczego działania. Zwiedzanie wystawy urozmaiciły dźwięki fletu, na którym zagrała Anna Tabaczyńska, a rozmowy umilił słodki poczęstunek.

Wizyta sekretarza stanu w gimnazjum

27 listopada w nowotomyskim gimnazjum z roboczą wizytą gościł sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej Tadeusz Sławecki. Ministra interesowała problematyka edukacji włączającej, realizowanej w gimnazjum wobec uczniów o specjalnych potrzebach edukacyjnych, rozwiązania organizacyjne i efekty podejmowanych działań na rzecz wspierania uczniów oraz udzielania pomocy psychologiczno-pedagogicznej stosownie do ich potrzeb rozwojowych i edukacyjnych. Podczas spotkania w nowotomyskim gimnazjum podjęta została też tematyka „uczenia na odległość” i doświadczenia szkoły związane z e-learningiem. Minister zaproponował szkole udział w prowadzeniu pilotażu we wdrażaniu nowych rozwiązań proponowanych przez MEN oraz stałą współpracę przy realizacji tego przedsięwzięcia. Minister Tadeusz Sławecki spotkał się także z gimnazjalistami, obserwował lekcję matematyki prowadzoną przez Marzenę Lemańską w klasie Ie oraz lekcję języka angielskiego w klasie III f, którą prowadziła Katarzyna Rekiel. Odwiedził Gimnazjalne Centrum Informacji i Salę Patrona Szkoły. Był pod wrażeniem wykorzystania mobilnych technologii w procesie edukacji realizowanym w gimnazjum.

Inauguracja Nowotomyskiego Piętra Wyrazów Literackich

Na inauguracyjnym wieczorze z nowego cyklu: *Nowotomyskie Piętro Wyrazów Literackich* 27 listopada w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomysku spotkali się „właściciele myśli własnych”. Przewodnią myślą nowego cyklu spotkań są słowa: *To... myśl szuka słowa, a ich przedmiotem jest poezja, a z czasem może szerzej: literatura, którą jedni z nas tworzą, po to, by inni mogli ją chłonąć. Jedni są drugim bardzo potrzebni...* Ty mi słowami powitała gości pomysłodawczyni i inicjatorka spotkań, dyrektor nowotomyskiej księżnicy – Lucyna Kończal-Gnap. Wybór listopadowej pory na inaugurację tego typu spotkań nie był przypadkowy. Aura za oknem sprzyja refleksji, wraz ze spadkiem temperatury za oknem wzrasta zainteresowanie lekturą, a poezja doskonale komponuje się z jesienią. W zgodzie z zamysłem organizatorów *Nowotomyskie Piętro Wyrazów Literackich* będzie miało formułę otwartą, będzie okazją do spotkań osób tworzących ze sobą, ale od czasu do czasu także spotkań z publicznością. Poeci, którzy wzięli udział z pierwszy spotkaniu z publicznością, zostali zaproszeni na symboliczną „ławeczkę poetów”. Swoje utwory zaprezentowali na niej zaprzyjaźnieni z biblioteką autorzy: Zdzisław



„Właściciele myśli własnych” podczas inauguracyjnego spotkania
na Nowotomyskim Piętrze Wyrazów Literackich.

wa Jaskulska-Kaczmarek, Katarzyna Mrozik-Stefańska, Dorota Nowak, Robert Jędrzejczak, Krzysztof Karski, Lech Tuchocki i Marian Ziomkowski. Gospodarzami wieczoru byli: dyrektor Lucyna Kończal-Gnap oraz autor tekstów i kompozycji, wokalista zespołu *Karawana Eskimosów*, na co dzień nauczyciel biologii i chemii – Rafał Putz, który wystąpił tego wieczoru w podwójnej roli, oplatając poetyckie prezentacje muzycznym przekazem. Licznie zgromadzone w nowotomyskiej bibliotece grono słuchaczy przez ponad dwie godziny raczyło się poetyckim – mówionym i śpiewanym słowem.

W Klubie Małego Odkrywcy

Podczas andrzejkowego spotkania w Klubie Małego Odkrywcy, jakie odbyło się 28 listopada w Oddziale dla Dzieci nowotomyskiej biblioteki, przedszkolaki z „Plastusiowego Osiedla” miały okazję odbyć nietypową podróż w czasie. Wszystko za sprawą zaproszonego do biblioteki gościa – Hanki Billert z Muzeum na Gościńcu, która potrafi z pasją zaprezentować dawną kulturę wsi. Dzięki niej interesujące tło bibliotecznych zajęć stanowiły przedmioty, które dawno już wyszły z użycia. Dzieci mogły zobaczyć m. in. zabawki, książki i gry, będące o wiele starsze od nich samych i dowiedziały się, do czego niegdyś służyły poszczególne, nieużywane dziś przedmioty. Po krótkiej rozmowie na temat andrzejkowych zwyczajów, przystąpiły do pracy wymagającej manualnych sprawności. Z przygotowanej wcześniej masy solnej dzieci stworzyły rozmaite figurki zdobione kolo-



Spacer ulicami miasta był zwieńczeniem magicznego święta lampionów

rowymi guzikami i koralikami. Efekty swojej pracy zabrały ze sobą, zyskując tym samym nietypowy i trochę już zapomniany, ale niewątpliwie wyjątkowy, gdyż wykonany własnoręcznie, rodzaj zabawki. Na spotkanie z Hanką Billert powróciły 6 i 7 grudnia, by wziąć udział w nastrojowym święcie lampionów. W trakcie popołudniowych spotkań miały okazję wysłuchać pięknych historii opowiedzianych przez Hankę Billert, stworzyć barwne lampiony, porozmawiać o adwentowych zwyczajach i udać się na niecodzienny spacer. W wieczornej, śnieżnej scenerii ruszyły w korowodzie ulicami miasta. Blask lampionów, dźwięk dzwonka i szerokie uśmiechy na twarzach uczestników świątecznego korowodu skutecznie przyciągały wzrok przechodniów.

Wręczenie kluczy do mieszkań komunalnych

Gmina Nowy Tomyśl zakończyła realizację ważnego społecznie przedsięwzięcia. 29 listopada oddano do użytku 16. rodzinny komunalny budynek mieszkalny w Glininie. W ramach inwestycji realizowanej od 24 września 2010 r. do 28 września 2012 r. zbudowano budynek mieszkalny o łącznej pow. użytkowej 1.333 m², w skład którego wchodzi 16 nowych mieszkań o powierzchni od 35,82 m² do 62,42 m²: w tym 9 – jednopokojowych, 3 – dwupokojowe, 4 – trzypokojowe. Koszt całej inwestycji wyniósł 1.791.274,97 zł. Odbiór robót nastąpił 18 października. Wykonawcą budynku była firma Usługi Ogólnobudowlane Piotr Gnoiński z Łowynia.

Informację o zrealizowanej inwestycji przedstawił zastępca naczelnika Wydziału Ko-



Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing wręcza klucze lokatorom

munalno-Inwestycyjnego, Rolnictwa i Ochrony Środowiska Damian Pyliński. Burmistrz Henryk Helwing przekazał prezesowi Przedsiębiorstwa Usługowego Zakład Gospodarki Mieszkaniowej Sp. z o. o. Adamowi Janeltowi dokument potwierdzający przyjęcie środka trwałego w zarząd. Przecięcia wstęgi dokonali Burmistrz Henryk Helwing, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Krystyna Wilkoszarska i Leszek Drążkowiak oraz prezes PU ZGM Adam Janelt. Obiekt poświęcił ks. Tomasz Sobolewski, proboszcz parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Nowym Tomyslu. Najważniejszym punktem uroczystości było wręczenie kluczy lokatorom.

Opowieści z Jedwabnego Szlaku

Podczas spotkania w Klubie Miłośników Podróży *Przez kontynenty*, działającym w nowotomyskiej bibliotece, 29 listopada Zbigniew Pawlak z Londynu opowiedział o swej wyprawie na Jedwabny Szlak. Podróżnik od 20 lat dociera do miejsc takich jak Kaukaz i Afganistan, gdzie przez lata zajmował się strategiami rozwoju oraz coachingiem. Przez ponad 10 lat mieszkał w Środkowej Azji, biorąc udział w licznych projektach edukacyjnych i humanitarnych. Zafascynowany jest ludźmi Wschodu, ich życiem oraz kulturą. Historie usłyszane od tamtejszych przyjaciół stara się w interesujący sposób przekazywać mieszkańcom zachodniego świata. Orientalny klimat buduje za pomocą zdjęć, rekwizytów i muzyki. Podczas spotkania w nowotomyskiej księżnicy zaprezentował klubowiczom region Środkowej Azji, gdzie egzotyka, przeszłość, duchowość miesają się z cierpieniem, wojną i poszukiwaniem przyszłości. Zaprosił słuchaczy w podróż przez miasta



W kularach jak zwykle toczyły się podróżnicze dyskusje

przyszłości w Kazachstanie, uzbecką tradycję, niezwykle piękną przyrodę Kirgistanu oraz świat wojny w Afganistanie i przemocy w górach Kaukazu – podróż w poszukiwaniu własnej wartości w szybko zmieniającym się świecie.

Pół wieku Delegatury Automobilklubu Wielkopolski

Uroczystość z okazji 50. lecia istnienia Delegatury Automobilklubu Wielkopolski w Nowym Tomyślu zorganizowana została 30 listopada. Licznie przybyli goście, wśród których znaleźli się przedstawiciele władz samorządowych, jednostek gminnych i powiatowych, szefostwo Automobilklubu Wielkopolski w Poznaniu, przewodniczący kół i komisji Automobilklubu Wielkopolski, członkowie Automobilklubu Wielkopolski z przynależnością do Delegatury Nowy Tomyśl oraz osoby i instytucje wspierające nowotomyską delegaturę, zebrali się w sali widowiskowej Nowotomyskiego Ośrodka Kultury. Gościem honorowym uroczystości była wnuczka prezesa Automobilklubu Wielkopolski w latach 1927-1937 Janina Tyszkiewicz – Łącka Chadea'u. Gości powitał prezes nowotomyskiej Delegatury Automobilklubu Wielkopolski Radosław Hałasz, który przedstawił jej rys historyczny. Była to okazja do przywołania postaci pierwszego prezesa delegatury AW Andrzeja Dunajskiego oraz kolejnych prezesów: Henryka Maćkowiaka i Mariana Czajki. Obecnie Delegatura zrzesza 105 członków, a związana jest głównie z trzema miastami: Nowym Tomyślem, Bukiem i Opalenicą. Z okazji jubileuszu zasłużonym członkom wręczone zostały odznaczenia Polskiego Związku Motorowego oraz Automobilklubu Wielkopolski. Złotą Odznakę Honorową Polskiego

Związku Motorowego otrzymali Witold Grzybek i Henryk Helwing, Srebrną Odznakę Honorową Polskiego Związku Motorowego – Marek Adamczewski, Leszek Cegłowski, Maria Czajka, Krystyna Dolniak, Radosław Halasz i Marek Targosz, Brązową Odznakę Honorową Polskiego Związku Motorowego – Danuta Deska, Zenon Doliwa, Felicja Gołąbek, Anna Halasz, Danuta Halasz, Wiesław Halasz i Marian Kołata. Odznakę „Za Sługi dla Automobilklubu Wielkopolski” odebrali: Krzysztof Czajka, Zenon Czajka, Zenon Doliwa, Henryk Helwing, Andrzej Juja, Bronisława Kołata, Witold Machucki i Zbigniew Rajewski, a Odznakę Honorową Automobilklubu Wielkopolski – Albert Adamczewski, Danuta Deska, Kamil Geisler, Anna Halasz, Radosław Halasz, Wiesław Halasz, Ryszard Nowaczekiewicz, Maria Parzybok, Agnieszka Rajewska-Czajka, Stanisław Samolik, Paweł Wilkoszarski i Justyna Wójcik- Domagała.

Prezes Radosław Halasz podziękował za okazywaną pomoc i wspieranie działalności nowotomyskiej Delegatury Automobilklubu Wielkopolski osobom i instytucjom, dzięki którym Delegatura może realizować swoje cele i wspierać bezpieczeństwo ruchu drogowego na terenie, na którym działa. Po części oficjalnej wystąpił zespół *Julia Vikman Band*, a zakończenie Radosław Halasz zaprosił wszystkich na jubileuszowy tort.

Podsumowanie badań nad architekturą poolęderską w Grubsku

W sali wystawowej Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyślu 3 grudnia odbyła się konferencja związana z badaniami nad architekturą poolęderską. Stanowiła ona podsumowanie warsztatów etnograficznych przeprowadzonych w lipcu tego roku na terenie Grubka. W organizację konferencji włączyli się: Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna, Urząd Miejski w Nowym Tomyślu, Starostwo Powiatowe w Nowym Tomyślu, Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu oraz Uniwersytet Zielonogórski. Nad doбором tematów prezentowanych podczas konferencji czuwał dr hab. Piotr Szwiec z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. W konferencji, oprócz liczego grona prelegentów i studentów, uczestniczyli też radni Rady Miejskiej w Nowym Tomyślu, mieszkańcy Grubka, w domostwach których prowadzone były badania, nowotomyscy regionaliści i pasjonaci historii oraz inni mieszkańcy gminy zainteresowani historią ziemi nowotomyskiej związanej z jej zagospodarowywaniem w ramach osadnictwa olęderskiego. Całodzienna konferencja podzielona została na trzy sesje. W pierwszej z nich zastępca naczelnika Wydziału Rozwoju i Promocji Marzena Kortus przypomniła realizowane przez Urząd Miejski w Nowym Tomyślu projekty związane z tematyką osadnictwa olęderskiego oraz przedstawiła dalsze plany związane z wykorzystaniem tego tematu w działaniach promujących gminę. Dr hab. Piotr Szwiec na przykładzie wsi Grubko omówił stopień zachowania elementów architektury regionalnej w krajobrazie okolic Nowego Tomyśla. Witold Przewoźny, kustosz Muzeum Etnograficznego w Poznaniu, przedstawił wykład pt. *Olędrzy — ludzie i krajobrazy. Zarys historii osadnictwa*. Uczestnicy konferencji z uwagą wysłuchali też prelekcji dra Antoniego Pelczyka – dyrektora Wielkopolskiego Parku Etnograficznego w Dziekanowicach, który opowiedział o spuściźnie nowotomyskich Olędrów, odpowiadając na postawione w tytule pytanie: *Kim byli?*

W drugiej części konferencji prof. nadzw. z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu i Politechniki w Gliwicach Jerzy Stiller przedstawił wykład zatytułowany *Stary Tomyśl i nie*

tylko — uwagi o rewitalizacji czyli przystosowaniu do nowych potrzeb. Prof. nadzw. z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu Wiesław Krzyżaniak przedstawił prelekcję pt. *Utrwalić piękno architektury olęderskiej*, natomiast prof. nadzw. Bogumił Kaczmarek z Uniwersytetu Zielonogórskiego podczas wykładu *W cieniu lipy. Zieleń w Grubsku* omówił szatę roślinną Grubka. Patrycja Mikołajczak z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu omówiła detale architektoniczne i wnętrzarskie okolic Nowego Tomysła, ze szczególnym uwzględnieniem Grubka, natomiast Natalia Rozmus z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu opowiedziała o „kolorystyce życia w tremplu.”

Ostatni z bloków tematycznych konferencji poświęcony został prezentacji wyników badań studentów z warsztatów inwentaryzacyjnych w Grubku. Poszczególne obiekty, które podlegały badaniom omówili: Katarzyna Sygent i Liliana Petryszyn – studentki Uniwersytetu Zielonogórskiego, Joanna Ratajczak i Xenia Pietrzyk – studentki Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu oraz Tadeusz Rzewuski, obecnie student Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu (w trakcie badań Uniwersytetu Zielonogórskiego).

Podczas prowadzenia badań etnograficznych i inwentaryzacyjnych w Grubku dokumentacja badawcza została sporządzona przez studentów uczelni artystycznej tradycyjną metodą pomiarów budowlanych, w postaci rysunków oraz przy użyciu nowoczesnego skanera przetwarzającego obrazy w technologii trójwymiarowej. Dr hab. Piotr Szwiec zaprezentował powstały materiał badawczy, wykonany przy użyciu skanera 3D firmy Laica. Hugon Kowalski z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu zaprezentował szerokie możliwości zastosowania skanera, m. in. w zakresie dokumentowania i odtwarzania zabytków architektury.



Konferencyjną salę zdobiły makiety ukazujące olęderskie pejzaże autorstwa dra hab. Piotra Szwieca

Poszczególne prelekcje wzbogacone zostały prezentacjami multimedialnymi, w których wykorzystano bardzo interesujące historyczne mapy i schematy, a także współczesne fotografie i grafiki, pozwalające przenieść się w klimat podnowotomyskich wsi, w ich krajobraz i architekturę. Konferencję podsumowała dyskusja dająca jej uczestnikom możliwość wymiany opinii na temat przedstawionych zagadnień, a także perspektyw ochrony krajobrazu poolęderskiego.

DKK – tym razem bez książki

Grudniowe spotkanie Dyskusyjnego Klubu Książki działającego w nowotomyskiej bibliotece było wielką niespodzianką. 4 grudnia członkinie klubu wybrały się na zimowy spacer i zziębnięte trafiły do Restauracji *Gala*. Tam powitał je wspaniały, prawdziwie świąteczny aromat wanilii, pomarańczy, anyżu i kardamonu. Właściciel Andrzej Kardach wraz z załogą powitali gości grzańcem i opowieścią o historii tego trunku i jego tajemnych składnikach. Ciepła atmosfera i miłe otoczenie sprzyjały wspomnieniom dotyczącym historii nowotomyskiego DKK, gdyż rok 2012 był rokiem jubileuszu – klub obchodził już 5. rocznicę istnienia. Spotkanie upłynęło w bardzo przyjemnej atmosferze, tym razem bez książki.

41. Śpiewnik Domowy

W atmosferze zbliżających się świąt Bożego Narodzenia 5 grudnia odbył się 41. Śpiewnik Domowy, tym razem pod hasłem *Hej, kolęda, kolęda*. Przy stołach rozstawionych w dolnym holu Nowotomyskiego Ośrodka Kultury zasiadło blisko 90. nowotomyszan, którzy przy kawie i piernikach wspólnie śpiewali kolędy. O oprawę muzyczną spotkania zadbał: Cecylia Ślusarz, Agnieszka Pieniężna, Emilia Nawrot oraz Piotr Mańka. Nad przebiegiem całego spotkania, jak zwykle czuwała Renata Śmiertelna – pomysłodawczyni i prowadząca imprezę.

Spotkanie z Mikołajem

Ośrodek Pomocy Społecznej w Nowym Tomysłu, wspólnie z Zarządem Rejonowym PCK oraz pełnomocnikiem burmistrza ds. uzależnień, 5 grudnia zorganizował imprezę integracyjną połączoną ze spotkaniem z Mikołajem. W spotkaniu udział wzięło 180 dzieci oraz ich rodzice i opiekunowie. Uczestników imprezy powitała dyrektor OPS-u Danuta Michałowicz. Oczekując na przybycie Świętego Mikołaja do wspólnej zabawy zaprosił dzieci Teatr „Promyk” z Poznania. Jedną z atrakcji był spektakl teatralny pt. *O złotym dzwoneczku Świętego Mikołaja*. Dzieci z dużym zaangażowaniem uczestniczyły w konkursach zręcznościowych oraz wokalnych. Największą radość sprawiły jednak prezenty, którymi Święty Mikołaj obdarował wszystkie dzieci, a które ufundowane zostały przez współorganizatorów oraz ze środków Unii Europejskiej. Na zakończenie spotkania dzieci wspólnie z Mikołajem pozowały do pamiątkowych zdjęć.

Koncert Dona Shire’a

5 grudnia 2012 roku mieszkańcy Nowego Tomysłu mieli wyjątkową okazję wzięcia udziału w muzycznej uczcie, jaką był koncert znakomitego amerykańskiego trębacza



W kościele ewangelicznych chrześcijan można było posłuchać znakomitego amerykańskiego trębacza

Dona Shire'a. Koncert, będący częścią jego tournée po Europie Środkowo – Wschodniej, zorganizowany został przy współudziale Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan w Nowym Tomysłu, a wstęp dla wszystkich chętnych był wolny. Ponieważ termin koncertu zbiegł się z okresem przedświątecznym, repertuar w dużej mierze obejmował znane utwory o tematyce bożonarodzeniowej. Don Shire to światowej sławy trębacz, który pojawia się często w zagranicznej telewizji i radio. Jest uznawany za jednego z najwybitniejszych amerykańskich trębaczy. Jego trasy koncertowe zaprowadziły go już do 34 krajów na różnych kontynentach. Podczas nowotomyskiego koncertu artysta podzielił się swoimi wrażeniami z podróży, m. in. z koncertu dla prymitywnych plemion żyjących w afrykańskim buszu i lasach Ameryki Południowej. Trębacz jest również aktywnym misjonarzem, a jego fundacja wspiera dzieci i młodzież w Indiach. W przerwach między kolejnymi utworami uczestnicy koncertu mogli obejrzeć prezentację ilustrującą zaangażowanie muzyka w działania na rzecz biednych mieszkańców Indii.

Nowotomyska bibliotekarka w Brukseli

Od 5 do 7 grudnia w Brukseli odbywała się Druga Doroczna Konwencja Europejskiej Platformy Przeciwdziałania Ubóstwu i Wykluczeniu Społecznemu. Wzięło w niej udział ponad czterystu uczestników z całej Europy, m. in. przedstawiciele ministerstw, organizacji pozarządowych, instytucji oraz osób zainteresowanych polityką społeczną. Wśród uczestników konwencji znalazła się również Martyna Kimstacz – pracownik Oddziału dla



Martyna Kimstacz – pracownik Oddziału dla Dzieci Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyślu na konferencji w Brukseli

Dzieci Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyślu. Na zaproszenie Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego z Warszawy reprezentowała środowisko bibliotek działających w małych miastach i z powodzeniem służących lokalnej społeczności. Konwencja organizowana przez Komisję Europejską uznawana jest za flagową inicjatywę Strategii 2020, która zakłada zmniejszenie do tego roku o 20 mln liczby osób ubogich i zagrożonych ubóstwem. W trakcie tematycznych warsztatów starano się dokonać przeglądu innowacyjnych działań w polityce społecznej. Stworzyło to okazję do zaznaczenia na forum – za pomocą multimedialnej prezentacji i żywej dyskusji – roli bibliotek, jaką odgrywają one w życiu mieszkańców, w tym również osób zagrożonych z różnych powodów wykluczeniem społecznym.

Nowotomyślanin wiceprezesem Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów

6 grudnia w Warszawie odbyło się pierwsze zebranie Zarządu Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów pod przewodnictwem nowo wybranego prezesa, dwukrotnego srebrnego medalisty igrzysk olimpijskich, Szymona Kołeckiego. Wiceprezesem do spraw szkoleniowych został nowotomyślanin – prezes LKS „Budowlani” Nowy Tomyśl Jerzy Nowak. Jest to duże wyróżnienie dla całego nowotomyskiego środowiska sportowego. Jeszcze żaden z mieszkańców naszej gminy nie pełnił tak prestiżowej funkcji w ogólnopolskich strukturach związku sportowego.



Z gratulacjami do Prezesa „Budowlanych” pospieszyli Burmistrz Henryk Helwing i radna Rady Miejskiej Barbara Jandy

Jak widać u „Budowlanych” odnoszą sukcesy nie tylko zawodnicy, ale także działacze i trenerzy. Niedawno Marcin Lampe został sekretarzem Rady Trenerów PZPC i asystentem trenera kadry narodowej do lat 20, a Wojciech Piechowiak – sędzią klasy II państwowej. Przed Polskim Związkiem Podnoszenia Ciężarów jest teraz mnóstwo pracy. Z programu wyborczego Szymona KołECKIEGO wiadomo, że chce on zdecydowanie poprawić wizerunek polskiej sztangi, zwiększyć poziom finansowania ciężarów i zmienić system szkolenia zawodników. Jego celem jest także zdobycie przez polskich sztangistów czterech medali na następnych igrzyskach w Rio de Janeiro. Szybkimi krokami zbliżają się Mistrzostwa Świata, które odbędą się w październiku 2013 na warszawskim Torwarze. Możemy być dumni, że także nowotomyszanin będzie miał wpływ na polski sport przez duże P.

Patrycja Piechowiak na Mistrzostwa Europy juniorów w Izraelu

W Mistrzostwach Europy Juniorów do lat 20 w Izraelu 6 grudnia wystartowała zawodniczka „Budowlanych” Patrycja Piechowiak, która również tym startem potwierdziła swoją wysoką formę z tegorocznych Mistrzostw Świata w Gwatemali. W tych zawodach zajęła również VII miejsce. Był to ostatni start Patrycji w tej grupie wiekowej. W następnych startach w zawodach rangi mistrzostw świata czy Europy będzie reprezentowała Polskę w grupie wiekowej do lat 23. Grupa ta jest bezpośrednim zapleczem kadry narodowej seniorów. Najbliższe lata to dla Patrycji czas wyjątkowej pracy, która ma doprowadzić do startu podczas igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro w 2016 roku.

Z jedwabiu i gliny

Z *jedwabiu i gliny* właśnie wykonane były prace Anny Hryniewicz-Szulc i Antoniego Szulca, których ekspozycja znalazła się w *Galerii na Piętrze Miejskiej* i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomyszu. Podczas otwarcia wystawy 6 grudnia, zwiedzający mogli podziwiać, ale także zakupić ceramiczne dzieła pana Antoniego – wisiory, misy o roślinnych kształtach, dzwonki, zegary, anielskie lampy, kubki czy talerze. Ceramice męża – który również maluje, towarzyszyły prace żony – wykonane w subtelnej i trudnej technice malowanego jedwabiu. Artystka pokazała dwa ze swoich cykli wykonanych w technice własnej – kolażu jedwabiu z papierem: *7 dni w ogrodzie* oraz *Rok w miasteczku — kalendarz*. Pani Anna jest także autorką obrazów olejnych przedstawiających ogrody i klimatyczne francuskie miasteczka francuskie oraz polskie łąki. Zgromadzone w uroklivych cyklach *Ogrody*, *Żywioty*, *Drzewa*, *Notatki z podróży* czy *Miasteczkowe bajeczki* niezmienne wzbudzają zachwyt osób wrażliwych na piękno sztuki i przyrody. Wymalowane wprawna ręką kamieniczki, ogrody, kwiaty, ślimaki, ptaszki i łąki – mimo że bynajmniej nie bożonarodzeniowe, wprowadziły do sali wystawowej ciepły klimat. Muzyczną niespodzianką dla gości wernisażu był występ Patryka Kawy – na klarnecie i Aleksandry Stefańskiej – na skrzypcach. Wernisaż, na który przybyli nowotomysianie oraz koledzy – artyści mieszkających w Śmiglu bohaterów wieczoru upłynął w miłej, niemal rodzinnej atmosferze.



Muzyczną niespodzianką dla gości wernisażu był występ Patryka Kawy

Dzieci stroiły świąteczne drzewka

Zgodnie z wieloletnią już tradycją doradca metodyczny nauczycieli wychowania przedszkolnego Dorota Piechota oraz Nowotomyski Ośrodek Kultury zaprosili placów-

ki wychowania przedszkolnego, oddziały przedszkolne przy szkołach podstawowych i żłobek do udziału w wystawie pt. *Najpiękniej przystrojona choinka*. Podarowane przez Nadleśnictwo Bolewice choinki 6 grudnia dekorowały dzieci z: Przedszkola nr 1 „Misia Uszatka”, Przedszkola nr 2 „Plastusiowe Osiedle”, Przedszkola nr 3 „Bajkowe Zaciśze”, Przedszkola nr 4 „Bolka i Lolka” i oddziału tej placówki w Borui Kościelnej, Przedszkola nr 5 „Słoneczko”, z oddziałów przedszkolnych Szkoły Podstawowej nr 1 w Nowym Tomysłu i Szkoły Podstawowej w Borui Kościelnej, Żłobka „Złoty Promyk” w Nowym Tomysłu, przedszkoli niepublicznych „Bajkowy Zakątek” i „Tęczowy Ogród” oraz Zespołu Przedszkolno-Szkolno-Gimnazjalnego w Bukowcu. Dzieci wspólnie stworzyły niepowtarzalną wystawę drzewek bożonarodzeniowych, do dekoracji których wykorzystały ozdoby wykonane z wielu ciekawych i niestandardowych materiałów, dzięki czemu wszystkie bożonarodzeniowe drzewka były niepowtarzalne.

Kulturowy zawrót głowy – podsumowanie projektu

Celem zainicjowanego w marcu 2012 r. i zrealizowanego przez Miejską i Powiatową Bibliotekę Publiczną w Nowym Tomysłu, projektu skierowanego do uczniów nowotomyskich szkół ponadgimnazjalnych było przybliżenie młodym ludziom różnych obszarów otaczającej ich kultury młodzieżowej: od tańca, poprzez muzykę i elektronikę, twórczość pisarzy zbuntowanych, sztukę tatuażu, street art, aż po teatr. Zamierzeniem organizatorów tych cyklicznych, niekonwencjonalnych spotkań było przygotowanie młodzieży do aktywnego uczestnictwa w życiu kulturalnym, rozwijanie wrażliwości estetycznej, kształtowanie umiejętności refleksyjnej i krytycznej oceny zjawisk w kulturze



Spektakl dwojga aktorów *Sceny z bliska* zakończył biblioteczny projekt kulturalny

i sztuce, wzbudzanie poczucia tożsamości z kulturą własnego regionu i kraju, integracja młodzieży ze środowiskiem artystycznym oraz jej aktywizacja w zakresie artystycznego wyrażania siebie.

Projekt *Kulturowy zawrót głowy* podsumowany został 7 grudnia spektaklem z udziałem dwojga aktorów poznańskiej *Sceny z bliska* – Izabelli Tarasiuk i Janusza Andrzejewskiego, którzy wystąpili w sztuce *Audiencja III czyli raj Eskimosów*. Gościem pierwszego spotkania był Łukasz Ludwiczak ze szkoły tańca „Dance Center” z Poznania, wielokrotny mistrz Polski w hip-hopie, reprezentant Polski w mistrzostwach świata i Europy. W kwietniu wspólnie odkrywającym obszarem kultury była *Muzyka i elektronika*, o której tajnikach opowiadali: Krzysztof Kowalewski, Janek Adamczewski i Bartek Kucz. W maju młodzież spotkała się z tzw. pisarzami zbuntowanymi. W spotkaniu pod hasłem *Poezja, proza i punk rock* udział wzięli: Sara Antczak, Dariusz Papież i Piotr Stróżyński oraz Grzegorz Kmita Patyczak. W sztukę tworzenia nie słowem, lecz obrazem wprowadził młodzież w czerwcu malarz, witrażysta i tatuażysta Sławomir Dominczak. Po wakacyjnej przerwie młodzież odbyła spotkanie ze *street artem*, w którego tajniki wprowadził Michał Novy Matuszyński z Poznania. Młodzież chętnie brała udział w bibliotecznych kulturowych spotkaniach, doceniając szczególnie ich różnorodność, interaktywność i niebanalność.

Na plebanię po opłatek

Świąteczny koncert z cyklu: *Karol Band i Przyjaciele* odbył się 7 grudnia. Tym razem do wspólnego śpiewania kolęd i świątecznych piosenek pomysłodawca imprezy – Karol Ro-



Na scenie Arkadiusz Łapiński z córką Oliwią

gacz zaprosił około 30. wykonawców. Na scenie NOK-u wystąpili: Anita Czajka-Pawlak, Zofia Pawlak, Jeremiasz Pawlak, Agnieszka Deptuła, Edyta Kaczmarek-Rogacz, Martyna Kaczmarek-Rogacz, Irena Kasperska, Katarzyna Kasperska, Przemysław Koryciński, Edyta Kośmider-Domańska, Anastazja Kowalska, Emilia Kozłowska, Szymon Kozłowski, Mirosław Kozłowski, Barbara Krasnowska, Ewa Krasnowska, Sandra Kret, Radosław Kret, Krystian Kwiatkowski, Oliwia Łapińska, Arkadiusz Łapiński, Aldona Ogór, Izabela Ogór, Olga Semkło, Oliwia Tomaszewicz i Tomasz Tomaszewicz. Scena należała także do muzyków nowotomyskiego big bandu „Karol Band”, którzy doskonałą grą akompaniowali wokalistom. Koncert z humorem i swadą poprowadzili Renata Marciniak, Bogusław Nawrot i Jarosław Musiał, którzy wcielili się w role zakonnicy, księdza i kościelnego. Formuła koncertu oparta była bowiem na przesłuchaniach kandydatów do chóru kościelnego. Całości dopełniły zabawne scenki rodzajowe oraz historie i anegdoty opowiedane przez prowadzących. Koncert zgromadził w dwóch odsłonach prawie 600 osób.

O technologiach mobilnych w szkole

Gimnazjum im. Feliksa Szoldrskiego zorganizowało 7 grudnia konferencję pt. *Technologie mobilne w szkole — edukacja z iPadem*. Była to już druga konferencja poświęcona wykorzystaniu mobilnych technologii w pracy szkoły. Wzięło w niej udział ponad 150. uczestników i zaproszonych gości, których powitali dyrektor Gimnazjum Andrzej Wałęsa i wicedyrektor Dariusz Stachecki. Konferencję otworzył Burmistrz Nowego Tomyśla Henryk Helwing wspólnie z Przewodniczącym Rady Miejskiej Tomaszem Wleklým. W imieniu Ministra Edukacji Narodowej głos zabrał Krzysztof Klefas, a w imieniu Wielkopolskiego Kuratora Oświaty w Poznaniu życzenia organizatorom i uczestnikom złożył Ireneusz Rajman. Celem konferencji było zapoznanie uczestników z ideą mobilności w nauczaniu oraz podzielenie się przez kadrę nowotomyskiego gimnazjum wiedzą i doświadczeniem, które zdobyli podczas półtorarocznej pracy w ramach zrealizowanego przez szkołę projektu. Plenarną część konferencji otworzyły trzy prezentacje związane z jej przewodnim tematem, a po niej odbyło się 5 sesji warsztatowych, po 7 warsztatów w każdej, prowadzonych przez trenerów programu APD (Apple Professional Development) oraz nauczycieli gimnazjum bezpośrednio zaangażowanych w projekt. Ukazano wykorzystanie mobilnych technologii na lekcjach wszystkich przedmiotów, począwszy od matematyki, biologii, poprzez muzykę, fizykę, język polski, języki obce, wychowanie fizyczne aż do wykorzystania iPada w pracy pedagogiczno-psychologicznej. Specyfika warsztatów polegała na tym, że razem z nauczycielami – uczestnikami konferencji pracowali uczniowie, którzy pomagali uczestnikom w obsłudze urządzeń, demonstrowali, w jaki sposób pracują na tym sprzęcie na co dzień, a nawet prowadzili niektóre zajęcia.

Powiatowy zjazd sołtysów

W Wiejskim Domu Kultury w Bukowcu 8 grudnia odbyło się doroczne spotkanie członków Związku Sołtysów RP Oddział w Nowym Tomyślu. W uroczystym spotkaniu, które miało też charakter zebrania sprawozdawczego uczestniczyli sołtysi wsi powiatu nowotomyskiego oraz zaproszeni goście: samorządowcy gminni i powiatowi oraz przedstawiciele jednostek powiatowych związanych z rolnictwem i rozwojem wsi. Zebranie

otworzył przewodniczący powiatowego oddziału Krajowego Związku Sołtysów Bernard Weymann, a poprowadził je sołtys wsi Bukowiec Leszek Drażkowiak. Doroczne integracyjne spotkania sołtysów służą przede wszystkim podsumowaniu mijającego roku pracy, wymianie doświadczeń i poglądów na tematy rozwoju wsi oraz społecznej pracy sołtysów. W związku z tym, że tegoroczne spotkanie odbyło się na terenie gminy Nowy Tomyśl, Burmistrz Henryk Helwing zaprezentował zebranym film promocyjny o gminie oraz przekazał wszystkim uczestnikom opracowaną specjalnie na tę okoliczność broszurę na temat historii i współczesności wsi Bukowiec.

Doroczne spotkania stanowią też okazję do wyróżnienia i nagrodzenia za prowadzoną działalność sołtysów z poszczególnych wsi. Z terenu gminy Nowy Tomyśl wyróżniono w tym roku trzech sołtysów: Henryka Kahla – sołtysa wsi Kozie Laski, który sprawuje tę funkcję nieprzerwanie od 38 lat, Marię Piekarczuk – sołtysa Sątópów od 1 stycznia 2008 roku oraz Romana Pawłowskiego – sołtysa Glinna z czteroletnim stażem. Wyróżnieni sołtysi za swoją pracę i społeczne zaangażowanie otrzymali listy okolicznościowe z wyrazami uznania i podziękowania oraz drobne upominki od włodarzy gmin. Spotkanie uświetnił koncert zespołu wokalnego OJEJ działającego przy Wiejskim Domu Kultury w Bukowcu.



Na zdjęciu od lewej: Roman Pawłowski, Henryk Kahl, Tomasz Wlekły, Henryk Helwing, Wojciech Ruta, Bernard Weymann

101 urodziny pani Wiktorii

Pani Wiktorja Jakubowska, mieszkanka Borui Kościelnej, świętowała 9 grudnia swoje 101 urodziny. Pani Wiktorja – najstarsza mieszkanka Borui Kościelnej – doczekała się dwójki dzieci, ośmiorga wnucząt, jedenaściorga prawnucząt oraz trojga praprawnucząt.



Jubilatka Wiktoria Jakubowska odebrała życzenia od Burmistrza Henryka Helwinga

Urodziła się w Mariankowie. Trudnym doświadczeniem życiowym był dla niej okres II wojny światowej, który spędziła na służbie u Niemców, wykonując bardzo ciężkie prace. Do Borui Kościelnej sprowadziła się po wojnie wraz z mężem i dziećmi. Rodzina kupiła tutaj dom, w którym zamieszkuje do dzisiaj. Pani Wiktoria zajmowała się dziećmi i małym gospodarstwem domowym. Była też dobrym duchem dla swoich wnucząt, którymi zajmowała się i o które dbała, gdy ich mama (a córka pani Wiktorii) pracowała zawodowo. Pani Wiktoria jest pogodną osobą, wdzięcznością i miłością obdarza swoich bliskich, którzy z ogromną troską i uczuciem o nią dbają.

Z urodzinowymi życzeniami i bukietem kwiatów do Jubilatki udał się Burmistrz Nowego Tomyśla Henryk Helwing, który tym gestem oddał szacunek dostojnej Jubilatce. W spotkaniu urodzinowym pani Wiktorii towarzyszyli córka oraz wnuczek i wnuk.

Zenon Laskowik i jego *Kabareciarnia*

9 grudnia na scenie Nowotomyskiego Ośrodka Kultury w programie pt. *Chity dla prosperity* wystąpił Zenon Laskowik wraz ze swoją *Kabareciarnią*. Duże zainteresowanie nowotomyślan kabaretowym wieczorem spowodowało, że na nowotomyskiej scenie w tym dniu wystąpił on dwukrotnie. Spektakl oparty na scenariuszu Zenona Laskowika i w jego reżyserii miał charakter społeczno-polityczno-obyczajowy. Przeplatały się w nim skecze i piosenki. U widzów przedstawienie wywoływało śmiech, a zarazem refleksję nad otaczającą rzeczywistością.

Motomikołaje – zabawa i dobroczynność

Dzięki inicjatywie Marka Szymańskiego oraz wielu ludzi i instytucji dobrej woli, już po raz piąty, 9 grudnia przybyli do Nowego Tomysła Motomikołaje. Impreza ta – oprócz waloru rozrywkowego – niosła też przesłanie dotyczące niesienia pomocy potrzebującym. Zebrane w tym roku datki finansowe przekazane zostały PCK na przygotowanie paczek świątecznych dla mniej zamożnych rodzin z naszego regionu. W dniu poprzedzającym imprezę w Zumba&Dance Studio odbył się maraton zumbi, z którego dochód również przekazany został na cele charytatywne. Wieczór mikołajkowej zumbi zakończył koncert Tomasz Broda live Acoustic Guitar.

W niedzielne południe na plac Niepodległości przybyli motocykliści w mikołajowych przebraniach. Marek Szymański i zaproszony do współpracy szef marketingu LKS „Budowlani” Robert Salwowski, oficjalnie rozpoczęli imprezę, zapraszając wszystkich do włączenia się do wspólnego tańca zumba, który przygotowały Lidia Pigla i Karolina Zielińska. Całe rodziny do udziału w konkursach z nagrodami zachęcały panie z firmy „Animacje dla dzieci – Poznań”. Oprócz motorów na placu pojawił się też pojazd „Katarzynka”, czyli powóz napędzany silnikiem spalinowym. Jego właściciel Jerzy Weiss wystawił na licytację usługę polegającą na odwiezieniu pojazdem z miejsca imprezy do miejsca zamieszkania osoby, która zwycięży w licytacji. Ratownicy medyczni z firmy „Helpmed” z Lubonia uczyli zasad pierwszej pomocy i reanimacji za pomocą profesjonalnego fantomu. W akcję włączyła się też „Drużyna Szpiku”, której wolontariusze udzielali informacji o możliwości bycia dawcą szpiku oraz przekazali swoje gadżety na licytację. LKS „Bu-



Prowadzący imprezę Marek Szymański i Robert Salwowski wraz z grupą dziewcząt tańczących zumbę i dziećmi uczestniczącymi w imprezie

dowlani” przekazali na licytację koszulkę klubową z oryginalnym podpisem mistrza olimpijskiego z Londynu, Adriana Zielińskiego oraz odręcznie napisany przez mistrza tekst: „Motomikołaje 2012 r. Nowy Tomyśl”. Całkowita zbiórka z dwóch dni akcji wyniosła 1.993,37 zł. Do uczestników Motomikołajów zwrócił się Burmistrz Henryk Helwing, który wszystkim zaangażowanym w przygotowanie akcji podziękował za trud organizacyjny.

Zawody o Puchar Starosty Nowotomyskiego

9 grudnia w siłowni „Budowlanych” odbyły się zawody w podnoszeniu ciężarów o Puchar Starosty Nowotomyskiego. W zawodach wystartowało siedmiu zawodników „Budowlanych”: Adrian Tyńczyk, Piotr Kudłaszyk, Mateusz Krydka, Krystian Łodyga, Szymon Kawa, Radosław Jarnut i Patryk Wesoły, bijąc wiele rekordów życiowych. Niektóre z nich zostały już są zauważone przez trenera kadry narodowej juniorów. Pierwsza trójka zawodników otrzymała okazałe Puchary, a wszyscy startujący nagrody rzeczowe



Uczestnicy zawodów w siłowni „Budowlanych”

Jubileusz Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej

Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna w Nowym Tomyślu wspomagająca prawidłowy rozwój psychofizyczny dzieci i młodzieży z terenu powiatu nowotomyskiego 11 grudnia świętowała 45. rocznicę istnienia. Na uroczystość z tej okazji, zorganizowaną w Nowotomyskim Ośrodku Kultury, przybyło wielu gości; m. in. Wielkopolski Kurator Oświaty, przedstawiciele powiatowych i gminnych władz samorządowych, dyrektorzy szkół i przedszkoli, byli pracownicy placówki, współpracujący z poradnią pedagogiczną i psychologów, a także byli dyrektorzy poradni – Maria Pietkiewicz i Krystyna Wilkoszar-

ską. Uroczystość poprowadziły: dyrektor poradni – Magdalena Kędzia-Kluj oraz społeczny zastępca dyrektora – Agnieszka Mandziak. Jubileusz był okazją do przypomnienia historii tej placówki oraz najważniejszych działań realizowanych przez poradnię na rzecz dzieci i młodzieży. Oprawę artystyczną uroczystości zapewniły dzieci z Przedszkola nr 1 „Misia Uszatka” w Nowym Tomysłu, młodzież z SOSW w Zbąszyniu oraz Zespół Pieśni i Tańca „Polanie” z Zespołu Szkół Rolnicze Centrum Kształcenia Ustawicznego w Trzciance.

Meksyk dawny i współczesny

Do odkrycia tajemnic Meksyku podczas klubowego spotkania 11 grudnia zaprosił – członków Klubu Miłośników Podróży *Przez kontynenty* działającego w nowotomyskiej bibliotece – Łukasz Gołębiewski, dziennikarz, krytyk literacki, pisarz, redaktor i szef wydawnictwa Jirafa Roja. Jest on autorem esejów o przyszłości kultury: *Śmierć książki* | *No Future Book*, *E-Książka* | *Book*. Szerokopasmowa kultura i *Gdzie jest czytelnik?*, powieści *Xenna moja miłość*, *Melanże z Żyletką*, *Disorder i ja*, *Złam prawo*, *Bomba w windzie*, *Krzyk kwezala*, a także książki podróżniczej *Meksyk — kraj kontrastów*. W wolnych chwilach z pasją oddaje się eksplorowaniu dalekich przestrzeni i odkrywaniu świata, a jego największą miłością jest właśnie Meksyk.

Następnego dnia gość nowotomyskiej biblioteki spotkał się z młodzieżą w filii bibliotecznej w Borui Kościelnej oraz w Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy we Lwówku. Swo-



Łukasz Gołębiewski opowiadał o Meksyku i podpisywał swoje książki

je wrażenia z pobytu w naszych bibliotekach opisał na swoim blogu ([http://www.nowotomyski.pl](#)). Podczas tych interesujących spotkań nie zabrakło opowieści o historii kraju, niesamowitych, często zabawnych przygodach, nieujarzmionej naturze, imponujących zabytkach, obyczajowości i kulturze. O tym, że pisarz zaintrygował nie tylko Meksykiem, ale również swoją twórczością świadczyły kolejki, które ustawiły się przy stoisku z jego książkami.

Wyróżnieni nowotomyskanie

W Sali Czerwonej Pałacu Działyńskich w Poznaniu po raz 17. odbyła się uroczystość wręczenia Doboszy Powstania Wielkopolskiego – nagród honorowych Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918-1919. Uroczystość ich wręczenia odbyła się 11 grudnia. W wydarzeniu uczestniczyli m. in. Piotr Florek – Wojewoda Wielkopolski oraz Marek Woźniak – Marszałek Województwa Wielkopolskiego. Podczas uroczystości nie zabrakło nowotomyskich akcentów. Wśród pięciu pedagogów odznaczonych Medalem Komisji Edukacji Narodowej przez minister Krystynę Szumilas znalazł się Ryszard Tratwal – dyrektor Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Policealnych im. Mikołaja Kopernika w Nowym Tomysłu oraz dr Bogumił Wojcieszak – nauczyciel akademicki i regionalista z Opalenicy, jednocześnie redaktor prowadzący nasz kwartalnik „Przegląd Nowotomyski”. Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej uhonorowano Zygmunta Dudę, społecznika i regionalistę z Opalenicy, który także współpracuje z naszą redakcją i zamieszcza w kwartalniku swoje artykuły.

Dobosza Powstania Wielkopolskiego otrzymały trzy instytucje i osoby, które w sposób szczególny zasłużyły się dla upamiętnienia historii zwycięskiego zrywu niepodległościowego 1918/1919. Tym razem nagroda ta powędrowała do Szubina, Margonina i Drzonowa. Dla przypomnienia dodajmy, że w poprzednich edycjach Doboszem Powstania Wielkopolskiego nagrodzeni zostali: Zygmunt Duda, Zdzisław Kościński i Bogumił Wojcieszak.

W poszukiwaniu skarbu krasnoludów

Czarodziej Gandalf, krasnolud Thorin, Gollum i groźny smok, ponadto elfy, gobliny i trolle sprawiły, że późnym wieczorem 14 grudnia nowotomyska biblioteka zamieniła się w krainę niezwykłych przygód. Blisko stu uczniów ze szkół podstawowych oraz gimnazjum przeniosło się w świat Tolkiena, by w duchu jego powieści wspólnie zmierzyć się z wyzwaniami i odnaleźć skarb krasnoludów. Na wezwanie Oddziału dla Dzieci i Czarodzieja Gandalfa do udziału w bibliotecznej wyprawie zgłosiło się blisko sześćdziesięciu odważnych ochotników ze szkół podstawowych. Podzieleni na osiem grup, otrzymali mapę z zaznaczonymi na niej miejscami, do których musieli się udać, by uzyskać wskazówki dotyczące miejsca ukrycia skarbu. Oczywiście ich zdobycie nie było proste. W każdym punkcie na uczestników wyprawy czekały bowiem baśniowe postacie, w które wcielili się gimnazjaliści i za przekazanie wskazówki domagały się wykonania niełatwych, często budzących groźbę zadań. Po ich wykonaniu wszystkie grupy, poprowadzone przez Czarodzieja Gandalfa i krasnoluda Thorina udały się do zaklętego drzewa, które skrywało tajemniczy klucz i mapę. Okazał się on kluczem do Smoczjej Groty, w której na uczestników wędrówki czekała niespodzianka. Nie tylko odnaleźli poszukiwaną skrzynię ze słod-



Nocna wyprawa z Hobbitem w Oddziale dla Dzieci nowotomyskiej biblioteki

kimi skarbami, ale również wysłuchali nastrojowego koncertu w wykonaniu Jacka Szofera, który na pianinie zagrał piękne, baśniowe utwory.

Festyn rodzinny w świątecznym klimacie

15 grudnia na placu Niepodległości odbył się festyn rodzinny *W oczekiwaniu na Boże Narodzenie*, zorganizowany w ramach kampanii „Postaw na rodzinę”. Połączony on został z II Kiermaszem Świątecznym Pachnącym Piernikiem. Organizatorami imprezy byli: Świetlica Socjoterapeutyczna w Nowym Tomyszu, Nowotomyski Ośrodek Kultury oraz Urząd Miejski w Nowym Tomyszu. Współorganizatorami zaś: Polski Czerwony Krzyż, Ośrodek Pomocy Społecznej oraz Komenda Powiatowa Policji w Nowym Tomyszu.

Na nowotomyskim placu stanęły stoiska handlowe oferujące świąteczny asortyment. Można było zatem nabyć: choinki, ręcznie malowane bombki, ozdoby świąteczne wykonane z różnych materiałów, słodycze – w tym głównie pierniki i miody, kartki świąteczne, stroiki oraz wiele innych ciekawych przedmiotów, które stały się inspiracją na świąteczne prezenty. Podczas festynu i kiermaszu na dzieci czekało wiele atrakcji. Święty Mikołaj obdarowywał je słodyczami i balonikami. Maluchy dekorowały pierniki i pod okiem pracowników Świetlicy Socjoterapeutycznej własnoręcznie wykonywały ozdoby choinkowe, które można było zawiesić na choince rosnącej na placu Niepodległości. Świąteczna kawiarenka oferowała kawę, herbatę i pierniki. Całości towarzyszyła część artystyczna. Na scenie tego dnia występowały m. in. dzieci z Przedszkola nr 4 „Bolka i Lolka”.



Dzieci wykonywały ozdoby choinkowe, które następnie zawisły na świątecznym drzewku

Grupa „Słoneczka” wraz z wychowawczynią – Karoliną Świtalską zaprezentowała tańce do świątecznych piosenek. Po nich na scenie pojawiła się grupa dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 2 – uczniowie klasy I a oraz II c wraz z Elżbietą Spychalską-Szleman oraz Ireneuszem Szlemanem, którzy przygotowali i zaprezentowali program jasełkowy. Następnie scena należała do Krystiana Kwiatkowskiego oraz zespołu z Wiejskiego Domu Kultury w Borui Kościelnej, którzy wystąpili w świątecznym repertuarze i zaśpiewali kilkanaście kolęd oraz piosenek świątecznych. Na scenie tego dnia pojawili się także „Śpiewający Przyjaciele” oraz przedstawiciele Prywatnego Ogniska Muzycznego – Marta Zaręmba i Piotr Ostapkowicz. W ich wykonaniu również można było usłyszeć wiele kolęd, pastorałek i świątecznych piosenek. Część artystyczną zakończył występ nowotomyskiego „Karol Bandu” oraz zaproszonych przez niego przyjaciół. Na koniec życzenia świąteczne złożył wszystkim Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing, a na ubieranej przez cały dzień przez nowotomyszan choince zapalone zostały kolorowe lampki.

Zbyrcok zagrał w Wytomyślu

W świetlicy wiejskiej w Wytomyślu 16 grudnia zagrała góralska kapela Związku Podhalan z Poznania **Zbyrcok**. Wszystkich przybyłych na koncert gości powitała sołtys Wytomyśla Danuta Sobieraj, kapelę przedstawiła dyrektor Szkoły Podstawowej w Wytomyślu Małgorzata Ruta. 11. osobowy zespół, w góralskich strojach ludowych, zaprezentował piękne piosenki góralskie oraz kolędy. Jedną z nich zadedykował powstańcom

wielkopolskim, których ośmioro spoczywa na wytomyskim cmentarzu. Za piękny koncert zespołowi podziękowali przedstawiciele samorządu oraz radne Rady Miejskiej w Nowym Tomyszu, w sposób szczególny podkreślając, że zespół wystąpił przed wytomyską publicznością bez pobierania honorarium.

Odszedł zasłużony nowotomyślanin Tadeusz Plenzler

17 grudnia w wieku 62 lat zmarł Tadeusz Plenzler, człowiek, który swoimi dokonaniami na trwałe wpisał się do grona zasłużonych nowotomyślan. Tadeusz Plenzler przez całe życie związany był z gminą Nowy Tomyśl. Tutaj urodził się 14 sierpnia 1950 r., tutaj żył i pracował. Był aktywnym działaczem społecznym. Za swoją pracę zawodową i społeczną był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany. W latach 1972-1980 pracował w nowotomyskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Terenowego, najpierw na stanowisku starszego mistrza, następnie kierownika. Od 1980 r. prowadził własną działalność gospodarczą, tj. wzorcowe, w pełni zmechanizowane gospodarstwo rolne o powierzchni 68 ha, specjalizujące się w uprawach chmielu, wikliny i zbóż oraz szparaga. Osiągał w nim bardzo wysokie plony. W 1990 r. założył i odtąd prezesował Wielkopolskiemu Zrzeszeniu Plantatorów Chmielu, organizacji skupiającej rolników z kilku województw, która została następnie jedną z pierwszych grup producenckich w Polsce, na czele której stanął. Od 1999 r. był stałym doradcą Ministra Rolnictwa ds. upraw roślinnych. Od 2001 r. do dnia śmierci pełnił funkcję Przewodniczącego Rady Nadzorczej Banku Spółdzielczego w Nowym Tomyszu, w której dał się poznać jako dobry organizator, podejmując wiele inicjatyw wspierających lokalne organizacje społeczne, takie jak: strażę pożarną, szkoły, przedszkola, koła gospodyń, itp. W tym okresie Bank Spółdzielczy został gruntownie rozbudowany i wprowadzono w nim nowe technologie obsługi klientów. Za aktywność w tej dziedzinie odznaczony został, przez Krajowy Związek Banków Spółdzielczych, Srebrnym Krzyżem Zasługi w Rozwoju Spółdzielczości Bankowej im. ks. Piotra Wawrzyniaka (8 czerwca 2004 r.). Dwukrotnie był radnym Rady Miejskiej w Nowym Tomyszu, w kadencji 1998-2002 i 2006-2010. W latach 1998-2002 pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej w Nowym Tomyszu, a w latach 2006-2010 był przewodniczącym Komisji Rolnictwa Rady Miejskiej. Zgłaszał i podejmował wiele inicjatyw społecznych służących wsi i rolnictwu, m. in. dotyczących wodociągowania i telefonizacji wsi, budowy dróg, wspierania ośrodków kulturalno – oświatowych na wsi. W 2010 r. był założycielem Polskiego Związku Plantatorów Chmielu, organizacji która skupia rolników – producentów chmielu, broniącej praw i interesów producentów chmielu, dającej im możliwość współdecydowania o warunkach i możliwościach sprzedaży chmielu i był jej prezesem. Podejmował wiele inicjatyw służących wdrażaniu i propagowaniu nowych odmian i technologii w uprawie chmielu. Przez wiele lat współpracował z naukowcami z Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach oraz z Centralnego Ośrodka Badania Odmian Roślin Uprawnych, prowadząc z bardzo dobrymi wynikami badania i doświadczenia odmianowe w uprawie chmielu. Znany był również jako miłośnik przyrody i łowiectwa. Od 6 lipca 1988 r. był członkiem Polskiego Związku Łowieckiego, myśliwym w Kole Łowieckim nr 8 „Szarak” w Otuszu. Od kwietnia 2005 r. prezesował te-

mu Kołu, które posiada swoje tereny łowieckie również w gminie Nowy Tomyśl. Za działalność na rzecz łowiectwa wyróżniony został przez Wojewódzki Sejmik Łowiecki – medalem „Za Zasługi w Rozwoju Wielkopolskiego Łowiectwa” (21 sierpnia 2008 r.) oraz przez Polski Związek Łowiecki – Brązowym Medalem Zasługi Łowieckiej (12 września 2012 r.). Przez Prezydenta RP odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi (2004 r.) oraz przez Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi – Odznaką honorową – „Zasłużony dla Rolnictwa”. W 2010 r. uzyskał tytuł „Zasłużony dla Polskiego Chmielarstwa”. 2 sierpnia 2007 r. uhonorowano go najwyższym odznaczeniem przyznawanym przez International Hop Growers` Convention – Międzynarodową Konwencję Producentów Chmielu Yakima (Washington, USA) tytułem – Rycerza Chmielowego.

Od wielu lat przewodniczył Komitetowi Organizacyjnemu dorocznych Dożynek Gminnych. Chętnie włączał się w inicjatywy podejmowane przez Gminę Nowy Tomyśl. W swoim środowisku cieszył się ogromnym szacunkiem i zaufaniem. Tadeusz Plenzler był zawsze pogodnym człowiekiem. Cieszył się powszechną sympatią i szacunkiem wszystkich osób, z którymi współpracował. Był znany i lubiany za otwartość, sumienność, uczciwość i działania podejmowane na rzecz innych. Swoją pracą zawodową i społeczną dawał, szczególnie młodszemu pokoleniu, wspaniały przykład, że można i warto być aktywnym społecznikiem, dając dużo dobrego ludziom i środowisku. Pogrzeb śp. Tadeusza Plenzlera odbył się 20 grudnia na cmentarzu parafialnym w Nowym Tomyślu.

Samochód dla jednostki OSP w Wytomyślu

Gmina Nowy Tomyśl zakupiła dla Ochotniczej Straży Pożarnej w Wytomyślu używany samochód marki Scania P93 z 1995 roku, wyposażony w profesjonalny sprzęt ratowniczo-gaśniczy, na który składa się m. in. zestaw medyczno-ratowniczy, agregat prądotwórczy z masztem oświetleniowym, autopompa i motopompy. Uroczyste przekazanie samochodu dla OSP w Wytomyślu odbyło się 18 grudnia. Poświęcenia wozu bojowego dokonał ks. Artur Andrzejewski, proboszcz parafii pw. św. Michała Archanioła w Wytomyślu. Klucze do funkcjonalnego wozu strażackiego przekazał naczelnikowi OSP w Wytomyślu, a zarazem komendantowi Miejsko-Gminnemu OSP Jarosławowi Kaczmarkowi, Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing, jednocześnie prezes Zarządu Miejsko-Gminnego Związku OSP RP w Nowym Tomyślu. Burmistrz wyraził życzenie, aby samochód wykorzystywany był głównie do ćwiczeń, a jak najmniej do akcji ratowniczych. Wszyscy zebrani mogli obejrzeć wóz gaśniczy, który odtąd uczestniczyć będzie w akcjach ratowniczych na terenie wsi i gminy. Uczestniczący w uroczystości prezes Zarządu Oddziału Powiatowego Związku OSP RP Ireneusz Witkowski przekazał strażakom-ochotnikom z Wytomyśla gratulacje w związku z otrzymaniem przez jednostkę wozu i życzył bezpiecznych akcji. Dotychczasowy samochód Star 29, którym posługiwała się jednostka, przekazany został do OSP w Jastrzębsku Starym.

Łańcuchy choinkowe rekordowej długości

Klub Osiedlowy Spółdzielni Mieszkaniowej w Nowym Tomyślu wraz z redakcją tygodnika „Dzień Nowotomysko-Grodziski” ogłosili konkurs na wykonanie najdłuższego łańcucha z papieru i pobicie tym samym rekordu osiedlowego. Przez kilkanaście dni ci,



Dzieci prezentują wykonane przez siebie łańcuchy choinkowe

którzy zgłosili chęć przyłączenia się do zabawy, pracowali w swoich domach nad stworzeniem tego jedynego – rekordowego. Całe rodziny włączyły się do wspólnego tworzenia choinkowej ozdoby. 20 grudnia w ramach *Spotkania przy choince* rozstrzygnięto konkurs i wyłoniono zwycięzców. Przyniesione przez mieszkańców osiedli łańcuchy liczyły po kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt metrów. Najdłuższym okazał się łańcuch o długości 138 metrów wykonany z kolorowego papieru oraz pociętych gazet przez Anię Kłaczyńską i Wiktorię Stolarek. Drobne upominki otrzymały wszystkie dzieci, a autorzy najdłuższych łańcuchów – nagrody. Dla wszystkich przygotowano gorącą herbatę, kawę i pierniki. Nie zabrakło także prawdziwego betlejemskiego światełka, które przynieśli harcerze. *Spotkanie przy choince* zakończyło się wspólnym kolędowaniem i wypuszczeniem lampionów.

Pastorałka Nowotomyska

Pastorałka Nowotomyska od wielu już lat organizowana przez Nowotomyski Ośrodek Kultury w tym roku odbyła się 23 grudnia. Tradycyjnie już w muszli koncertowej przy NOK-u, przy prószącym lekko śniegu, w pastorałkowej postaci wcieliło się wielu mieszkańców gminy: dzieci, młodzież i dorośli z grup teatralnych działających w ośrodku kultury, przedstawiciele władz samorządowych, nauczyciele, kupcy, rolnicy i wielu re-



Nowotomyska Pastorałka tradycyjnie już odbyła się w świątecznie udekorowanej muszli koncertowej

prezentantów innych grup naszej lokalnej społeczności. Dzięki magicznemu klimatowi stworzonemu podczas trwania Pastorałki można było poczuć atmosferę zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Można było pokoleďować wspólnie z zespołem OJEJ z Bukowca, który zapewniał oprawę muzyczną tegorocznego bożonarodzeniowego przedstawienia. Pastorałkę tradycyjnie zwieńczyło wzajemne składanie ńyczeń i dzielenie się opłatkiem.

Nowotomyślanie uczcili rocznicę powstania wielkopolskiego

W godne uczczenie, przypadającej 27 grudnia, 94. rocznicy wybuchu powstania wielkopolskiego włączyli się aktywnie mieszkańcy gminy Nowy Tomyśl. W ramach akcji „Krew za krew” w krwiobusie ustawionym na placu Niepodległości przeprowadzona została patriotyczna zbiórka krwi. Jej efektem było zebranie 17 litrów tego ńyciodajnego płynu. Na cmentarzu parafialnym w Nowym Tomyślu odbyła się uroczystość ponownego poświęcenia odrestaurowanego grobu powstańca Stanisława Balbińskiego, a główna uroczystość patriotyczna odbyła się na placu Niepodległości przy pomniku Powstańców Wielkopolskich. Liczne delegacje złożyły pod pomnikiem wiązanki kwiatów, oddając tym samym hołd wszystkim znanym i bezimiennym bohaterom ziemi wielkopolskiej. W okolicznościowym przemówieniu Burmistrz Henryk Helwing podkreślił, iż powstańcom w zwycięstwie pomogły m. in. niezłomna wola i upór w dążeniu do odzyskania niepodległości i pokazania światu, że miejsce Wielkopolski, kolebki państwa polskiego, jest



Dr Bartosz Kruszyński, autor książki *Poznańczycy w wojnie polsko-bolszewickiej 1919 — 1921*,
był gościem nowotomyskiej biblioteki

w granicach Rzeczypospolitej. Podczas uroczystości patriotycznej jej uczestnikom rozdawane były kokardy w barwach narodowych. O bohaterach powstania wielkopolskiego pamiętali też „kibole” Lecha z Nowego Tomyśla, którzy odwiedzili groby powstańców na cmentarzach w Nowym Tomyślu, Wytomyślu, Bolewicach i Miedzichowie oraz odpalili race pod pomnikiem Powstańców Wielkopolskich. Wszystko to w ramach akcji Stowarzyszenia Kibiców Wiara Lecha – „Wielkopolskie – Powstańcom.” Uroczystości rocznicowe w tym dniu zwieńczyło spotkanie autorskie z nowotomyślaninem, pracownikiem naukowym Zakładu Historii Wojskowej Instytutu Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, drem Bartoszem Kruszyńskim, autorem m. in. książki pt. *Poznańczycy w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-21*. Współorganizatorem spotkania, które odbyło się w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, było nowotomyskie koło Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego.

Powitanie nowego 2013 roku

Do kalendarza dorocznych nowotomyskich wydarzeń na stałe już weszło wspólne witanie nowego roku przez mieszkańców Nowego Tomyśla i okolic. Sylwestrowa impreza przy największym wiklinowym koszu na placu Niepodległości rozpoczęła się 31 grudnia o godz. 23.00. Dyskotekę na świeżym powietrzu aż do godz. 1.00 nowego roku

poprowadził DJ Mania. O północy wszystkim zebranym noworoczne życzenia z wysokości kosza giganta złożył Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing. Wzniesiono też noworoczny toast. Powitanie nowego 2013 roku uświetnił efektowny pokaz sztucznych ogni.

Tekst: Marzena Kortus, Izabela Putz

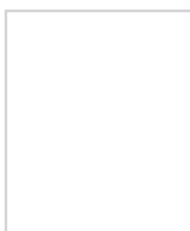
Zdjęcia: Archiwum Urzędu Miejskiego w Nowym Tomysłu, Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomysłu, Nowotomyskiego Ośrodka Kultury, Klubu Osiedlowego Spółdzielni Mieszkaniowej, Aesculap Akademia (*Otwarcie Aesculap Akademii*), Szkoła Podstawowa nr 2 w Nowym Tomysłu (*Nowy sztandar na jubileusz szkoły*), Bogdan Kuc (*Nowotomyska biblioteka na czele rankingowej listy*), LKS „Budowlani”.

AUTORZY



Andrzej Bobkiewicz

absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu. Emerytowany nauczyciel wychowania fizycznego w szkołach podstawowych i w Zespole Szkół Zawodowych i Licealnych im. dra K. Hołogi w Nowym Tomyszu. Aktor - działającej przy NOK-u Amatorskiej Grupy Teatralnej. Współzałożyciel i członek Kapeli "Zza Winkla".



Agnieszka Kaczmarek

antropolog i kulturoznawca; adiunkt w Instytucie Kulturoznawstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pełni funkcję dziekana Miedzichowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.



Marzena Kortus

zastępca naczelnika Wydziału Rozwoju i Promocji Urzędu Miejskiego w Nowym Tomyszu. Zainteresowania: literatura, fotografia i kulinaria. Publikowała w prasie codziennej i periodykach: *Kronika Wielkopolski* i *Przegląd Wielkopolski*.



Sylwia Kupiec

kulturoznawca, pracownik Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyszu. Zainteresowania: socjologia kultury, współczesne zjawiska społeczno – kulturowe, media tradycyjne i elektroniczne, najnowsza historia Polski, muzyka, film.



Izabela Putz

romanistka, pracownik Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyszu. Dziennikarka tygodnika *Nasz Dzień po Dniu*. Zainteresowania: psychologia społeczna, realia społeczno-polityczne, kultura Białorusi i Ukrainy, a także muzyka i literatura francuska.

Tomasz Siwiński

pedagog z wykształcenia. Od urodzenia mieszkający w Nowym Tomyślu, pracujący tam, gdzie aktualnie jest dla niego praca. Hobbystycznie zajmuje się dziennikarstwem sportowym, stara się skrupulatnie dokumentować i opisywać dzieje sportu, podporządkowując temu zadaniu sporą część swojego życia. Inne zainteresowania: patologie społeczne, polskie kino, rock and roll, numizmatyka.



Aleksandra Tabaczyńska

dziennikarka podejmująca tematykę społeczną dotyczącą lokalnego środowiska. Absolwentka Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu oraz Podyplomowych Studiów Dziennikarskich na UAM. Laureatka dziennikarskiej nagrody „Znak Dobra” w 2012 roku. Związana ze środowiskiem mediów chrześcijańskich, współpracuje m. in. z „Przewodnikiem Katolickim”. Zainteresowania: literatura polska od pozytywizmu do międzywojnia oraz XIX. wieczne malarstwo.



Maria Tyszkowska

absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, emerytowana nauczycielka przedmiotów ogólnomuzycznych w Państwowej Szkole Muzycznej I stopnia im. W. Lutosławskiego w Nowym Tomyślu, w latach 1963-1988 jej dyrektor, a od 1996 do 2002 r. wicedyrektor. Zainteresowania: muzyka, wycieczki rowerowe i podróże. Jest członkiem zarządu NTK.



SPIS TREŚCI



ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI

Bez wyroku.... . Ze wspomnień Stanisława Smolskiego3

Aleksandra Tabaczyńska, Przywołane z niepamięci

- cmentarze ewangelickie na terenie gminy Nowy Tomysl40

TU I TERAZ

Tomasz Siwiński, Borusja - jedyny taki klub w Polsce45

Andrzej Bobkiewicz, Na swojską nutę gramy cały czas.

30. lat Kapeli Zza Winkla57

NOWOTOMYŚLANIE ZNANI I MNIEJ ZNANI

Sylvia Kupiec, Pracę społeczną zakończyłam w wieku 92 lat...71

WOKÓŁ NAS

Agnieszka Kaczmarek, Gaudeamus igitur na wsi94

Z DZIAŁALNOŚCI NTK

Maria Tyszkowska, Idzie żołnierz borem, lasem..., czyli VIII Przegląd

Dawnej Piosenki Żołnierskiej i Niepodległościowej101

Z TEKLI...

... Katarzyny Mrozik - Stefańskiej, Słowa dopadają mnie zniecka106

KRONIKA WYDARZEŃ

październik - grudzień 2012 r.114

AUTORZY „PRZEGLĄDU NOWOTOMYSKIEGO”170